

Sfinks

Masterton Graham



calibre 0.9.43

GRAHAM MASTERTON

SFINKS

(Przełożył Cezary Ostrowski)

*Fellachowie powiedzą ci o dziwnych, okropnych rzeczach.
Arabowie równocześnie boją się ich i nienawidzą.
Nigdy nie mówią o nich bezpośrednio.
Nazywają ich „tamnym ludem”,
a nikt, kto choć raz podróżował po Afryce Północnej,
nie musi dwa razy pytać, co to znaczy.
Seabury Quinn*

ROZDZIAŁ I

Nigdy nie zapomni chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Później zartował na ten temat i nazywał to „miłością od pierwszego ugryzienia”. Rzecz miała miejsce w czasie koktajlu u Schirry, wydanego na cześć Henry'ego Nessa, nowego sekretarza stanu. Celebrowano jego niewytłumaczalne zaręczyny z niezwykle hałaśliwą, a przy tym ambitną dziewczyną, Retą Caldwell. Jak zwykle u Schirry, było mnóstwo do picia i prawie tyle samo do jedzenia, a Gene Keiller znajdował się właśnie w centrum rozmowy z tureckim dyplomatą o imponującym łupieżu. Kiedy zatapiał zęby w świeżym crab vol-au-vent (nie jadł cały dzień), połyskujące suknie i czarne fraki rozstąpiły się jak Morze Czerwone, a do środka wkroczyła Lorie Semple. Gene nie był jeszcze zblazowany pięknymi kobietami. Zbyt krótko pracował dla Departamentu Stanu, by mieć powyżej uszu tych trzepoczących rzęsami, szepczących, eleganckich młodych panien, które kręciły się wokół światka waszyngtońskiej socjety, nie mając na sobie majtek i gorąco pragnąc każdego mężczyzny, o którym choćby raz wspomniał William F. Buckley. Bezpośredni przełożony Gene'a miał nosa do tego typu panienek i nazywał je Departamentem Rozpostarcia... Lecz gdy Gene uniósł głowę z ustami pełnymi nadziei i fragmentem kraba zwisającym przy policzku, nie troszczył się o to, czy Lorie Semple należy do nich, czy nie.

- Hej, Gene - powiedział senator Hasbaum, pochylając się - niezły kawałek dupeńki. Popatrz tylko na tę obwolotę.

Gene pokiwał głową i prawie się udławił. Sięgnął po serwetkę, wytarł usta i przełknął na wpół pogryzione vol-au-vent. Zdołał jedynie wykrztusić:

- Arthur, chociaż raz masz cholernie dużo racji. Wyglądało na to, że jest sama. Była wysoka, wyższa niż wszystkie kobiety w tym pomieszczeniu, a także niż większość mężczyzn. Gene pomyślał, że może mieć około pięciu stóp i jedenastu cali wzrostu. Później okazało się, że odjął jej jedynie pół cala. Ten wzrost bynajmniej jej nie krępował. Wkroczyła na środek pomieszczenia, pod lśniący kandelabr, wyprostowana i z arogancko uniesioną brodą.

- Jezu - wyszeptał Ken Sloane widziałeś już kiedyś taką dziewczynę?

Gene milczał. Nawet turecki dyplomata, który rozwodził się nad zgodą na umieszczenie w swym kraju pocisków MARV, zauważył, że Gene już go nie słucha i wlepia wzrok w Lorie Semple, jak ktoś mający religijne objawienie.

- Panie Keiller - powiedział szarpiąc Gene'a za rękaw - musimy omówić głowice bojowe!

Gene skinął głową.

- Ma pan absolutną rację. Tyle mogę powiedzieć. Ma pan absolutną, cholerną rację.

Grzywa zaczesanych do tyłu włosów koloru piasku opadała Lorie Semple na nagie ramiona. Jej twarz była niezwykle piękna. Prosty nos, szerokie i zmysłowe usta oraz nieco skośne oczy. Nosila szmaragdowy naszyjnik i nikt spośród zebranych ani przez chwilę nie pomyślał, że mogły to być zielone szkiełka. Była ubrana w głęboko wciętą suknię wieczorową z cielistego jedwabiu, tak dopasowaną i ciasno opiętą wokół biustu, że gdy raz się na nią spojrzano, trzeba to było uczynić powtórnie, gdyż wyglądała, jakby była topless.

Miała olbrzymi biust i niewątpliwie nie nosiła stanika. Jej sutki unosiły jedwab w lekko ocienione wzgórki, a gdy się poruszała, rozchybotane piersi uciszały rozmowy i prowokowały nawet najbardziej wiernych mężów w Waszyngtonie do patrzenia na nie przez ramiona żon.

Nigdy nie zrozumiał, jaki impuls nim powodował, lecz gdy tak stała, wyglądając dumnie i wspaniale, Gene Keiller przystąpił do niej i wyciągnął dłoń. Nie było mu łatwo podejść tak blisko,

gdyż wyniosła dziewczyna miała bezduszne, zielone oczy, jak niektóre koty, a Gene po wypiciu trzech wódek nie był w najlepszej formie.

- Nie znam pani - powiedział z półuśmiechem. Dziewczyna spojrzała na niego. Była, co najmniej równie wysoka jak on i używała jakichś niezwykle mocnych perfum, które wydawały się wypełniać powietrze.

- Ja pana również nie znam - odparła głębokim głosem o jakimś mocnym, europejskim akcencie.

- No cóż - stwierdził Gene - to chyba dobry powód, by się sobie przedstawić.

Dziewczyna wciąż na niego patrzyła.

- Może.

- Tylko może? Skinęła głową.

- Skoro się nie znamy, lepiej, by tak już zostało. Nieznajomi.

Gene roześmiał się dyplomatycznie.

- No cóż, rozumiem pani punkt widzenia. Ale jesteśmy w Waszyngtonie! Wszyscy tutaj muszą się znać.

Nadal nie odrywała od niego wzroku, jakby go hipnotyzowała i im dłużej to trwało, tym bardziej czuł się zmieszany. Szurał nogami i wpatrywał się w dywan. Nigdy się tak nie zachowywał wobec dziewczyny od czasu, gdy opuścił szkolne mury, a jednak stał tam - bystry Gene Keiller z opalenizną wprost z Florydy i szerokim, jasnym uśmiechem, kędzierzawy demokrata, który zwykle obcałowywał wszystkie bobasy i wzbudzał podziw gospodyń domowych z Jack-sonville.

- Dlaczego? - spytała, rozchylając wilgotne różowe wargi.

- Eee... przepraszam? Dlaczego co?

Dziewczyna nadal wpatrywała się w niego. Wydawała się w ogóle nie mrugać, a to go dekoncentrowało.

- Dlaczego wszyscy musieliby znać wszystkich? Gene poprawił kołnierzyk.

- Cóż... sądzę, że to kwestia przetrwania. Trzeba wiedzieć, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. To nieco przypomina prawo dżungli.

- Dżungli? Uśmiechnął się ironicznie.

- Tak mówią. Bycie politykiem to ciężki kawałek chleba. Bez względu na to, jak nisko na drabinie społecznej się ktoś znajduje, zawsze jest ktoś inny, kto chciałby wspiąć się wyżej i gotów jest użyć do tego jego głowy.

- Sprawia pan, że brzmi to... bardzo agresywnie - odparła.

Zauważył, że miała kolczyki wykonane z rzeźbionych kłów zwierzęcych oprawionych w złoto. Stopniowo opanowywał zdenerwowanie, lecz nadal zdawał sobie sprawę, że to ona jest górami w tej rozmowie i że pozostali goście obserwują go kątem oka i oceniają. Zakaszłał i wskazał w kierunku baru.

- Czy nie zechciałaby pani wypić drinka?

Spojrzała na niego. Przerwy w ich rozmowie wydawały się długie i odniósł wrażenie, że dziewczyna dokładnie go ocenia. Niemalże osacza.

- Nie piję - odpowiedziała, wprost - lecz proszę się mną nie przejmować. Pan wyraźnie to lubi. Zakaszłał powtórnie.

- Cóż, lubię pić, by się rozluźnić. To w pewien sposób uspokaja nerwy, wie pani?

- Nie - odpowiedziała. - Nie wiem. Nigdy w życiu nie piłam.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Pani żartuje! Nie podkradała pani starej nawet czereśniówki z kredensu?

Przeczesała płowe włosy dłonią o długich palcach, po czym poważnie potrząsnęła głową.

- Moja mama nie jest stara. Tak naprawdę jest całkiem młoda. I nigdy, ale to nigdy, nie trzymała alkoholu w domu.

- Rozumiem - odparł zażenowany Gene. - Nie chciałem niczego sugerować...

- Nie, nie - przerwała - proszę się nie martwić. Wiem, co pan miał na myśli.

Przez chwilę Gene stał z pustym kieliszkiem w dłoni, obdarzając dziewczynę uśmiezkami i mówiąc „cóż” albo „aha”; nie chciał jej opuścić, by jakiś inny mężczyzna nie zajął jego miejsca. Było w niej coś, co go przerażało, a równocześnie urzekało, oczywiście poza faktem, że miała największą parę cycków, jakie kiedykolwiek widział.

W końcu powiedział:

- Nie przedstawiłem się. Głupio jak na polityka! Nazywam się Gene Keiller.

Uścisnęli sobie dłonie. Czekał, aż dziewczyna się przedstawi, lecz ona nic nie powiedziała; uśmiechała się jedynie lekko i wciąż rozglądała wokoło.

- Czy... nie zamierza pani... Odwróciła się i obdarzyła go uśmiechem.

- Gene Keiller - powiedziała. - Słyszałam o panu.

- Naprawdę? - skrzywił się. - Ostatnio nie mówiono o mnie zbyt dużo. Obecnie jestem pracującym politykiem, nie prowadzę kampanii. Obietnice to jedna rzecz, jak pani wie, lecz ich realizacja to już zupełnie inna bajka.

Skinęła głową.

- Czułam, że jest pan politykiem. Mówi pan takimi starymi frazesami.

Gapił się na nią. Nie był pewien, czy dobrze ją usłyszał, ponieważ senator Hasbaum właśnie wybuchnął głośnym śmiechem nad jego lewym uchem.

- Przepraszam?

- Nie szkodzi - stwierdziła. - Wszyscy politycy tak robią. To musi być choroba zawodowa.

Potarł swój kark, jak zawsze, gdy był zirytowany.

- Momencik - powiedział lekko wzburzonym głosem. - Ludziom takim jak pani łatwo mówić, że politycy są szablonowi, lecz proszę pamiętać, że większość sytuacji politycznych jest...

- Nie ma żadnych - powiedziała pełnym głosem. Chciał kontynuować, lecz nagle spojrzał na nią zdziwiony. - Co?

- Nie ma takich ludzi, jak ja - powiedziała otwarcie.

Zmarszczył brwi i powtórnie spojrzał na swój pusty kieliszek.

- Cóż... - powiedział. - A jakiego rodzaju człowiekiem pani jest?

Spojrzała na niego, jakby próbowała się zdecydować, czy zasługuje na tę wartościową wiedzę.

W końcu powiedziała:

Jestem pół-Egipcjanką i pół-Francuzką. Jestem jedną z tych, których nazywają Ubasti.

- Czy żądam zbyt wiele, chcąc poznać pani imię? A może to kolejne stereotypowe pytanie?

Potrząsnęła głową.

- Nie powinien pan tak reagować na moją wstydlivość. Gdy się wstydzę, ludzie zawsze sądzą, że jestem przerażająca. Widzę to w ich oczach. Strach i agresywność - to bardzo podobne emocje, nie sądzi pan?

- Nadal nie znam pani imienia.

Przekrzywiła głowę.

- Dlaczego chce je pan znać? Czy chce mnie pan uwieść?

Spojrzał na nią pytająco.

- A czy chciałaby pani zostać uwiedziona?

- Nie wiem. Nie, nie sądzę.

- Jest pani piękną dziewczyną. Wie pani o tym, prawda?

Opuściła oczy po raz pierwszy od początku rozmowy.

- Uroda to kwestia gustu. Myślę, że mam zbyt duże piersi.

- Nie sądzę, by większość amerykańskich mężczyzn zgodziła się z panią. Jeśli chce pani wiedzieć - to sądzę, że są oszalamiające.

Na jej opalonych policzkach pojawił się rumieniec.

- Myślę, że mówi pan to, by mnie pocieszyć - powiedziała łagodnie.

Parsknął śmiechem.

- Pani nie potrzebuje pocieszenia. Jest pani na to zbyt piękna. Poza tym ma pani coś, co chciałaby mieć każda kobieta na tym cholernym świecie, lecz nigdy nie będzie miała... nawet za tysiąc lat.

Spojrzała w górę. Jej zielone oczy były fascynujące. Przez moment źrenice wydawały się zupełnie niewidoczne, a za chwilę otwierały się szeroko, jak ciemne kwiaty.

- Jest pani niezwykła - stwierdził Gene. - W chwili, gdy skierowałem na panią wzrok, powiedziałem sobie: „Gene, ta dziewczyna ma w sobie tajemnicę”. No właśnie, rozmawiamy tak długo, a ja nadal nie znam pani imienia.

Roześmiała się. Goście stojący obok dostrzegli to i senator Hasbaum szepnął do jednego ze swych przyjaciół:

- Temu Keillerowi znów się udało! Na Boga, chciałbym być o dwadzieścia lat młodszy! Pokazałbym, co potrafi chłopak z Tennessee!

- Dlaczego moje imię jest dla pana tak ważne? - zapytała dziewczyna.

Gene wzruszył ramionami.

- Jak mam się do pani zwracać, nie znając imienia? Przypuśćmy, że chciałbym zaprosić panią na kolację po przyjęciu. Jak mam to zrobić? „Przepraszam, panno X lub panno Y, czy jak tam się pani nazywa, czy pojedzie pani ze mną na kolację po party?”

Potrząsnęła głową.

- Nie musi pan tego mówić.

- To co mam powiedzieć?

- Proszę nic nie mówić, ponieważ nie mogę pójść. Gene ujął jej dłoń w swe ręce.

- Oczywiście, że pani może. Nie jest pani mężatką, prawda?

- Nie.

- Wiedziałem, że pani nie jest. Nie ma pani tego nawiedzonego wyglądu, jaki wcześniej czy później przybierają waszyngtońskie żony.

- Nawiedzonego wyglądu? - spytała.

- Jasne - stwierdził Gene. - One przez cały czas martwią się, z którymi dziewczynami śpią ich mężowie i czy są to może te same dziewczyny, z którymi sypiali mężczyźni śpiący z nimi; a w tym przypadku ich mężowie mogą odkryć, że kółeczko się zamyka.

- To jest skomplikowane.

- Można się przyzwyczaić. To część naszej wielkiej demokracji.

Dziewczyna prawie nieświadomie dotknęła swego kolczyka ze zwierzęcych kłów.

- To nie brzmi... zbyt moralnie powiedziała, jakby myślała o czymś innym.

Gene spojrzał na nią uważnie. „Moralnie” było słowem, którego od dawna nie słyszał, na pewno nie od czasu, kiedy cztery lata temu zdobył reputację na południu, ujawniając schemat osuszania bagien jako skandal finansowy. W ustach dziewczyny słowo to brzmiało dziwnie nie na miejscu. Przecież była tu, na waszyngtońskim przyjęciu, ubrana w obcisły jedwab w kolorze ciała, z

najbardziej przyciągająca oczy figurą od czasu Doily Parton, a mówiła o moralności.

- Proszę posłuchać - powiedział łagodnie. To życie pełne jest napięć i wysiłku. Dla wielu ludzi, wielu polityków, zabawianie się jest jedyną formą rekreacji.

- Przykro mi - stwierdziła dziewczyna. Zabawianie się to nie mój typ rekreacji.

Gene szeroko rozłożył ręce.

- Okay. Nie chciałem niczego sugerować. Myślę, iż jest pani piękną dziewczyną i byłbym ascetą sądząc, że nie jest pani sexy. Nieprawdaż?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Pan... uważa, że jestem... sexy? Gene prawie wybuchnął śmiechem.

- Cóż, cholernie zdecydowanie uważam! O czym, u diabła, pani myślała, wkładając tę sukienkę dziś wieczór?

Zaczerwieniła się.

- Nie wiem. Nie myślałam... Gene powtórnie wziął ją za rękę.

- Kochanie - powiedział - myślę, że lepiej będzie, jeśli zdradzisz mi swoje imię. To uczyni życie dużo łatwiejszym.

- Dobrze. Jestem Lorie Semple. Gene zmarszczył brwi.

- Semple? Czy twój ojciec był...

Tak, Jean Semple, francuski dyplomata. Gene delikatnie ścisnął jej palce.

Było mi przykro, gdy usłyszałem o jego śmierci. Nigdy go nie spotkałem, lecz niektórzy z mych przyjaciół twierdzą, że był wspaniałym facetem. Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Zawsze zdawał sobie sprawę, że żyje niebezpiecznie. Moja mama twierdzi, że teraz jest prawdopodobnie bardziej usatysfakcjonowany niż kiedykolwiek.

Gene zdołał chwycić przechodzącego kelnera za mankiet i powiedzieć „wódka”, zanim tamten się oddalił. Potem znów zwrócił się do Lorie:

- Czy jesteś pewna, że nie namówię cię na kolację? Od miesiący szykowałem się, by spróbować gigot w restauracji „Montpellier”.

Potrząsnęła głową. - Przykro mi, Gene.

- Nie rozumiem, dlaczego - powiedział. - Może nie jestem Harrisonem Fordem, ale nie jest ze mną aż tak źle. Wśród polityków trudno znaleźć takich facetów jak ja. Przez całe życie chcesz zadawać się z tymi pokurczami z Treasury?

- Gene - odparła, a on uchwycił mocny zapach jej perfum - nie zamierzałam być niemila. Nie chciałabym również cię urazić. Lecz przyszedłam, ponieważ zaproszono tu mojego ojca przed jego śmiercią i sądziłam, że tak będzie dobrze. Kiedy już porozmawiam ze wszystkimi właściwymi ludźmi, będę musiała odejść.

- Nie nosisz żałoby - powiedział nagle.

- Nie - stwierdziła. - W mojej rodzinie, od pokoleń, śmierć mężczyzny była uważana za powód do... cóż, powód do świętowania. Świętuję, ponieważ mój ojciec wypełnił swój obowiązek wobec tego świata i teraz spoczywa w spokoju.

- Ty świętujesz? - spytał Gene.

Lorie uniosła głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- Tak to się zwykło robić wśród nas. Takie mamy zasady. Zawsze takie mieliśmy.

Gene wciąż jeszcze próbował to rozgryźć, gdy kelner przyniósł mu drinka. Dał mu dolara napiwku i powiedział niepewnie:

- Lorie, nie chcę być wścibski, lecz nigdy przedtem nie spotkałem rodziny, która świętowała śmierć.

Odwróciła się.

- Nie powinnam była o tym wspominać. Wiem, że niektórych ludzi to szokuje. Czujemy po prostu, że gdy ktoś umiera, to kończy swą pracę i to jest powodem do radości - odparła.

- Cóż, ja zostanę przeklęty - powiedział sącząc lodowatego drinka.

Lorie spojrzała na niego.

- Muszę iść.

- Już? Byłaś tu tylko kilka minut. Przyjęcie będzie trwało do trzeciej. Poczekaj, aż pani Marowski zacznie się rozbierać. Kiedy się to już zobaczy, cokolwiek myślało się przedtem o moralności, można wyrzucić za okno. - Nie drwij ze mnie, Gene - poprosiła Lorie.

- Nie drwię z ciebie, kochanie. Po prostu nie chcę, żebyś sobie poszła.

- Wiem. Jest mi przykro. Ale muszę.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, jakby materializując się z promienia teletransportera ze „Star Trek”, pojawił się obok Lorie wysoki mężczyzna w uniformie szofera. Miał czarną, elegancko przyciętą brodę i nosił czarne, skórzane rękawiczki. Stał przy niej bez słowa, jednak wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że nadszedł już czas powrotu do domu. Był Arabem lub Turkiem. Cichym, silnym i opiekuńczym, a Lorie Semple natychmiast poddała się tej opiekuńczości.

- Do widzenia, panie Keiller. Miło było pana poznać.

- Lorie...

- Naprawdę, muszę już iść. Mama będzie na mnie czekać.

- Cóż, proszę, pozwól odprowadzić się do domu. Przynajmniej tyle mógłbym zrobić.

- Ależ nie ma potrzeby. Oto mój szofer. Proszę się nie fatygować.

- Lorie, nalegam. Jestem gorąckrwistym politykiem z Departamentu Stanu i absolutnie nalegam.

Lorie przygryzła wargę. Zwróciła się do stojącego za nią szofera o twardej twarzy i spytała:

- Mogę?

Zapadła cisza. Gene obawiał się, że przygląda się im senator Hasbaum i wielu innych jego przyjaciół, lecz był zbyt zajęty niezwykłą relacją między Lorie a jej milczącym szoferem, by się nimi przejmować. Przyglądał się szoferowi nie mniej uważnie, jak tamten jemu. W końcu brodacz skinął głową. Prawie niezauważalnie, jeśli się tego nie oczekiwało. Lorie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dziękuję, Gene, z przyjemnością.

- To pierwsza rozsądna rzecz, którą powiedziałaś tego wieczoru - stwierdził Gene. - Daj mi tylko minutkę na pożegnanie się z sekretarzem.

Lorie przytaknęła:

- Dobrze. Zobaczymy się na zewnątrz.

Gene mrugnął do senatora Hasbauma, przepychając się między gośćmi w poszukiwaniu Henry'ego Nessa. Jak zwykle, młody i dynamiczny sekretarz stanu otoczony był tłumem kobiet, zachwycających się każdym słowem padającym z jego ust. Jego nowa oblubienica, Reta Caldwell, zwieszała mu się z ramienia w niezbyt dobrze skrojonej sukni i nic nie byłoby w stanie jej odciągnąć.

- Henry! - zawołał Gene. - Hej, Henry! Henry Ness odwrócił się, a gładka twarz, która upodabniała go do Clarka Kenta, przybrała pewny siebie uśmiezek, zwykle przywoływany przez wszystkich polityków, gdy ktoś do nich mówił: „Hej!” Mógł to w końcu być jakiś fotograf, a po notorycznych grymasach Nixona obóz demokratyczny był przeczulony na punkcie radosnego wyglądu.

- Gene, jak się masz? - powiedział Ness i wyciągnął rękę nad głową stojącej obok niego kobiety. - Słyszę pozytywne opinie na temat twojej meksykańskiej sprawy.

- Cóż, wszystko idzie dobrze - stwierdził Gene. - Lecz przypuszczam, że ty radzisz sobie jeszcze lepiej. Gratulacje z okazji zaręczyn, Henry. Dla ciebie również, Reta. Wyglądasz świetnie.

Reta spojrziała na niego. Znał ją już wcześniej, przed laty, gdy był młodym i niedoświadczonym uczestnikiem kampanii stanowej; prawdopodobnie pamiętała, że widział ją wówczas pijaną do nieprzytomności, rozdającą pocałunki zażenowanym szefom partii.

- Muszę teraz wyjść - powiedział Gene. - Sprawy państwowe, wiesz, jak to jest. Ale jeszcze raz, Henry, wszystkiego najlepszego na przyszłość. Mam nadzieję, że oboje będziecie bardzo szczęśliwi.

Henry powtórnie uściśnął jego dłoń, uśmiechnął się nieprzekonywająco i odwrócił ku publiczności złożonej z waszyngtońskich dam. Henry lubił rozmawiać z kobietami. One nie odcinały się uwagami, nie zadawały niewygodnych pytań w rodzaju: „Co, u diabła, zamierzacie zrobić z wielogłowicowymi raketami w Turcji?” lub też: „Czy zamierzacie pozwolić komunistom na kontynuowanie infiltracji czarnej Afryki bez żadnych przeszkód?” Chciały jedynie wiedzieć, jak ubiera się do łóżka, czy raczej, jak się nie ubiera.

Gene odebrał swój prochowiec i przeszedł przez gładki marmurowy hol oszałamiającego domu Schirry, w kierunku otwartych drzwi frontowych. Przestało padać, lecz ulice i chodniki były nadal mokre, a silny, ciepły wiatr zapowiadał jeszcze więcej deszczu tej nocy.

Lorie stała na stopniach i gdy Gene podszedł bliżej, zauważył, że pochylała się do ucha szofera i coś szeptała. Gene zawahał się przez moment, lecz gdy Lorie odwróciła się i dostrzegła go, przywołał na twarz uśmiech. Szofer bez słowa oddalił się i zszedł schodami, by podstawić samochód - błyszczącą, czarną limuzynę Fleetwood. Wsiadł do niej i czekał w zatoczce z włączonym silnikiem, ani razu nie spoglądając w ich kierunku, lecz był równie czujny, jak pies obronny.

Lorie zarzuciła na ramiona długą, czerwoną chustę i poprawiła dłonią włosy.

- Myślę, że mój szofer się denerwuje - wzruszyła ramionami. - Mama poleciła mu, żeby miał na mnie oko i nie lubi, gdy znikam mu z pola widzenia.

Gene ujął dłoń Lorie.

- Czy on zawsze jest taki? - spytał. - Mam wrażenie, że gdybym dotknął twego ucha, wyskoczyłby z samochodu i zbił mnie na kwaśne jabłko, zanim zdążyłbym powiedzieć: „Żegnaj, Capitol Hill!”

Lorie roześmiała się.

- Bardzo dobrze wypełnia swoje obowiązki. Mama mówi, że to najlepszy służący, jakiego miała od lat. Jest ekspertem od kravmaga.

- Kravmaga?. Co to jest, u diabła?

- To taki rodzaj samoobrony, jak kung-fu. Wymyślili go chyba Izraelici. Całkowite poświęcenie się destrukcji przeciwnika wszelkimi możliwymi sposobami.

Gene uniósł brwi.

- Wygląda to na nieco odartą z hipokryzji wersję polityki - powiedział.

Stali na mokrym od deszczu chodniku, czekając, aż samochód Gene'a nadjedzie z parkingu. Za nimi kręcił się lokaj w żółtej liberii, niecierpliwie paląc papierosa. Kilkaset jardów dalej, za trawnikiem, wznosiła się w mrocznym, wieczornym powietrzu iluminowana iglica Washington Monument. Gdzieś nad M Street rozległa się syrena.

- Nie możesz winić Mathieu za wypełnianie obowiązków - stwierdziła Lorie.

- Mathieu? To twój szofer?

- On jest niemy. Nie potrafi powiedzieć ani słowa. Pracował dla wywiadu francuskiego w Algierii i powstańcy wyrwali mu paznokcie i ucięli język.

- Żartujesz.

- Nie, to prawda.

Gene odwrócił głowę i długo, z rozważaniem, przyglądał się czarnej limuzynie, pracującej cicho w pobliskiej zatoczce. W lusterku bocznym dostrzegł oczy Mathieu, twarde i czujne, jakby samodzielnie poruszające się w powietrzu.

- Coś takiego... musi uczynić z człowieka pewnego rodzaju samotnika.

Lorie przytaknęła.

- Sądzę, że tak. Czy to twój samochód?

Biały new yorker Gene'a został podstawiony do zatoczki, a lokaj otworzył im drzwi. Gene wcisnął po dolarze w dyskretnie złożone dłonie lokaja i człowieka, który doprowadził samochód, po czym zasiadł za kierownicą.

- Czy podasz mi adres? - zapytał Lorie. Potrząsnęła głową.

- Mathieu pojedzie przodem. Musimy jedynie jechać za nim - odparła.

- Żadnych ucieczek?

- Nie, jeśli nie chcesz, żeby nas ścigał. A mogę cię zapewnić, że nie pozwoliłby nam uciec.

Gene wyjechał z zatoczki z włączonymi światłami.

- Czy to nigdy ci nie przeszkadza? To, że jesteś trzymana tak krótko? Jesteś już dorosła.

Rozluźniła chustę i pozwoliła jej zsunąć się z ramion. W blasku mijanych lamp ulicznych widział, jak błyszczą jej wargi, intensywnie lśni zielenią szmaragdowy naszyjnik i opalizuje jedwab na jej piersiach. Wewnątrz samochodu perfumy dziewczyny były jeszcze bardziej odurzające, co w przypadku tak cichej i tak moralnej osoby wydawało się dziwnie prowokujące i agresywne. Z jakiegoś powodu budziło to w nim uśpione zwierzę.

- Sądzę, że uważasz, iż jesteśmy dziwni - powiedziała nagle Lorie - lecz musisz pamiętać, że nie jesteśmy Amerykanami. To nie jest nasz kraj. Dlatego trzymamy się razem i strzeżemy nawzajem. Oprócz tego...

- Oprócz tego, co? Opuściła oczy.

- Cóż, jesteśmy inni, jak sądzę. A kiedy jest się odmieńcem, lepiej przebywać wśród podobnych sobie.

Przed nimi czerwone tylne światła limuzyny Mathieu skrzyły w lewo, a Gene podążył ich śladem. Znowu zaczynało padać i kilka kropel spadło na przednią szybę. Gene włączył wycieraczki.

- Czy mogę cię o coś spytać? - odezwał się do Lorie. Skinęła głową.

- Jeśli tylko nie będzie to nic zbyt osobistego.

- Cóż, myślę, że w pewnym sensie sprawa jest osobista i nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz, lecz to taki rodzaj pytania, jakie nasuwa się mężczyźnie, gdy spotka dziewczynę tak piękną jak ty.

- Znowu się ze mnie naśmiewasz?

- Niech to diabli, prawię ci komplementy! Czy inni ludzie nigdy tego nie robią? Czy żaden mężczyzna nigdy ci tego nie powiedział?

Potrząsnęła głową.

- Nieważne - stwierdził. - Oto moje pytanie: Czy masz kogoś na stałe? Kogokolwiek. Jesteś związana z jakimś mężczyzną czy nie?

Lorie spojrzała gdzieś w dal.

- Czy to ma znaczenie? - zapytała. Gene wzruszył ramionami.

- Cóż, nie wiem. Dla niektórych dziewcząt ma to znaczenie. Jeśli mają kogoś na stałe, nie biorą pod uwagę możliwości spotkania się z kimś innym. Zostało jeszcze trochę lojalności na tym świecie, choć może w to nie wierzysz.

Długo nic nie mówiła. Nawet gdy Gene spojrzał na nią, nie odwróciła się.

W pewnym momencie, gdy przejeżdżali przez Watergate, powiedziała delikatnie:

- Nie ma żadnego mężczyzny. Żadnego.

- Żadnego? - spytał zdziwiony. - Nawet starego adoratora, który bombarduje cię zaproszeniami na kolacje i kupuje szmaragdowe naszyjniki?

Dotknęła klejnotów na szyi.

- Tego nikt nie kupił. To klejnot rodzinny. Nie, nie ma starych adoratorów. Nie ma nawet młodych.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie masz żadnych przyjaciół? - spytał.

- Nie tylko teraz, Gene. Nigdy nie miałam.

Spojrzał na drogę przed sobą i połyskujące tylne światła limuzyny Mathieu. Uważał za absolutnie niemożliwe, by dziewczyna o wyglądzie i figurze Lorie nigdy się z nikim nie spotykała. Zgadywał, że może mieć dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Większość waszyngtońskich pań w tym wieku leżała już pod połową departamentu rządowego i nieco mniejszą galaktyką kongresmenów oraz senatorów. Wiedział, że ona nie jest tego typu dziewczyną, jednak najmilsze dziewczę z najmilszej rodziny w końcu spotyka się z jakimś chłopakiem, nawet gdyby miał to być dokładnie dobrany palant z Harvardu.

- Jesteś dziewicą? - spytał.

Uniosła brodę i spojrzała na niego. W jej oczach dostrzegł tę samą władzę, jaką ujrzał, gdy po raz pierwszy weszła na przyjęcie Schirry.

- Jeśli chcesz to tak nazwać - odparła. Był zażenowany.

- Nie chciałem tego wcale nazywać. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

- Czy to rzadkość, by niezamężna dziewczyna była czysta?

- No cóż... tak. Myślę, że tak. Jakoś nikt tego nie oczekuje. Chodzi o to, że... cóż, ty nie...

- Ja nie wyglądam jak dziewica?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś. Mówiłeś mi, jak bardzo według ciebie jestem sexy, od momentu gdy się przywitałeś. Skoro sądzisz, że jestem sexy, musisz myśleć, że sypiam z mężczyznami.

- To wcale nie jest tak. Gdy mówię, że jesteś sexy, mam na myśli efekt zmysłowy, jaki na mnie wywierasz. Gdy patrzę na ciebie, gdy jestem obok ciebie, jestem seksualnie podniecony. Nie, to nie obelga, lecz komplement i chciałbym, abyś tak to odebrała.

Lorie milczała. Początkowo myślał, że skutecznie ją do siebie zraził, lecz gdy znów na nią zerknął, zobaczył, że siedzi obok z lekkim uśmiechem zadowolenia.

- Jezu Chryste - powiedział - jesteś najdziwniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. A spotkałem już kilka dziwnych.

Zaśmiała się. Potem wskazała przed siebie, na samochód Mathieu i powiedziała:

- Lepiej obserwuj drogę. Jesteśmy prawie na miejscu.

Byli cztery lub pięć mil za miastem, w drogiej, pełnej zieleni dzielnicy z przedwojennymi domami o pomalowanych na biało okiennicach. Mathieu odbił w wąską uliczkę prowadzącą przez tunel drzew i wkrótce jechali wzdłuż wąskiej ściany ze starej cegły, obrośniętej mchem i najeżonej rzędami długich, zardzewiałych szpikulców.

- To ściana naszego ogrodu - powiedziała Lorie. - Dom jest tuż za nią.

Pokonali ostry zakręt i w samochodzie Mathieu zabłysnęły światła „stop”. Zatrzymali się. Parkowali na półokrągłym podjeździe, który prowadził do wysokiej, żelaznej bramy. Za nią Gene dostrzegł świeżo posypaną żwirem prywatną drogę, która wiodła w mrok. Sam dom niewątpliwie

znajdował się w odległym krańcu i nie był widoczny z drogi.

Mathieu nie wyszedł z samochodu, lecz siedział w nim z wciąż włączonym silnikiem, obserwując ich przez lusterko wsteczne. Spaliny z rury wydechowej limuzyny wznosiły się w deszczową noc.

- Czy to już koniec? Chez Semple? - spytał Gene.

- Zgadza się - powiedziała Lorie, zakładając chustę.

- To znaczy, że podrzuciłem cię tutaj i to wszystko? Spojrzała na niego zielonymi, kocimi oczami.

- A czego oczekiwałeś? Zaproponowałeś mi odwiezienie do domu i właśnie to zrobiłeś.

- Nie zostanę nawet zaproszony na odrobinę ovaltine?

Potrząsnęła głową.

- Przykro mi. Chciałabym, lecz mama nie czuła się zbyt dobrze.

- Ależ ja wcale nie zamierzałem jej o to prosić.

- O co?

- O ovaltine, oczywiście. Może zostać w łóżku, jeśli chce.

Lorie wyciągnęła rękę i dotknęła go.

- Gene - powiedziała - jesteś bardzo słodki i lubię cię...

- Ale nie zamierzasz mnie zaprosić. W porządku, wiem, o co chodzi.

- To nie to.

Wzniósł bezradnie dłonie.

- Wiem, co to jest a co nie jest - stwierdził. - Jesteś śliczną młodą dziewczyną z rodziny o pewnych tradycjach i zawsze robisz wszystko za pozwoleniem mamy, we właściwy, staroświecki sposób. Cóż, powiedzmy, że mi to odpowiada.

- To znaczy?

- To znaczy, że wpadnę do ciebie jutro o odpowiedniej godzinie, przedstawię się twojej matce i spytam, czy mogę cię zabrać na obiad. Podejmę się nawet odstawić cię, nienaruszoną, przed zmrokiem.

Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas, a potem powoli pokręciła głową.

- Gene - powiedziała - to niemożliwe.

- Co jest niemożliwe? Odwróciła się.

- Lubię cię - stwierdziła. - To właśnie sprawia, że nie zjemy razem obiadu.

- Lubisz mnie, więc ze mną nie wyjdiesz? Gdzie tu logika?

Otworzyła drzwi samochodu.

- Gene - powiedziała delikatnie - naprawdę myślę, że byłoby lepiej, abyś zapomniał, iż kiedykolwiek mnie spotkałeś. Proszę... dla twego własnego dobra. Nie chcę, by coś ci się stało.

Gene potarł swą szyję z zakłopotaniem.

- Lorie, jestem naprawdę wystarczająco dorosły, by o siebie dbać. Może nie jestem ekspertem w izraelskim kung-fu, lecz przeszedłem już wystarczająco wiele, by wyrobić ochronną powłoczkę dla swoich tkanek. Gdybym wycofywał się z każdego potencjalnego związku z obawy przed doznaniem krzywdy... Jezu, skończyłbym jako dziewczica, zupełnie jak ty.

- Gene, proszę.

- Wszystko w porządku, że „prosisz” w ten sposób, lecz ja nie rozumiem. Jeśli uważałaś mnie za wyjątkowo obrzydliwego i niemiłego, mógłbym cię zrozumieć, lecz to oczywiste, że tak nie jest. Odwozłem cię do domu. Powiedziałem ci, że jesteś piękna. Czy nie należy mi się choćby wyjaśnienie?

Początkowo nie odpowiedziała. Jedna strona jej twarzy była oświetlona czerwonymi światłami samochodu Mathieu, a druga pozostawała w cieniu. Dzięki nieustannemu warkotowi ośmiocylindrowego silnika limuzyny Gene przypomniał sobie nagle, że Mathieu ciągle ich obserwuje. W sposób, którego nie potrafił wyjaśnić, poczuł się wyjątkowo bezbronny wobec wszelkich niebezpieczeństw, jakby ta dziwna sytuacja zaczęła nagle stwarzać zagrożenie.

- Gene - wyszeptała Lorie - pójdę już.

Zacząła wysiadać z samochodu, lecz przytrzymał ją za nadgarstek. W ciągu sekundy wyrwała mu się z siłą, która prawie pozbawiła go równowagi, lecz potem nagle rozluźniła się, jakby z wysiłkiem, i pozwoliła wciągnąć się z powrotem na siedzenie pasażera.

Zbliżył się i pocałował ją. Miała delikatne, wilgotne wargi, lecz nie chciała ich rozchylić. Przytulił ją mocniej, próbując wepchnąć koniuszek języka w jej usta, ale nie pozwoliła mu na to, cofając głowę. Wydawała się nie opierać, dopóki cieszył się młodzieńczym pocałunkiem, jednak w przypadku dziewczyny tak zmysłowej jak Lorie, to mu nie wystarczało.

Lewą dłonią dotknął jej ramienia. Z ustami przy jego ustach, próbowała go odepchnąć. Przez krótki, wspaniały moment dotykał dłonią jej biustu, ciężkiego i gorącego, lecz nagle poczuł ostre ugryzienie w język. Wywinęła mu się i wyskoczyła z samochodu.

Potarł usta palcami. Była na nich krew. Czuł również jej nieprzyjemny smak w gardle. Wyjął czystą, białą chusteczkę z butonierki i przyłożył ją do warg.

Lorie stała nie opodal, niespokojna i zagniewana, lecz nie podniósł na nią wzroku. Chryste! Ugryziony przez jakąś piekielną dziewicę ze szkoły wyższej! - pomyślał. Nie wiedział, kto bardziej go złościł. Lorie, za zrobienie sobie wieczornej przekąski z jego języka, czy on sam za próbę pocałowania panienki, która okazywała się mieć morale.

- Gene...

Nadal nie podniósł głowy.

- Gene, przepraszam, nie dałeś mi wyboru. Zakaszlał i wypluł odrobinę krwi na chusteczkę.

- Po prostu idź do domu, do swojej matki, dobrze? - wymamrotał.

- Gene, musisz zrozumieć, że to by się nie udało. Nigdy.

- Założę się, że by się nie udało! Jeśli będę chciał zostać zjedzony żywcem, mogę wrócić do Everglades i położyć się przed nosem aligatora!

- Proszę, Gene. Czy nie widzisz, że cię lubię?

Czuł płynącą krew. Krwawienie wydawało się ustawać, lecz dziewczyna z pewnością ugryzła go głęboko i mocno. Prawie dołączył do Mathieu w drużynie ludzi po/bawionych języków, a to z pewnością nie pomogłoby jego ambicjom politycznym.

- Po prostu idź sobie stąd, dobrze? - powiedział. Jadę do domu.

Mathieu opuścił limuzynę i teraz stał kilka jardów dalej, obserwując Lorie w ciszy i skupieniu. Znow zaczęło padać, deszcz zabębnił na żwirze i trawie.

W końcu Lorie odwróciła się i odeszła. Mathieu wziął ją pod ramię i podprowadził do samochodu.

Gdy otworzył tylne drzwi, obejrzał się w kierunku Gene'a z twarzą tak pozbawioną emocji, jak kamienny posąg. Potem wszedł i ruszył w kierunku żelaznej bramy.

W zupełnej ciszy, gdy limuzyna zbliżała się do niej, brama rozwarła się. Po przejechaniu samochodu zamknęła powtórnie dostęp do środka. Gene ujrzał znikające na żwirowej alejce tylne światła samochodu. Błysnęły jeszcze parę razy między drzewami i krzakami, aż zupełnie przepadły. Potem nie pozostało już nic prócz wysokiego muru, zamkniętej bramy i lśniącego na trawie deszczu.

Siedział przez chwilę nieruchomo, po czym wyłączył silnik. Nadal przytykając chusteczkę do

języka, otworzył drzwi i wyszedł na deszcz. Był tak daleko od miejskich latarni, że dostrzegał płynące nad głową ciemne chmury i blady księżyc świecący nad drzewami.

Najciszej jak mógł podszedł do bramy. Nie chciał jej dotykać, na wypadek gdyby była pod napięciem, lecz stanął blisko i zaglądał na drugą stronę. Dróżka wiodła dębową aleją i znikła około pięćset jardów dalej, za zakrętem prowadzącym prawdopodobnie do głównego budynku. Wydawało mu się, że dostrzega ciemną sylwetkę dachu i kominów, lecz równie dobrze mogły to być gałęzie drzew.

Było coś groźnego, a jednocześnie intrygującego w domu Semple'ów. Chciał rzucić nań okiem, choćby tylko po to, by usatysfakcjonować się stwierdzeniem, że jest to kolejna droga rezydencja dyplomatyczna ze staroświeckimi lampami, krzewami rozmarynu i wszystkimi tego typu dodatkami. Wrócił do samochodu, pochylił się, by otworzyć skrytkę na rękawiczki, i wyjął z niej mały zestaw śrubokrętów, jaki dostał od jednej ze swych dziewczyn z dołączoną notką: „Od tej, która cię najbardziej podkręca, z miłością”.

Jeden ze śrubokrętów wyposażony był w tester napięcia. Wyjął go i wrócił do żelaznej bramy. Potem bardzo ostrożnie dotknął metalową końcówką jednej z żelaznych krat. Nic się nie stało. Wrota nie były pod napięciem. Przyjrzał się im. Były tak wysokie, że prawdopodobnie niepotrzebnie zaopatrzone je dodatkowo w ostre szpikulce. Myśl o nabiciu się na jeden z nich nie podniosła go bynajmniej na duchu.

Chwycił bramę obiema dłońmi, a potem poszukał oparcia dla stóp. Początkowo szło mu łatwo, gdyż mógł opierać się na wielu ornamentach i mimo zasapania z wysiłku wspiął się w kilka sekund. Jednak wyżej żelazo miało mniej zawijasów, a na samym szczycie nie było ich zupełnie. Tylko gołe pręty zakończone szpikulcami.

Przystanął na chwilę, by odpocząć, około dziesięć stóp nad ziemią. Patrząc za siebie mógł dostrzec swój biały samochód z wciąż otwartymi drzwiami, a za nim szosę wiodącą do domu Semple'ów oraz odległe światła sąsiednich domów. Z przodu, przez nieomal więzienne kraty bramy, nadal nie dostrzegał nic poza ciemną ścianą drzew i jaśniejszą wstęgą wijącą się między nimi alejki. Deszcz nieco zelżał i powiał lekki, świeży wiatr. Wolałby, żeby jego język nie był aż tak cholernie obolały, lecz z drugiej strony to stanowiło jeden z powodów wspinaczki na te gotyckie wrota.

- W górę, mój chłopcze, ciągle w górę - wysapał do siebie, cytując dawne słowa agenta swej kampanii na Florydzie. Chwycił dwie żelazne piki, przycisnął spody butów do bramy i zaczął się podciągać jak wyspiarz z Fidżi włączając na drzewo kokosowe.

Zasapany dotarł do szczytu. Najtrudniejsze było przebrnięcie nad samymi szpikulcami. Nie miał oparcia dla stóp i musiał spróbować wcisnąć buty między pręty, w nadziei, że się nie ześlizgną albo, co gorsza, nie utkną na dobre.

Wcisnął lewą nogę i ostrożnie przeniósł prawą nad ostrzami. Brama zatrzęsła się pod jego ciężarem. Pozostał w tej pozycji, oddychając głęboko, aż zebrał siły na wciśnięcie prawej nogi między pręty po drugiej stronie i uwolnienie lewej.

Właśnie wtedy dobiegł go jakiś hałas od strony domu. Zastygł z płynącym po twarzy potem i nadśluchiwał. Prawdopodobnie był to tylko odległy grzmot. Uprzedzono o możliwości burz tej nocy, a one zwykle nadciągały nad Waszyngton z tej strony rzeki. Chwycił mocniej wrota i przygotował się do ich przeskoczenia.

Hałas powtórzył się i tym razem bez wątplenia nie był to grzmot. Mógł to być motocykl lub samolot odrzutowy, ale nie grzmot. Próbował coś dojrzeć wśród ciemności terenu Semple'ów, lecz chmury przesłaniały księżyc i widział jedynie zarysy drzew. Hałas dochodził z pewnością stamtąd.

Potem dotarł do niego najbardziej przeraźliwy dźwięk, jaki kiedykolwiek dane mu było słyszeć.

Hałasowały przedzierające się między krzakami i drzewami duże zwierzęta. Co więcej, zdążyły w jego kierunku. Wypuszczono na niego psy!

Napięty i przerażony z powrotem przełożył nogę nad szczytem bramy. Pogoń zbliżała się i wołał nie patrzeć w stronę domu. Walczyłby uwolnić lewą nogę spomiędzy prętów, lecz nie miał odpowiedniego oparcia i usiłowania te pozostawały bez rezultatu. Ciągnął najmocniej, jak potrafił, ale noga nadal tkwiła zablokowana.

Zdał sobie sprawę z obecności dużych jasnych kształtów mknących między dębami i trzasku ostrych pazurów na żwirze. Wówczas stracił oparcie i ześlizgnął się, a raczej spadł, z bramy na ziemię, nadwierzając kostkę i pozostawiając wciśnięty między pręty lewy but.

Dyszząc z bólu, rzucił się w kierunku samochodu tak szybko, jak tylko potrafił. Tuż za sobą usłyszał pomruki i drapanie bestii, które dotarły już do wrót i rzuciły się na nie warcząc i szczekając w sfrustrowanej agresji.

Uruchomił samochód, zawrócił wzbijając fontannę żwiru i z piskiem opon ruszył jak najdalej od tego miejsca. Dopiero na głównej drodze do Waszyngtonu zwolnił i pozwolił sobie na wytchnienie. Jego system nerwowy był porażony strachem.

Dotarł do swego apartamentu w Georgetown i zaparkował samochód na ulicy. Była to spokojna, stara dzielnica, a on miał szczęście wynajmować najwyższe piętro mrocznego, ceglanego domu znajdującego się w głębi zadbanej parceli. Właściciel był przyjacielem jego ojca z czasów studenckich. Otworzył bramę i ruszył, z jedną nogą w skarpetce, do drzwi frontowych.

Zapalił wszystkie lampy w urządzonym na jasnożółty kolor pokoju dziennym, włączył jakiś nocny film jednocześnie przyciszając dźwięk i puścił Mozarta. Dopiero wówczas zaczął rozmyślać o Lorie Semple. Nalał sobie solidną szklankę Jacka Danielsa i rozparł się na kanapie, opierając zwichniętą stopę na onyksowym stoliku do kawy. Przywoływał wydarzenia tej nocy i próbował uporządkować je w jakiś rozsądny sposób.

Nie ulegało wątpliwości, iż Lorie to fascynująca dziewczyna. W normalnych okolicznościach jadłby teraz z nią kolację, przy grającej uwodzicielskie melodie orkiestrze, widząc w jej oczach obietnicę dalszego ciągu. Oczekiwałby, że skończy się to co najmniej randką następnego dnia. Lecz ona potraktowała go z kamiennym chłodem, chociaż utrzymywała, że go lubi, a nawet była gotowa ugryźć go, by jasno wszystko zrozumiał.

Zapalił papierosa i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo spuchnięty ma język. Przeszedł do małej brązowo-czarnej łazienki z mnóstwem buteleczek drogich wód po goleniu i zapalił światło nad lustrem. Potem wystawił język i obejrzał go.

Bardzo dziwne było to, że szkarłatne ranki znajdowały się w pewnej odległości od siebie i było ich niewiele. Normalne, ludzkie ugryzienie jest zwykle łukowate, a to składało się z czterech oddzielnych ranek. Gene dotknął ich delikatnie i oniemiał. Wyglądało to tak, jakby ugryzł go duży pies.

Przez długą chwilę stał przed lustrem, a gdy zadzwonił telefon, drgnął nerwowo.

ROZDZIAŁ 2

To był Walter Farlowe, jego szef. Chciał przypomnieć, że następnego dnia o jedenastej odbywa się spotkanie dotyczące negocjacji w sprawie Indii Zachodnich i że oczekuje jego punktualnego przybycia. Gene odparł, iż dobrze się przygotował i wszystko jest w najlepszym porządku.

- Czy ty przypadkiem nie masz kataru? - spytał Walter.

- A czy mówię tak, jakbym miał?

- Nie wiem. Mówisz dziwnie, jakbyś miał w ustach kluskę albo coś w tym stylu.

- Ach, to - stwierdził Gene. - Ugryzłem się niechcący w język.

Walter zachichotał.

- Ugryzłeś się w język? Szkoda, że nie zrobił tego Henry Ness.

- Chciałbym, żeby odgryzł sobie tę całą swoją cholerną głowę.

Po odłożeniu słuchawki Gene nalał sobie kolejnego drinka i usiadłby dalej rozmyślać. W życiu politycznym zdobył sobie opinię kończącego wszystko, do czego się zabierał. Każda sprawa, każdy raport, każdy

incydent był dokładnie udokumentowany, szczegółowy i zamknięty. Nieporządek przeszkadzał mu, a tak właśnie stało się w przypadku Lorie Semple. Oprócz tego, jego duma została naruszona po raz pierwszy od dwudziestu lat. Ta dziewiętnastoletnia dziewczina nie tylko ugryzła go w język, lecz również poszczuła psami i zmusiła do ucieczki, pozbawiając uwięzionego między prętami angielskiego buta za siedemdziesiąt pięć dolarów.

Sięgnął po książkę telefoniczną i poszukał nazwiska Semple. Tak jak oczekiwał, nie było go na liście. Przez chwilę stał dzwoniąc szklanką o zęby, po czym ujął słuchawkę i wykręcił numer. W końcu, pomyślał, jest dopiero po północy, a w Waszyngtonie niewiele panienek kładzie się spać o tej porze.

Telefon zadzwonił jedenaście razy, zanim ktoś go odebrał. Zaspany dziewczęcy głos spytał:

- Hallo? Kto mówi?

- Maggie - powiedział najwyraźniej, jak potrafił - to ja, Gene.

- Która godzina?

- Och, nie wiem. Sądzę, że koło dwunastej.

- Nie wiesz? Kupuję ci Jeager-le-Coultre za trzysta dolarów, a ty nie wiesz?

- Nie bądź uszczypliwa. I tak nie spałaś, prawda? Maggie wydała długie, cierpliwe westchnienie.

- Nie, Gene. Nie spałam. Czy którakolwiek dziewczyna mogłaby się utrzymać na stanowisku twojej sekretarki, gdyby spała? Wciąż czuam, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po prostu przez pewien czas czuam nieco słabiej niż zwykle.

Gene słuchał cierpliwie.

- Maggie - powiedział - wiem, że to nieco niefortunnie, ale zastanawiałem się, czy mogłabyś wyświadczyć mi małą przysługę.

- Zawsze tak mówisz! Gene, mam dzisiaj wolną noc! Czy dziewczyna nie może sobie od czasu do czasu pozwolić spokojnie na to, co czyni ją piękną?

- Maggie, ty zawsze jesteś piękna, wypoczęta czy nie.

- Nie wciskaj mi kitu. Co mam dla ciebie zrobić?

- Pamiętasz francuskiego dyplomatę Jeana Semple? Umarł około trzech miesięcy temu w

Kanadzie czy gdzieś tam.

- Zgadza się. Rozszarpały go niedźwiedzie na polowaniu.

- Dobrze, co więcej o nim wiesz? Rodzina? Dom?

- Zupełnie nic. Dlaczego?

Gene wziął telefon i poszedł z nim na kanapę. Na kolorowym ekranie telewizyjnym podnosiły się z grobów jakieś zżarte przez mole monstra, a gromada przerażonych ludzi uciekała przed nimi w ciszy, wymachując ramionami. W tle nadal łagodnie brzmiała muzyka Mozarta.

- Dziś wieczorem spotkałem córkę Semple'a na przyjęciu u Schirry. Była bardzo tajemnicza, wiesz? Bardzo... jakby to powiedzieć... odległa. Mam uczucie, że jest w niej coś dziwnego, o czym powinienem wiedzieć.

Maggie znów westchnęła.

- To znaczy, że dała ci kosza i potrzebujesz jakiegoś haczyka, by osiągnąć sukces podrywacza?

- Och, daj spokój, Maggie, to wcale nie jest tak. Ona mieszka w olbrzymim domu za miastem, otoczonym murami jak Fort Knox, z olbrzymimi psami, które są prawdopodobnie w stanie odgryźć człowiekowi nogę jednym kłapnięciem.

- Może Semple'owie mają jakąś wartościową kolekcję dzieł sztuki czy coś takiego. Czy widziałeś ten dom na własne oczy?

- Nie przepuszczono mnie nawet przez bramę. Ona ma swojego goryla, Mathieu. Jest niemy i wygląda jak Jack Palance w roli Drakuli. Gdy grzecznie poprosiłem o wpuszczenie mnie do środka, otrzymałem odmowę stulecia.

- Ty? Grzeczny?

- Potrafię być, kiedy chcę. Problem w tym, że miejsce jest nie do zdobycia, choćby stawać na głowie. Chcę tylko wiedzieć, co tam jest grane? To znaczy, Lorie Semple to wspaniała dziewczyna i, wierz albo nie, chciałbym ją lepiej poznać, ale to przede wszystkim ciekawość.

- Czy myślisz, że to jeszcze kiedyś się zdarzy? - spytała Maggie niespodziewanie.

- Czy myślę, że co jeszcze kiedyś się zdarzy?

- My. Ty i ja. Para, której prawdopodobnie powinno się udać. Czyż tak nie piszą w horoskopach?

- Maggie... Jestem młodym mężczyzną. Mam przed sobą całe życie.

- Jeśli twierdzisz, że człowiek trzydziestodwuletni jest młody, to powinieneś zdać sobie sprawę, że to tylko osiem lat do czterdziestki.

Przełknął whisky.

- Okay, zadzwoń do mnie za osiem lat. Ale czy najpierw wyświadczysz mi tę przysługę?

- Co chcesz wiedzieć?

- Chcę znać numer telefonu Lorie. Chcę również wiedzieć, czy ona kiedykolwiek wychodzi, a jeśli tak, to gdzie i jak spędza czas. Interesują mnie szczególnie fotografie domostwa i przyczyny śmierci Jeana Semple. A, i zobacz, co możesz znaleźć na temat pani Semple, matki Lorie. Wydaje się, że to jakiś przyczajony potwór. Maggie skończyła zapisywać jego polecenia.

- Jak prędko tego potrzebujesz? Pytam, choć i tak znam odpowiedź.

- Co byś powiedziała na jutro?

- Jutro jest niedziela.

- Zgadza się, a więc nie będziesz musiała zarywać pracy. Będę w biurze Waltera prawie cały ranek. Może byś do mnie podskoczyła z tymi materiałami i pójdziemy na lunch.

- Obiecujesz?

- Przysięgam. Czy myślisz, że opowiadałbym ci kłamstwa w szabas?

- Nie więcej niż zwykle. Przy okazji, co jesz?
- Nic. Co masz na myśli?
- Mówisz, jakbyś coś jadł - powiedziała. Dotknął języka.
- Ach, to. Nie, nic nie jem. Po prostu boli mnie ząb, to wszystko.
- Okay, Gene. Do zobaczenia jutro. Nie zapomnij o lunchu.
- Pa, pa, droga Maggie.

Odłożył słuchawkę. Wiedział, że prośenie Maggie

o zdobycie informacji o Lorie Semple było niedelikatne, i czuł się odrobinę winny, lecz była jedyną osobą, o której wiedział, iż mogła zrobić to dyskretnie i szybko. Gdyby poprosił Marka Wellmana o zrobienie tego samego lub zwróciłby się z tym do jakiegoś kolwiek innego mężczyzny ze swego kręgu, wieść o ugryzionym języku i zgubionym bucie rozeszłaby się po Waszyngtonie lotem błyskawicy. Jego nazwisko prawdopodobnie już łączono romantycznie z Lorie, a to mogło jedynie utrudnić zdobycie informacji.

Zastanawiał się, czy wypić kolejnego drinka. Zaczynał się czuć zmęczony i obolały. W końcu rozebrał się i wziął prysznic. Stojąc pod strumieniami wody, myślał o Lorie Semple. Jeszcze raz przeanalizował cały wieczór, od momentu podejścia do niej z wyciągniętą ręką do niezwykłego uczucia towarzyszącego dotknięciu jej piersi przez cienki materiał sukni.

Namydlił się. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo Lorie Semple go podniecała.

Poszli do małej knajpki niedaleko biura Waltera Farlowe'a, usiedli za zieloną szybą przepierzenia i zamówili stek oraz jajka.

Było to ulubione miejsce funkcjonariuszy politycznych pracujących w niedzielę i gdy tam przybyli, zastali już spory tłumek. Doświadczony obserwator potrafiłby odróżnić demokratów na pierwszy rzut oka i dostrzec, że podczas gdy oni mieli tendencje do siadania na tyłach, wokół wózka ze słodyczami, republikanie kierowali się raczej ku oknom.

Maggie wyglądała jak zwykle świeżo i uroczo. Była drobną, śliczną brunetką z zadartym nosem i dużymi brązowymi oczami. Zawsze przypominała Gene'owi dziewczęta z okładki „Saturday Evening Post” witające powracających do domu chłopców. Może dlatego nie ożenił się z nią parę lat temu. Byli przyjaciółmi z lat dziecińczych w Jacksonville, a w wieku lat siedemnastu stali się kochankami, pozostając bardzo blisko aż do czasu, gdy mieli po dwadzieścia jeden lat.

Wówczas u Gene'a odezwały się ambicje polityczne, a Maggie poszła do college'u. Ich romans rozwiął się i zniknął, gdy oboje ruszyli własnymi drogami. Gene zakochał się w bogatej mężatce, prawie dwa razy starszej od niego, i został emocjonalnie przenicowany, podczas gdy Maggie pokochała jakiegoś gogusia z Yale i przeszła przez wszystkie problemy niechcianej ciąży oraz aborcji.

Teraz byli znów razem, gdyż stanowili dwójkę przyjaciół oraz ze względu na ogólnodemokratyczny trend do wspólnoty w nowej administracji.

Gene urwał kawałek chleba.

- Zdobyłaś te informacje? - spytał. Uśmiechnęła się.

- Utyjesz jedząc tyle chleba, wiesz?

- Przy mojej diecie nikt by nie utył. Czy wiesz, co jadłem wczoraj wieczorem? Pasztet z kraba i dwa drinki. Dziś rano na spotkaniu u Waltera byłem tak głodny, że burczało mi w brzuchu.

Maggie podniosła z podłogi swoją torebkę i poszperała w niej. Wyjęła ze środka notes i otworzyła.

- Zdobyłam większość informacji - stwierdziła - poza numerem telefonu Lorie Semple. Z tym będziemy musieli poczekać do poniedziałku, gdy otworzą biuro danych przedsiębiorstwa

telefonicznego.

Gene zakaszał.

- Jestem ważnym politykiem, a muszę czekać do poniedziałku rano. Czy Jack Kennedy musiał kiedykolwiek czekać do poniedziałku rano? Czy którykolwiek z prezydentów musiał?

- Och, sądzę, że tak - odparła Maggie. - Sprawa polega na tym, że chciałam wszystko załatwić bez szumu. Dziś rano miałam już telefon z sekretariatu senatora Hasbauma z zapytaniem, jak ci poszło z niesamowitą panną Semple. Na twoim miejscu trzymałabym ten szczególny romans z dala od prasy.

- Romans? Kto tutaj mówił o romansie? Jeśli nazywasz zwichniętą kostkę i ugryziony język romansem...

Maggie mrugnęła do niego.

- Sądziłam, że mówiłeś o bolącym zębie. Gene wzruszył ramionami.

- No cóż, uczucie jest podobne. Ząb, ugryzienie. Trudno wyczuć różnicę.

Maggie przerzuciła kilka kartek notesu.

- Dom rodziny Semple'ów jest bardzo interesujący. Znajduje się na czterdziestu akrach gruntu, w Merriam. Większość terenu zajmują krzewy i drzewa. Obiecano mi fotografię lotniczą. Dom jest piętnastopokojowym przedwojennym pałacykiem zbudowanym przez plantatora tytoniu z Wirginii. Należał potem do różnych biznesmenów i polityków, aż przestał być używany w 1911. Stał pusty do czasu, gdy w 1973 roku nabyli go Semple'owie. Właśnie wtedy Jean Semple został przedstawicielem francuskiej dyplomacji w Waszyngtonie. Od tego czasu wciąż tam mieszkają.

Przyniesiono stek i jajka. Gene zabrał się do przyprawiania, podczas gdy Maggie nadal czytała.

- Jean Semple jest, lub raczej był, bardzo wykształconym i bogatym człowiekiem. Urodził się w 1919 w Sassenage w bogatej rodzinie i wygląda na to, że z góry przeznaczono go do służby dyplomatycznej. Pojechał do Egiptu w 1951 jako początkujący dyplomata i tam spotkał swoją przyszłą żonę, Leile. Prawie nie ma o niej informacji, poza panięńskim nazwiskiem: Misab. Wiadomo też, że większość życia spędziła w Sudanie. Ich jedyna córka, Lorie, urodziła się dziewiętnaście lat temu w Paryżu. Jean zawsze był miłośnikiem natury. Przeznaczył dość dużo pieniędzy na różne związane z nią przedsięwzięcia, głównie parki narodowe w Afryce. Był również myśliwym i właśnie podczas polowania został rozszarpany przez niedźwiedzie. Mam dostać raport kanadyjskiego koronera w tej sprawie.

Gene włożył do ust kawałek steku i zmarszczył brwi.

- Czy to wszystko? - zapytał. - A kosztowności? Czy kolekcjonował coś? To znaczy, dlaczego dom jest tak dobrze pilnowany?

- Nie wiem - powiedziała Maggie. - Rozmawiałam z dwoma francuskimi dyplomatami, którzy go znali, i obaj powiedzieli, że nigdy nic specjalnego nie kolekcjonował i że wszystko, co na jego temat wiedzą, to fakt, iż był odludkiem. Powiedzieli mi również o niezwyklej urodzie jego żony. Jeden z nich określił ją jako kobietę *une grande poitrine*.

- Co znaczy *une grande poitrine*.

- Duże cycki. Sądziłam, że nawet twój francuski obejmuje ten zwrot.

- Przestań być sarkastyczna, jedz swój stek. Skończyli posiłek, a potem poszli do biura Gene'a, mijając po drodze Biały Dom.

Był szary, wilgotny dzień, typowy dla przełomu września i października, gdy waszyngtońska pogoda waha się z podjęciem decyzji. Nad nimi mknął na lotnisko Dulles niewidzialny, hałaśliwy odrzutowiec, klucząc po trudnej ścieżce zejścia nad Potomakiem. Gdy doszli do trwającego w ciszy portyku biura, uścisnęli sobie ręce.

- Dzięki za lunch - powiedziała Maggie. - To był najlepszy stek, jaki jadłam od paru tygodni.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Może powinniśmy robić to częściej?

- Co częściej? - spytała z udawaną niewinnością. Spoglądał na nią przez moment, pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Wszystko to, co robią dobrzy przyjaciele.

- Będiesz ostrożny, prawda?

- Ostrożny?

Otuliła się szczerzej marynarką.

- Chodzi o to, co powiedział jeden z tych francuskich dyplomatów. Nie mówiłam o tym wcześniej, bo sądziłam, że zabrzmiałby śmiesznie. Lecz nie dawało mi to spokoju.

- O co chodzi? Mam uważać na psy?

- Nie, chodzi o dużo dziwniejszą rzecz. Gdy powiedział mi wszystko o pani Semple i Lorie, spytał, czy ktoś interesuje się nimi, myśli o małżeństwie. Powiedziałam, że nie sądzę. Lecz on stwierdził, że jeśli by tak było, mam ostrzec go przed tańcem.

- Przed tańcem? Co to, u diabła, znaczy?

- Nie wiem. Mówiłam już, że to brzmi śmiesznie. Pomyślałam tylko, iż powinienes wiedzieć. Na wszelki wypadek.

Gene ujął ją za rękę i roześmiał się. Odbity od portyku śmiech był dziwnie stłumiony.

- Moja piękna Maggie powiedział. Ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mi do głowy, jest małżeństwo z Lorie Semple, a cóż dopiero z jej matką. Sposób, w jaki mnie potraktowała ostatniej nocy, sprawia, iż nie sądzę, bym jeszcze kiedykolwiek miał ją zobaczyć czy tym bardziej zamienić z nią choć słowo.

- Nie wiem - stwierdziła Maggie. - Zawsze wyobrażałam sobie ciebie z hordą dzieci i podmiejskim domkiem w Grand Rapids.

- Z Lorie Semple? Chyba żartujesz. Maggie wzruszyła ramionami.

- Pewnego dnia i tak cię to czeka. Kiedyś myślałam nawet, że ze mną.

Gene stał z rozwianymi na wietrze włosami. Miał kwadratową twarz kandydata na demokratę, lecz jak oni wszyscy potrafił również wyglądać czule i smutno.

- Maggie... - zaczął, lecz pokręciła głową i odwróciła się od niego.

- To nie ma znaczenia - powiedziała delikatnie. - Cokolwiek zrobisz, nie ma znaczenia, byleby to było z korzyścią dla ciebie.

Potem odeszła w głąb ulicy i zostawiła go stojącego pod wysokim i dostojnym progiem jego biura.

Mniej więcej godzinę później Gene wyłączył lampę na biurku i zdjął okulary w grubej oprawce. Raport był prawie skończony i pomyślał, że może go bez trudu dopracować nad ranem. Choć w biurze było już szarawo, niebo nadal jaśniało i doszedł do wniosku, że pozostały jeszcze trzy lub cztery godziny do zmroku. Złożył papiery na biurku i wstał. Może powinien jeszcze raz udać się do domu Semple'ów i sprawdzić wszystko sam?

Cały dzień krążyły mu w głowie erotyczne myśli o Lorie Semple. Nawet podczas spotkania w sprawie Indii Zachodnich. Gdy zamykał oczy choćby na ułamek sekundy, widział jedwabiste, myślowe ciało i piękną kocią twarz.

Powiedział do siebie głośno:

- Ta kobieta zalazła mi za skórę.

Wyciągnął papierosa z pomiętej paczki i zapalił.

A może wpaść do niej? Gdzieś przy głównej bramie powinien być dzwonek dla gości i może gdyby skorzystał z niego i zaanonsował się, zamiast próbować się wkraść przez mur jak drugorzędny

opryszek, zostałby wpuuszczony do środka. Miał nadzieję, że Lorie nie znalazła jego buta.

Zamknął biurko, wyłączył światła i zszedł do samochodu. Gdy wyjeżdżał z centrum miasta, było już koło piątej, a chmury stawały się coraz cięższe i ciemniejsze. W samochodowym radiu jakiś kaznodzieja wzywał o położenie kresu nierówności i koniec wszelkich ludzkich cierpień. Gene dorobił do tego własną konkluzję dotyczącą końca tracenia drogich butów w bramach.

Znalezienie wąskiej dróżki do domu Semple'ów zajęło mu pół godziny. Dwa razy przejechał obok, nie rozpoznając jej. W świetle dziennym wyglądała jakoś inaczej, chociaż wiedział, że w nocy skręcił w prawo, przejechał przez tunel drzew i dotarł do szczytu wzgórza, jadąc wzdłuż wysokiej, najeżonej ściany. Skręcił jeszcze raz i znalazł się przed żelazną bramą. But, tak jak się obawiał, zniknął.

Wysiadł z samochodu i podszedł do krat. Nawet w dzień posiadłość Semple'ów wyglądała mrocznie, a liście dębów smętnie szeleściły na wietrze. Alejka rozciągała się wprost przed nim i znikwała za rogiem. Wiedział, że musi dociec, co znajduje się dalej.

Cofnął się o kilka kroków, rozglądając się na prawo i lewo, aż w końcu dojrzał to, czego szukał. Mały mosiężny dzwonek z nazwiskiem „Semple” wygrawerowanym gotyckimi literami.

Nacisnął dwukrotnie. Potem zaczął chodzić tam i z powrotem, w oczekiwaniu, aż ktoś się pojawi.

Dopiero po dziesięciu minutach zauważył jakąś oznakę życia. Usłyszał silnik elektryczny i z zakrętu wyjechał biało-czerwony wózek golfowy kierowany przez Mathieu.

Minęło kolejne pięć minut, nim wózek dotarł do bramy. Mathieu zatrzymał go kilka jardów dalej i wysiadł. Potem podszedł do Gene'a i obejrzał go przez kraty.

- Wpadłem do Lorie - powiedział Gene, nieco głośniej i mniej pewnie, niż zakładał. - Jeśli jest w środku, to chciałbym się przywitać.

Mathieu zastanawiał się przez chwilę. Potem zaczął machać rękami, jakby mówił „nie”.

Gene stał niewzruszony.

- Czy mógłby pan przekazać jej po prostu, że tu jestem?

Mathieu znów zamachał rękami. „Nie, monsieur. Nie mogę.”

- A zatem może pani Semple. Czy mógłbym się z nią widzieć?

„Nie. Proszę odejść.”

- Nie chcę zrobić Lorie żadnej krzywdy. Nie jestem Casanovą. Chcę się tylko przywitać i zaprosić ją na kolację.

„Nie. Odejdź.”

- Słuchaj - powiedział Gene - załatwmy to delikatnie, co? - Wyciągnął portfel i wyjął z niego dziesięć dolarów. Wetknął je przez bramę. - Pozwól mi wejść, dobrze? Mathieu wpatrywał się w banknot zimnymi, nieubłaganymi oczami. Spojrzał znów na Gene'a z taką pogardą, że ten natychmiast cofnął rękę i schował pieniądze z powrotem do portfela. W tym momencie był nawet zadowolony, że dzieli ich półtonowa krata.

- W porządku - stwierdził Gene. - Skoro nie mogę cię przekonać, to nie. Ale może przekażesz wiadomość? Czy poprosisz Lorie, by do mnie zadzwoniła? Proszę!

Mathieu jeszcze przez chwilę wpatrywał się w niego zimno, po czym odwrócił się i wsiadł do wózka golfowego. Zawrócił z piskiem i odjechał znikając za drzewami. Gene oparł się o wrota i westchnął.

Miał właśnie wrócić do samochodu, gdy zdało mu się, że dostrzegł coś w oddali. Wyteżył wzrok i przez sekundę widział Lorie, wolno spacerującą między drzewami, z dużym psem na smyczy. Miała niebieskie spodnie i białą bluzkę. Jej piaskowe włosy, zaczesane do tyłu, rozwiewał wiatr.

- Lorie! Lorie! - krzyknął, lecz była zbyt daleko i zanim zdążył zawołać powtórnie, zniknęła.

Zawrócił i usiadł w samochodzie. Bębnił palcami po kierownicy i zastanawiał się, co dalej robić. Przekradanie się do środka posesji w świetle dziennym nie wchodziło w rachubę.

Nie pomogło również dalsze wciskanie dzwonka. Mógł jedynie czekać do rana, aż Maggie jakoś zdobędzie numer telefonu. Wtedy może uda mu się ominąć bezdusznego Mathieu i porozmawiać osobiście z Lorie albo chociaż z jej matką.

Pojechał z powrotem do miasta, czując się zawiedziony, lecz jeszcze bardziej zdeterminowany. Po raz pierwszy trafił na tego rodzaju wyzwanie i bez względu na przeszkody postanowił dopiąć swego.

Poniedziałkowy ranek był jasny, z lekkim tchnieniem zimy w powietrzu i Gene założył do pracy prochowiec. Dotarł do biura wcześniej, tuż przed ósmą, lecz Maggie już tam była. Siedziała z plastikowym kubkiem kawy przy swoim biurku i paląc papierosa, rozmawiała przez telefon.

Gene powiesił płaszcz.

- Kto dzwoni? - zapytał. - Czy ktoś, z kim powinienem porozmawiać?

Maggie zakryła słuchawkę dłonią.

- To mój sekretny, poniedziałkowy kochanek. Trzymaj gębę na kłódkę, bo cię usłyszysz.

Gene podszedł do swego biurka i szybko przejrzał pocztę. Była cała sterta listów z Indii Zachodnich i trochę irytujących nagabywań na temat polityki subsydiowania niektórych regionów Ameryki Środkowej. Nawet gdyby zaraz zabrał się do pracy, sprawy te zajęłyby mu większość poranka, a przecież musiał oprócz tego skończyć raport na temat wewnętrznej sytuacji w Indiach Zachodnich. Wyciągnął papierosa i zapalił.

Maggie mówiła:

- Aha. Okay. Rozumiem. Dzięki, Marvin. Jestem twoją dłużniczką.

Potem odłożyła słuchawkę i podeszła do Gene'a z uśmiechem zadowolenia. Miała na sobie skromną rdzawoczerwoną sukienkę i po raz pierwszy od dłuższego czasu zdał sobie sprawę, jaka jest śliczna.

- I co? - spytał, przeglądając sześciostronicowy list na temat produkcji cukru. - Wyglądasz jak kot przechodzący koło mleczarni.

- Dlaczegoż by nie? Prosiłeś o rzeczy niemożliwe, o władco, i niemożliwe stało się osiągalne.

Wyrwała kartkę ze swego notatnika i położyła ją przed nim. Była na niej informacja: First Bank of Franco-Africa, 1214 K Street, a pod spodem numer telefonu.

Uniósł kartkę.

- Co to jest? To ma coś wspólnego z Lorie Semple?

- To tylko jej numer telefonu - stwierdziła Maggie chytrze. - I tylko adres miejsca, w którym pracuje.

Gene uniósł brwi.

- Ona pracuje? Chcesz powiedzieć, że nie spędza całego życia zamknięta w tym domu w Merriam?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałyby to robić?

- Nie wiem - bronił się Gene. - Sposób, w jaki to miejsce jest strzeżone, sprawia wrażenie, że nigdy stamtąd nie wychodzą.

Maggie zgasła papierosa.

- Typowo szowinistyczne podejście. Jeśli ktoś nie pada ci do stóp i nie błaga o zaciągnięcie do łóżka, to musi wieść mroczną egzystencję zamknięty w przedziwnym, starym domu. To byłoby jedynym wyjaśnieniem, według mnie.

- Nie widziałaś tych przeklętych psów wartowniczych. Były takie wielkie!

- To pewnie przyjacielskie bernardyny idące ci na ratunek. Gdybyś nie wpadł w panikę, mógłbyś dostać kapkę brandy.

Gene spojrział na zegarek. Gdyby wziął taksówkę, mógłby dotrzeć do banku przed otwarciem, co oznaczało sposobność złapania Lorie na ulicy.

- Posłuchaj, Maggie - powiedział. - Wychodzę. To nie potrwa długo. Jeśli zadzwoni Walter albo Mark zacznij coś węszyć, powiedz, że wyszedłem w ważnych sprawach dyplomatycznych. Wracam za pół godziny.

- Gene - ostrzegła Maggie - nie angażuj się tak bardzo. Jeśli panienka naprawdę nie chce cię znać, nie rób z siebie idioty.

- Maggie - rzucił wkładając płaszcz - czy kiedykolwiek zrobiłem z siebie idiotę?

- Tylko raz - stwierdziła gorzko i wróciła do swego biurka.

Wypadł na ulicę i przywołał taksówkę. Kierowca był milczącym Murzynem z olbrzymim cygarem; gdy dotarli do K Street, Gene z zadowoleniem wysiadł na chłodne, październikowe powietrze. Zapłacił taksówkarzowi, dał mu napiwek, a potem podszedł do szerokich drzwi z nierdzewnej stali. Przed bankiem czekała mała delegacja Algierczyków. Przytupywali nogami i rozmawiali ze sobą łamaną francuszczyzną. Gene nie potrafił zrozumieć wszystkiego, co mówili, lecz dotarło do niego, że nie są zadowoleni z Jefferson Memoriał. Jeden z nich stwierdził, że przypomina on pawilon sportowy.

Na parę minut przed godziną otwarcia do oczekujących klientów dołączyły dwie dziewczyny. Gene'owi wydawało się, że mogą to być pracownice banku, więc zwrócił się do nich z ujmującym uśmiechem.

- Przepraszam panie - zagadnął.

Odwróciły się i spojrzały na niego obojętnie. Jedna z nich miała nieprzetarte okulary, a druga żuła gumę z taką niespożytą energią, że każdy mięsień jej twarzy pracował intensywnie.

- Przepraszam - powiedział Gene - czy panie tutaj pracują?

- A co to pana obchodzi? - spytała ta z gumą.

- Cóż... - odparł Gene z zakłopotaniem - po prostu pracuje tu moja przyjaciółka i zastanawiałem się, czy ją znacie. Nazywa się Lorie Semple.

- Lorie! Jasne. Jest w departamencie wymiany zagranicznej.

- Czy przyjdzie dzisiaj do pracy?

- Nie opuściła ani jednego dnia - powiedziała dziewczyna żująca gumę. - Jest w doskonałej formie. Dużo ćwiczy. Wie pan, ćwiczenia izometryczne, takie rzeczy...

- Jest pan jej chłopakiem? - spytała ta w brudnych okularach.

Gene potrząsnął głową.

- O, nie. Nic takiego. Tylko przyjacielem.

- Przydałby się jej chłopak - stwierdziła okularnica z przekonaniem.

- Dlaczego? - zaciekał się Gene. - Sądzi pani, że jest samotna?

- Och, nie wiem. Ona jest taka poważna. Rozumie pan, co mam na myśli? Dużo mówi o małżeństwie i ślicznie wygląda, ale nigdy nie miała chłopaka. Może coś nie tak z jej charakterem, wie pan. Poza tym jest bardzo wysoka. Nie sądzę, żeby chłopakom podobały się takie dziewczyny.

- Mój Sam twierdzi, że Wygląda jak zawodniczka koszykówki i to ligi zawodowej - stwierdziła druga dziewczyna.

Gene kontynuował:

- Wiem, że to osobiste pytanie, ale... czy lubicie ją?

- Och, jasne - odparła ta z gumą - Lorie to słodki dzieciak. Naprawdę słodki. Nie można jej nie lubić nawet gdybyś chciał. Ale trudno ją rozgryźć. Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Jak można nie lubić kogoś, kogo się prawie nie zna?

Podczas gdy dziewczyna mówiła, Gene zauważył czarną limuzynę podjeżdżającą do krawężnika. Instynkt podpowiedział mu, że to Lorie i lekko ugiął kolana, by ukryć się za gadatliwą grupką Algierczyków.

- Czy coś nie tak z pana nogami? - spytała dziewczyna w okularach.

Gene uśmiechnął się krzywo.

- Nie, nie. Tak tylko sobie ćwiczę. Proszę się przez chwilę nie ruszać, dobrze?

Słyszał, jak limuzyna zatrzymuje się, a potem otwierają się i zamykają tylne drzwi. Dobiegły go kroki na chodniku i dźwięk odjeżdżającego samochodu. Wyprostował się i zobaczył ją.

W ubraniu do pracy wyglądała jeszcze piękniej. Miała na sobie doskonale leżącą czarną marynarkę z podniesionymi ramionami i spódniczkę. Całości dopełniał czarny kapelusz w stylu lat pięćdziesiątych. Złocistobrązowe włosy były równo upięte z tyłu, lecz to tylko podkreślało jej kości policzkowe i jasnozielone oczy. Gdy go ujrzała, natychmiast stanęła i przycisnęła do piersi czarny notes z wężowej skóry.

- Cześć, Lorie - powiedział łagodnie.

Obie dziewczyny spojrzały na nich i ta żująca gumę szturchnęła drugą w bok.

Lorie początkowo zaniemówiła, lecz podeszła kilka kroków bliżej ze spuszczonej oczami i lekko rozchylonymi ustami.

- A więc mnie znalazłeś - powiedziała swym głębokim głosem. - Spodziewałam się tego. Kto ci powiedział?

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie tak trudno cię znaleźć. Pracowała nad tym moja sekretarka.

- Cóż - odparła - sędzę, że powinnam być zaszczycona. Ktoś tak ważny jak ty, zadaje sobie tyle trudu z powodu kogoś tak nieważnego jak ja.

- Nie bądź śmieszna. Chciałem cię zobaczyć.

Podniosła wzrok. Jej zielone oczy rozwarły się szeroko. Ta dziewczyna jest niezwykle piękna pomyślał. Niesamowite. Jak ktoś może być równocześnie tak piękny i tak niedostępny? To po prostu nie ma sensu.

- Nie sądziłam, że będziesz chciał po sobotniej nocy - stwierdziła Lorie.

- Ależ oczywiście, że tak. Intrygujące są gryzące dziewczyny. W niedzielę byłem w pobliżu i dzwoniłem do twoich drzwi, lecz nie sądzę, by Mathieu ci o tym powiedział.

- Byłeś wczoraj?

- Pewnie, że tak. Czy sądziłaś, że sobotnie nieporozumienie mnie zniechęci?

- Nie rozumiem. Myślałam, że jasno dałam do zrozumienia, iż nie chcę więcej cię widzieć.

- To było równie jasne, jak błoto Missisipi. W jednej minucie powiedziałaś mi, że mnie lubisz, a w następnej potraktowałaś mój język jak hamburgera.

- Nie chciałam zrobić ci krzywdy - powiedziała. - Czy nadal boli?

- Tylko wtedy, gdy liżę.

Odwróciła głowę i promienie rannego słońca oświetliły jej złote rzęsy i niezwykle oczy.

- Przykro mi, że tak się stało - wyszeptała. - Chciałabym, aby było inaczej.

- Mogłoby być inaczej - nalegał. - Prawdę mówiąc, nadal może być inaczej. Mógłbym zabrać cię dziś wieczorem na kolację i odrobilibyśmy sobotnią noc z nawiązką.

Ujęła go za rękę. Miała delikatne palce, a jej dotyk był łagodny.

- Gene - powiedziała szczerze - chcę ci powiedzieć, że jesteś jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam. Lubię cię bardziej, niż potrafisz zrozumieć. To, i tylko to, sprawia, że nigdzie z tobą nie pójdę.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Sądziłem, że logika polityczna jest cholernie pokrętna - stwierdził. - Ale zupełnie nie łapię, o co ci chodzi. Boisz się zbyt zaangażować? Czy obawiasz się własnych uczuć?

Nie - powiedziała miękko. - Nie o to chodzi.

- To o co? Na Boga, Lorie, musisz mi powiedzieć.

- Nie mogę.

Nie wiedział, co zrobić, by ją przekonać. Stali obok siebie na oświetlonym słońcem chodniku, aż drzwi frontowe banku zostały otwarte. Wówczas dotknęła jego ramienia i weszła do środka budynku.

- Lorie - powiedział, gdy odchodziła. Przystanąła, lecz nie odwróciła się.

Wiedział, co chciałby jej powiedzieć, lecz brakowało mu słów, by wyrazić to, co czuł, więc po prostu odwrócił się i odszedł w głąb K Street z rękoma w kieszeniach płaszcza i spuszczoną głową. Dziewczyna w nieprzetartych okularach chichotała, gdy odchodził, aż ta z gumą powiedziała:

- Ciiii - i pchnęła ją w kierunku banku.

Nie zdziwił się, doszedłszy do wniosku, że będzie jednak musiał sforsować mur domu Semple'ów i obejrzeć to miejsce. Był to ten rodzaj tępego, upartego myślenia, które zapewniło mu pracę w Departamencie Stanu i uprzywilejowaną pozycję w obozie demokratów. Jego odpowiedzią na każdy subtelny i dziwny dylemat dyplomatyczny było: „Dostać się do samego jądra i zobaczyć, co, do diabła, jest grane”.

Nie był wyrafinowanym myślicielem, lecz człowiekiem metodycznym z talentem do detali i zdawał sobie sprawę, iż jest w stanie dokonać jednoosobowej eskapady do domu Semple'ów z taką precyzją, że nikt nie dowie się o jego wejściu ani wyjściu. Zależało mu wyłącznie na dokładnym przyjrzeniu się domowi oraz otaczającym go terenom i zdobyciu informacji pomocnych w ustaleniu, dlaczego Lorie Semple uważa ich romans za niemożliwy.

Od poniedziałkowego poranka Lorie stała się jego obsesją. Wiedział, że to szczeniackie, lecz nie potrafił wyrzucić jej ze swych myśli. Wypisywał jej imię, a nawet próbował naszkicować twarz. Co najgorsze, wciąż prześladowały go jej słowa: „Chcę ci powiedzieć, że jesteś jednym z najatrakcyjniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam. Lubię cię bardziej, niż potrafisz zrozumieć”.

- Hej, ty - powiedziała Maggie, stawiając na jego biurku plastikowy kubek z kawą. - Coś z tobą nie tak.

- Co nie tak? - spytał.

- Zapadłeś na Lorie Semple. Choroba ta jest znana współczesnej medycynie jako szczeniacka miłość. W tym sęk.

Pociągnął łyk kawy i sparzył sobie usta.

- Zaprzeczam kategorycznie - stwierdził. - A poza tym, jak ktoś mający trzydzieści dwa lata może cierpieć na szczeniacką miłość?

- Nie pytaj mnie - odparła wzruszając ramionami. - Spytaj tego, kto napisał „Lorie Semple” dwadzieścia cztery razy na twoim najlepszym papierze.

- Sądzisz, że użyłbym tego taniego fioletowego paskudztwa dla niej?

Maggie usiadła i pochyliła się nad jego biurkiem.

- Daj spokój, Gene - stwierdziła cicho. - Dlaczego się nie przyznasz? Nie widziałam cię takim

od lat.

Upił jeszcze trochę kawy.

- W porządku. Przyznaję się. Utkwiła mi w głowie i nie mogę jej stamtąd wyrzucić. To wszystko przez absurdalny sposób, w jaki utrzymuje, że mnie lubi, a równocześnie zastrzega, iż nigdy nie możemy się spotykać. Doprowadza mnie do szaleństwa, jeśli już chcesz wiedzieć.

- Co zamierzasz począc z tym fantem? - spytała.

Siedział przez chwilę w milczeniu, pijąc kawę szybkimi, dużymi łykami i próbując się zdecydować na odpowiedź. W końcu zdecydował. Maggie zawsze myślała sprawnie i logicznie, a przy tym chyba go lubiła.

- Opracowuję plan - powiedział powoli. - Chcę wdrzeć się na teren posiadłości Semple'ów.

Maggie przysiadła w fotelu.

- Opracowujesz plan czego?

- Maggie - stwierdził - ja muszę wiedzieć. Włamanie się tam i przekonanie na własne oczy jest jedynym sposobem. Muszę się dowiedzieć, dlaczego jest taka niedostępna. Myślę, że to sprawa matki. Może staruszka jest kaleką i Lorie nie chce angażować się wobec nikogo, kto odsunąłby ją od zniechęconej matki.

- Musiało ci odbić, Gene. A co będzie, jak cię złapią?

Potrząsnął głową.

- Nie ma siły. Opracowałem sposób, jak się tam dostać, powęszyć trochę i wyjść na zewnątrz bez najmniejszych problemów.

- Tam są psy. Wielkie psy. Sam to mówiłeś.

- Nawet tak wielkie psy reagują na gaz. Wezmę ze sobą kilka takich sprayów, jakich używają listonosze. Będą zamroczone wystarczająco długo, abym zdążył ze wszystkim się uwinąć.

- A co z tym szoferem, Mathieu?

- On nawet nie będzie wiedział, że tam jestem. Jednak na wszelki wypadek wezmę ze sobą broń. Oczywiście nie zamierzam jej używać, lecz jeśli jest takim ekspertem sztuk walki, lepiej, żebym miał coś do obrony.

Maggie stała gryząc wargę.

- Czy jestem w stanie ci to wyperswadować? - spytała po chwili.

- Nie sądzę. Podjąłem już decyzję.

- Nawet gdyby to miało zrujnować twoją karierę? Sięgnął po papierosa.

- Nie zrujnuje, nawet gdyby mnie złapano na gorącym uczynku. Powiem wtedy, że składałem tam wizytę i omyłkowo zostałem wzięty za opryszka. Boże, Maggie, nie zamierzam obrobić tego miejsca. Chcę się tylko szybko rozejrzeć po terenie i ewentualnie zajrzeć przez okna.

- Składasz wizytę? W nocy? Z nabitą bronią?

- Maggie, wszystko komplikujesz. Mam zamiar jedynie przeskoczyć przez mur. Teren jest olbrzymi. Nigdy mnie nie zobaczą.

Pomyślała jeszcze chwilę, po czym wstała.

- Tym razem musiałeś wpaść po same uszy, czy się nie mylę?

Spojrzał na nią.

- A co w tym złego? Najwyższy czas, aby w moim życiu nastąpił jakiś przełom uczuciowy.

- Pewnie masz rację - stwierdziła Maggie. - Wszystko zależy tylko od tego, jaki, nie sądzisz?

Było kilka minut po jedenastej w czwartkową noc, gdy podjechał pod rezydencję Semple'ów. Użył do tego celu wypożyczonego, ciemnoniebieskiego matadora. Sam był ubrany na czarno. Czarne polo, czarne spodnie i szara czapka nasunięta na oczy. Miał małą płócienną torbę z gazem i

aerozolami przeciw psom, zwój liny na ramieniu i rewolwer zatknięty za pas. Wyłączył silnik samochodu i posiedział w nim około pięciu minut, wsłuchując się w nocne odgłosy.

Tym razem minął główną bramę i dotarł do wysokiej, ceglanej ściany stojącej prawdopodobnie bliżej domu. Zaparkował samochód w cieniu drzew po drugiej stronie ulicy, pozostawiając klucze w stacyjce, na wypadek gdyby musiał szybko uciekać.

Noc była chłodna i gdy tylko zatrzasnął za sobą drzwi samochodu, z jego ust zaczęła wydobywać się para. Niskie chmury wciąż przysłaniały księżyc i musiał poczekać, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności. Znowu nadśluchiwał, wstrzymując oddech, lecz wokół panowała cisza.

Szybko przemknął przez wąską drogę, przylgnął do ściany i zamarł w bezruchu. Od strony posiadłości nadal nie dochodził żaden dźwięk. Zdjął z ramienia nylonową linę i cofnął się, by ocenić wysokość starego, pokrytego mchem muru. Do jej końca przymocowany był aluminiowy hak. Miał nadzieję, że przerzuci linę nad murem i zaklinuje między wieńczącymi go metalowymi prętami.

Próbował cztery razy. Za pierwszym rzucił zbyt nisko. Następne dwa rzuty były udane, ale hak nie zaczepił się o pręty. W końcu udało mu się umocować linę i zaczął się po niej wspinać. Sapał i pociągał nosem; miał nadzieję, że zardzewiałe szpikulce są wystarczająco mocne, by utrzymać jego ciężar.

Po trzech minutach wdrapał się na szczyt. Usiadł na murze i łapiąc oddech wciągnął linę. Między drzewami

widział połyskujące światła domu Semple'ów, lecz nie słyszał żadnego dźwięku i nie widział strażniczych psów. W oddali jechał pociąg, a w górze, nad chmurami, przecinał nocne niebo odrzutowiec.

Gdy lina była już wciągnięta, umieścił aluminiowy hak po drugiej stronie prętów i opuścił ją z tej strony ściany. Potem delikatnie ześlizgnął się z góry na ziemię, opierając się nogami o cegły. Gdy już był na dole, powtórnie przystanął nadśluchując i chowając się najgłębiej, jak mógł, w głębokim cieniu ściany i drzew.

Spojrzał na zegarek. Było kwadrans po jedenastej. Poprawił rewolwer za pasem i zaczął przekradać się powoli przez głęboką trawę, co chwila zatrzymując się, by nadśluchiwać. Miał nadzieję, że gdyby musiał wracać w pośpiechu, będzie pamiętał, gdzie zostawił linę.

Przedzieranie się przez chaszczkę zajęło mu dziesięć minut. Nadal nie było ani śladu psów i zastanawiał się, czy śpią. Może, jeśli zachowa się dostatecznie cicho, nie obudzi ich. Przebrnął przez zasłonę krzaków i znalazł się na skraju trawnika dzielącego go od domu.

Sam budynek był o wiele większy, niż tego oczekiwał. Majestatyczny i ponury, z rzędami kominów i kaskadami porastających go pnączy na każdej ze ścian. Najbliżej Gene'a znajdowała się okalająca południowo-zachodni narożnik domu weranda, ale wszystkie okna wokół niej były puste i ciemne. Nieco głębiej po stronie południowej dostrzegł kolumnowy portal porośnięty jak wszystko inne pnączami i wyglądający dosyć ponuro. Jedyne okno, które wydawało się oświetlone, wychodziło na zachód i przysłaniały je draperie uniemożliwiające zajrzenie do wewnątrz.

Gene przekradł się południową stroną domu prawie do końca żwirowej alejki dojazdowej. Co chwila przystawał i nadśluchiwał, lecz wszystko tonęło w ciemności i ciszy. W pewnym momencie sądził, że usłyszał trzask liści i gałązek, lecz gdy znieruchomiałby wyłowić ten dźwięk, zdał sobie sprawę, że to prawdopodobnie tylko ptak w konarach drzewa.

Żadne z okien po stronie południowej nie było oświetlone, więc wrócił na krawędź trawnika i jeszcze raz obejrzał elewację od zachodu. Jedno ze szczególnie grubych pnączy pięło się od końca werandy w pobliże oświetlonego okna. Gene stwierdził, że jeśli wejdzie po nim, będzie

prawdopodobnie mógł przejść dalej po gzymsie wiodącym od dachu werandy do okna i zajrzeć do środka przez szparę w draperiach. Myśl o możliwości ujrzenia Lorie sprawiła, iż serce zabiło mu mocniej.

Nisko pochylony przebiegł przez otwartą przestrzeń i dotarł do werandy. Odczekał chwilę i wszedł po czterech drewnianych stopniach, uważając, by nie potknąć się o szczątki porzuconych leżaków i kawałki ogrodowej huśtawki. Przeszedł ostrożnie przez całą werandę, ukryty w cieniu, aż dotarł do miejsca, gdzie znajdowało się pnącze.

Znów nad słuchiwał. Wydawało mu się, że słyszy odległe głosy i dźwięk muzyki, lecz to było wszystko. Niskie, szare chmury nadal przysłaniały księżyc, ale lekka poświata oświetlała trawnik i wyróżniała go z roztaczającego się wokół ciemnego morza drzew.

Gene wdrapał się na barierkę werandy i wypróbował wytrzymałość pnącza. Wiele lat temu ktoś przybił je dosyć mocno do ściany i wyglądało na to, że wytrzyma jego wagę. Zawiesił się na pnączu jedną dłonią, a potem okręcił i uchwycił je drugą. Rozległ się trzask pękających, cieńszych gałązek, lecz główny pień nadal trzymał mocno.

Wstrzymując oddech sięgnął ku wyższym gałęziom i zaczął wspinać się jak po drabinie. Na wysokości około dziesięciu, dwunastu stóp, niemal na poziomie werandy, jeszcze raz zatrzymał się i nad słuchiwał odgłosów psów. Usłyszał niski, dudniący ton, lecz sądził, że to odległy samolot lecący w kierunku Dulles.

W końcu był w stanie dosięgnąć lewą stopą gzymsu. Wypróbował go. W dalszej części gzyms był zwietrzały, ale odcinek od dachu werandy do okna wyglądał w miarę solidnie. Nacisnął mocniej, a potem zdecydował się spróbować szczęścia i stanąć na nim obiema stopami, całym ciężarem ciała. Oświetlone okno znajdowało się teraz tylko dwie lub trzy stopy dalej i mógł już dokładniej rozróżnić głosy oraz skrzypienie podłogi, gdy ktoś chodził po pokoju.

Stało się to w chwili, gdy stawał na gzymsie. Rozległo się głośnie, jeżące włosy warknięcie i coś niezwykle potężnego podskoczyło i strąciło go z pnącza. Potem bestia wskoczyła na niego warcząc i kłapiąc okrutnymi szczękami. Gene poczuł ostry zwierzęcy odór, bynajmniej nie psa, i krzyknął desperacko, gdy sweter został zdarty z jego ramion, a zęby wbiły się w mięsień.

ROZDZIAŁ 3

Gene otworzył oczy. Był już z pewnością ranek. Leżał na wąskim, mosiężnym łóżku, w małym pokoiku udekorowanym kwiecistą tapetą. Rozmyte światło słoneczne rozlewało się po pomieszczeniu i dotykało górnej krawędzi orzechowej bieliźniarki. Z miejsca, w którym leżał, widział drewnianego wielbłąda z dekoracyjnym siodłem i czarno-białą fotografię w srebrnej ramie, ukazującą kobietę, mogącą być prababką Lorie.

Ramię miał sztywne i sparaliżowane bólem. Gdy obrócił głowę, zauważył, że okrywa je ciasny bandaż. Znajdowały się na nim ciemnobrązowe plamy, będące prawdopodobnie zaschniętą krwią. Kaszlnął i zdał sobie sprawę, iż ma pogruchotane żebra.

Przez około godzinę zapadał w sen i znów się budził. W trakcie jednego z przebudzeń wydawało mu się, że jest pod wpływem działania środka uspokajającego. Miał dziwne koszmary o białych okrutnych bestiach z pazurami i krzyczał przez sen.

Po jakimś czasie drzwi jego pokoiku otworzyły się. Odwrócił głowę i jak przez mgłę zobaczył stojącą w nich kobietę. Przez moment myślał, że to Lorie,

lecz po chwili dostrzegł, iż kobieta była starsza i bardziej dostojna. Miała na sobie gołębioszarą sukienkę, a jej srebrne włosy były schludnie spięte i schowane pod wyszywanym perłami czepkiem.

Jak na kobietę po pięćdziesiątce miała wspaniałą figurę, duży, ciężki biust i kształtne biodra. Nagle przypomniał sobie słowa Maggie o une grande poitrine. To była z pewnością matka Lorie.

- Panie Keiller - odezwała się z lekkim francuskim akcentem - czy już się pan obudził?

Skinął głową.

- Czuję się paskudnie. Mam zupełnie wyschnięte gardło.

Przysiadła na brzegu łóżka i uniosła niebieską szklankę z wodą mineralną. Delikatnie przytrzymała mu głowę i napiła. Potem wytarła jego usta serwetką.

- Czy już lepiej? - spytała.

- Dziękuję, tak.

Pani Semple siedziała i patrzyła na niego z nieukrywaniem zainteresowaniem.

- Miał pan dużo szczęścia - powiedziała po chwili.

- Szczęścia? Czuję się na wpół żywy.

- Pół żywy to lepiej niż całkiem martwy. Miał pan szczęście, że był pan tak blisko domu. Gdyby to się stało dalej, moglibyśmy nie dotrzeć na czas.

- Czy trenujecie swe psy, by to robiły? Zwiesiła głowę nieco w bok, jakby nie zrozumiała, o co chodzi.

- Żeby zabijały - odpowiedział. - By rozrywały ludzi na strzępy.

Skinęła lekko głową.

- Tak - odparła. - Sądzę, że tak.

- Sądzi pani? Prawie zostałem rozszarpany tam na zewnątrz!

Pani Semple nie wyglądała na zbyt przejętą.

- Po pierwsze nie powinien się pan tu w ogóle znaleźć, prawda, panie Keiller? Próbowaliśmy pana ostrzec!

- Tak - powiedział. - Ma pani rację. Jednak te psy to zupełnie coś innego. Czy moje ramię jest w porządku?

- Przeżyje pan. Sama je bandażowałam. Zajmowałam się kiedyś... swego rodzaju

pielęgniarstwem... jeszcze w Egipcie.

Gene próbował usiąść.

- Wszystko jedno - powiedział. - Chyba powinienem jechać do szpitala. Będę potrzebował antytoksyny.

Pani Semple ułożyła go na powrót delikatnie na łóżku.

- Już pan ją dostał. To pierwsza rzecz, jaką zrobiłam. Teraz powinien pan tylko odpocząć.

- Czy mógłbym skorzystać z telefonu?

- Chce pan zadzwonić do swojego biura?

- Oczywiście. Mam dziś parę ważnych spotkań i musiałbym je odwołać.

Pani Semple uśmiechnęła się.

- Proszę się nie martwić. Już zadzwoniliśmy do pańskiej sekretarki i powiedzieliśmy, że jest pan niedysponowany. Ktoś imieniem Mark zastąpi pana.

Gene ułożył się wygodnie i spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Jest pani bardzo troskliwa - stwierdził, traktując to bardziej jako pytanie niż komplement.

- Jest pan moim gościem - odparła pani Semple. - Nasz naród zawsze dbał o gości. A w ogóle, Lorie mówiła dużo o panu i bardzo chciałam pana poznać. Wcale pan nie jest taki, jak opisywała.

- Tak. A jestem lepszy czy gorszy?

Pani Semple uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Och, lepszy, panie Keiller. O wiele, wiele lepszy! Lorie mówiła o panu jak o skrzyżowaniu Quasimodo i Frankensteina. Ale pan nie jest taki, prawda? Jest pan młody, raczej przystojny i pracuje dla Departamentu Stanu.

Gene przetarł oczy.

- Muszę przyznać, że nie byłem w stanie rozgryźć Lorie.

- Ale lubi ją pan, prawda? Czy ona się panu podoba?

- No cóż, oczywiście. To główny powód, dla którego tutaj jestem.

- Tak właśnie sądziłam. Pan... dużo mówił przez sen. Wspomniał pan Lorie kilkakrotnie.

- Mam nadzieję, że nie byłem zbyt konkretny. Pani Semple roześmiała się.

- Proszę się tym nie martwić, panie Keiller. Jestem bardzo wyrafinowaną kobietą i wiem, jak atrakcyjna jest moja córka. Powiedział pan... jedną lub dwie rzeczy.

Gene zakaszłał. Żebra bolały go, jakby został stratowany przez stado słoni.

- Cóż - stwierdził - jeśli byłem zbyt bezpośredni, to przepraszam. Nie potrafię ukryć faktu, że Lorie wydaje mi się bardzo atrakcyjna.

- A dlaczego miałby pan coś ukrywać? Jest pan z pewnością człowiekiem dość impulsywnym.

Skrzywił się próbując usiąść.

- W tym wypadku nieco zbyt impulsywnym, jak sądzę.

Pani Semple pochyliła się i poprawiła mu poduszkę. Przez moment ocierał się o jej gorące ciało, wyczuwając przy tym ten sam dyskretny zapach, jaki towarzyszył Lorie.

- Sądzę, że możemy szczęśliwie zapomnieć o ubiegłej nocy, panie Keiller - powiedziała łagodnie. - W końcu nikomu z nas nie zależy na zamieszaniu czy plotkach prasowych, prawda?

Gene spojrzał na nią uważnie. Próbowwała być nonszalancka, lecz wyczuwał dziwne napięcie, gdy czekała na odpowiedź. Nerwowo poruszała palcami i posyłała mu wymuszone uśmiechy.

- Wiem, że to nieco impertynenckie - powiedział powoli - lecz czy mogę zapytać, czego strzeże się przed światem w tak okrutny sposób?

Pani Semple dotknęła swego czoła koniuszkami palców, jakby nagle zabolęła ją głowa.

- Nie mamy nic cennego, panie Keiller, poza naszą prywatnością. Posiadanie tego miejsca wiele

dla nas znaczy.

- Uważam, że macie do tego pełne prawo - stwierdził Gene - i nie wolno pani nawet pomyśleć, że chciałbym wtykać nos w cudze sprawy. Lecz czy nie sądzi pani, iż Lorie powinna mieć nieco więcej swobody? Wydaje się dosyć samotna.

- Mój drogi panie Keiller, wciąż próbuję ją do tego skłonić.

Gene zakaszał.

- Nie odniosłem takiego wrażenia. Wyglądało na to, że raczej pani ją powstrzymuje.

Pani Semple skinęła głową.

- Pan nie jest pierwszy - powiedziała zrezygnowanym głosem.

- Mówiła mi, że nigdy się z nikim nie spotykała.

- I ma rację, panie Keiller, nigdy z nikim. Lecz z pewnością nie było w tym mojej winy ani też braku entuzjazmu tych poczciwców, którzy próbowali się z nią umawiać. Wie pan, ona ma dziewiętnaście lat i sądzę, iż nadszedł czas, by wyjrzała na świat i nauczyła się postępować z mężczyznami.

- Pani Semple, gdybym zaprosił gdzieś Lorie, czy poparłaby mnie pani?

- Oczywiście! - zaśmiała się w nieco wymuszony sposób. - Jest pan rzeczywiście jedyny w swoim rodzaju! Dokładnie ten typ mężczyzny, jaki zawsze mi się podobał.

- Cóż, jestem bardzo zobowiązany, lecz nie mam pewności, czy w głowie mi małżeństwo. Obawiam się, że ważniejsza jest dla mnie moja kariera.

Pani Semple wstała i podeszła do okna. Jesienne słońce jeszcze bardziej ją wyszczuplało; Gene zdziwił się zauważywszy, że włosy miała tego samego koloru, co Lorie. Srebrzysty połysk musiał być efektem użycia lakieru. Odwróciła się i spojrzała na niego hipnotycznie błyszczącymi, zielonymi oczami, charakterystycznymi dla kobiet z rodziny Semple'ów, po czym powiedziała miękko:

- Jeśli pan chce, porozmawiam z Lorie i zobaczę, czy uda mi się zmienić jej zdanie.

- Wyczuwam w pani głosie jakiś warunek.

- Warunek? - spytała pani Semple unosząc brwi. Wymówiła to słowo z francuskim akcentem.

Nie wyglądała na zdziwioną jego słowami.

Gene uniósł się do wygodnej pozycji.

- Załóżmy, że zapomnę o zeszłej nocy? Czy tego rodzaju umowę ma pani na myśli?

Twarz pani Semple rozjaśnił leniwy uśmiech.

- Nie pracuje pan w Departamencie Stanu bez powodu, prawda? Odczytał pan moje myśli.

- W takim razie - stwierdził Gene - umowa stoi.

Gdy powrócił ból w ramieniu, pani Semple dała mu kolejną dawkę środka nasennego. Spał, budząc się często, od lunchu do wczesnego wieczora, mamrocząc i rzucając się nerwowo. Czasami wydawało mu się, że widzi panią Semple stojącą w pokoju, a czasami, że jest obserwowany przez dziwne zwierzę przyglądające mu się zimnymi i pozbawionymi emocji oczami.

Najdziwniejszy sen dotyczył sprzeczki w przyległym pokoju, długiej i głośniejszej wymiany zdań, które niezbyt dokładnie słyszał i rozumiał. Dotarły do niego słowa „odpowiedni” i „doskonały”, powtarzane wielokrotnie, a potem słowa „rytuał” i „przerażony”. Nie był pewien, czy to w tym samym śnie, czy w innym, lecz słyszał potem pomruki i warczenie jakichś zwierząt, a sen zamienił się w koszmar o potężnych bestiach strącających go ze ścian i zatapiających w nim swe kły.

Obudził się. Otworzył oczy i ujrzał Lorie siedzącą na krześle przy łóżku, pochylającą się i przykładającą mu zimny kompres do czoła. Zdał sobie sprawę, że poci się i trzęsie, a usta miał suche jak popiół.

- Lorie - wymamrotał.

- Jestem tutaj, Gene - powiedziała cicho. - Nie martw się. Miałeś tylko jakiś straszny sen. To przez ten środek nasenny.

Próbował przekrzywić głowę.

- Która godzina? - spytał.

- Wpół do ósmej. Spałeś od pierwszej.

- Sądzę... - zaczął, napinając mięśnie najmocniej, jak mógł -...sądzę, że już ze mną lepiej.

- Mama mówi, że powinieneś pozbierać się do jutra. Zadzwoiła jeszcze raz do twojego biura i powiedziała im o tym. Ktoś imieniem Maggie przesyła ci całusy.

Gene pokiwał głową.

- To moja sekretarka. Miła dziewczyna. Zapadła między nimi krępująca cisza. Lorie uniosła kompres i wykręciła go nad miseczką. Potem połała go zimną wodą, sprawdzając temperaturę koniuszkiem palca. Gene obserwował ją bez słowa. Wyglądała jeszcze piękniej, niż wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. I było mu przyjemnie na myśl, iż ktoś wydaje mu się bardziej pociągający z dnia na dzień. Lorie miała na sobie jedwabną bluzkę w śliwkowym kolorze i wspaniale skrojone spodnie. Na nadgarstkach podzwaniały złote bransolety, a między piersiami zwieszał się złoty naszyjnik.

- Lorie - powiedział Gene najdelikatniej, jak mógł.

Nie odwróciła się, lecz uchwycił jej wzrok w okrągłym lustrze nad umywalką. Źrenice jej oczu były rozszerzone i czarne.

- Czy ty przypadkiem... nie obawiasz się czegoś? - spytał.

Zakręciła kran.

- Dlaczego miałabym się czegoś obawiać?

- Nie wiem. Dlatego pytam. Po prostu sprawiasz takie wrażenie.

- Nie ma się czego bać - stwierdziła powracając do łóżka ze świeżym kompresem. - Nie jesteśmy bojaźliwi.

- Wygląda na to, że obawiasz się intruzów. Zaczesała mu włosy do tyłu. Jej dotyk był bardzo delikatny. Wargi miała lekko rozchylone i widział, jak oblizuje je koniuszkiem języka równie niewinnie, co szalenie zmysłowo.

- To zależy od tego, kim są ci intruzi - rzekła. - Niektórzy są nawet mile widziani.

- A ja? Czy jestem mile widziany? Uśmiechnęła się lekko.

- Oczywiście, że tak. Mówiłam ci już, że wydajesz mi się atrakcyjny.

- Mówiłaś mi również, bym sobie poszedł. Opuściła wzrok.

- Tak - stwierdziła.

Gene zdjął kompres z czoła. Teraz, gdy efekty działania środka nasennego minęły, myślał o wiele jaśniej. Ramię goiło się, czuł to wyraźnie. Nadal Odczuwał bóle mięśni, lecz były one do zniesienia. Przystawał być bezwolnym inwalidą, a stawał się złożonym chorobą politykiem.

- Lorie, czy mogę skorzystać z telefonu? - spytał.

Spojrzała na niego uważnie.

- Po co?

- Muszę zadzwonić do biura. Było dziś kilka

ważnych spotkań i chciałbym się dowiedzieć, co się działo.

- Matka powiedziała...

- Lorie, muszę sprawdzić. To moja praca. Nie mogę po prostu siedzieć tutaj i pozwolić Stanom Zjednoczonym dryfować bez steru i sternika ku trzeciej wojnie światowej.

Lorie wyglądała na niezdecydowaną.

Nie wiem - powiedziała. - Mama mówiła, że wolałaby, abyś do nikogo nie telefonował. Ściągnął brwi.

- Co przez to rozumiała?

- Nie jestem pewna. Sądzę, iż chodzi o to pogryzienie. Bardzo jej zależy, byś nie mówił nikomu o tym, co się stało.

- Już obiecałem, że tego nie zrobię - zapewnił Gene.

Lorie zarumieniła się lekko.

- Wiem. Powiedziała ci?

- Tak. Klóciłyśmy się o to. Musiałam obiecać, że w zamian dam ci się gdzieś zaprosić.

Gene zaśmiał się smutno.

- Słuchaj, nie zamierzam cię zmuszać. Jeśli nie chcesz ze mną nigdzie iść, jeśli naprawdę nie chcesz, to ostatnią rzeczą, jaką zrobię, będzie zmuszanie cię do tego. Chciałbym cię gdzieś zabrać jedynie pod warunkiem, że i ty tego naprawdę chcesz.

Spojrzała na niego zawstydzona.

- I co ty na to? - spytał. - Jeśli nie, to możemy się z tego wycofać i zostawić wszystko po staremu.

Nie wiedziała, co zrobić z rękami.

- Myślałam o tobie - powiedziała łagodnym i poważnym głosem.

- Nie rozumiem.

Wyciągnęła dłoń i ujęła jego rękę. Jej wzrok był skupiony, jakby próbowała mu coś przekazać, jakby przesyłała ostrzeżenie niemożliwe do wyrażenia słowami.

- Moja matka wierzy w tradycję, Gene - powiedziała. - Lubi, by wszystko działo się tak, jak zawsze. Niektóre z jej wierzeń i niektóre rzeczy, które robi... cóż, pewnie nie mógłbyś ich zrozumieć.

Uściskała jej dłoń.

- Nadal nic nie pojmuję. Jakie tradycje? Co masz na myśli?

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę ci powiedzieć. Możesz jedynie dowiedzieć się sam. Mami nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał.

Przez chwilę patrzył na nią pytająco i gdy zrozumiał, że już nic więcej nie usłyszy, uśmiechnął się z rezygnacją i oparł o poduszkę.

- Lorie - powiedział. - Nie zawaham się, by powiedzieć ci, iż jesteś najbardziej frapującą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Może powinienem opisać cię dla „Reader's Digest”.

Odwzajemniła się smutnym uśmiechem.

- Nie wolno ci myśleć, że cię nie lubię, Gene. Nie jest mi obojętne, iż starałeś się tutaj dostać dla mnie. To było bardzo romantyczne i jest mi bardzo przykro, że stała ci się krzywda.

- Czy mam przez to rozumieć, że chcesz wyjść gdzieś ze mną? Czy jest to raczej grzeczna forma powiedzenia arrivederci?

Przez chwilę patrzyła na niego w ciszy i wydawało mu się, że widzi w jej oczach łzy. Później pochyliła się i pocałowała go nie rozchylając warg.

- Bardzo chcę z tobą wyjść - wyszeptała. - Dlatego nie było mi trudno obiecać to matce. Lecz zanim to uczynimy, przysięgnij mi jedno.

- Ty i twoja matka bardzo nadawałybyście się do senatu.

- Ja nie żartuję, Gene. Proszę. Spoważniał.

- Powiedz mi, o co chodzi, a przysięgnę.

- Musisz przysiąc, że nigdy nie poprosisz o moją rękę.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem. To wszystko wydawało mu się fascynujące i przyznawał sobie w duchu, że wyszedł przed nią na głupca. Ale żeby od razu się żenić...

- Lorie, kochanie - powiedział. - Jediną rzeczą, jakiej możesz być naprawdę pewna, jest fakt, że nie dążę do małżeństwa. Mam dobrą posadę, rozrywkowy styl bycia, mnóstwo przyjaciół i całkiem przyzwoitą ilość pieniędzy. Ostatnie, co by mi teraz przyszło do głowy, to wiązanie się z kimkolwiek.

- I przysięgniesz?

- Jasne, że przysięgnę!

Uniósł prawą rękę i głębokim głosem stwierdził:

- Ja, Gene Keiller, zdrowy na umyśle i tylko odrobinę poharatany na ciele, przysięgam uroczyście, że nigdy nie poproszę ciebie, Lorie Semple, byś została moją żoną.

Zamierzał kontynuować, lecz wówczas dojrzał, iż jej twarz przybrała kamienny wyraz. Patrzyła na niego tak, jakby przysięgał na honor i ojczyznę.

- Lorie - powiedział - nie staram się obrócić tego w żart, lecz musisz przyznać, że to niezwykle dziwna przysięga.

Skinęła głową.

- Wiem, tak to może wyglądać. Ale proszę, Gene, nigdy nie złam tej obietnicy. To jedyne zabezpieczenie, jakie masz.

- Co?

Znów się pochyliła i uniosła swój złoty medalik, by mógł go dokładnie obejrzeć. Zerknął i dostrzegł małą piramidę. Chciał jej dotknąć ręką, lecz nie pozwoliła na to.

- Czy to jest klucz do wszystkiego? - spytał. Pokręciła głową.

- Chciałam ci to tylko pokazać. Wpływ piramidy jest bardzo dziwny i potężny. Przed tym musisz się strzec.

- Lorie, ja...

- Musisz jedynie pamiętać, że ci to pokazałam. Proszę tylko o to.

Przyjrzał się jej pięknej twarzy w zanikającym świetle dnia i poczuł się równie dziwnie, jak za pierwszym razem, gdy usiłował ją pocałować. Była niezmiernie poważna i skupiona.

- W porządku - zgodził się. - Będę pamiętał, jeśli o to ci chodzi.

Jeszcze w tym samym tygodniu Gene spotkał się z Lorie przy frontowej bramie jej domu. Był suchy dzień, a liście trzaskały pod nogami jak chrupki. Nieco dalej, w głębi alejki, stał przy białoczerwonym wózku golfowym Mathieu, z kamienną twarzą nieco ukrytą za lustrzanymi okularami słonecznymi, które sprawiały, że wyglądał, jakby w miejscu oczu miał dwa kawałki jasnego nieba.

Lorie miała na sobie komplet safari i upięte pod tropikalnym kapeluszem włosy. Makijażem tak podkreśliła oczy, że wydawały się jeszcze większe i bardziej błyszczące niż zwykle.

Gene otworzył jej drzwi swojego samochodu i wsiadła do środka. Potem sam przeszedł do drzwi od strony kierowcy, machając po drodze dłonią w stronę Mathieu.

- Ten facet mnie nie lubi czy co? - spytał siadając za kierownicą.

- Mathieu? Nie wiem, czy kogoś lubi bądź nie lubi w normalnie pojęty sposób. Po prostu wykonuje swą pracę.

- No cóż, w takim razie jego obowiązki nie obejmują pozdrawiania ludzi, z którymi się umawiasz na randkę.

Lorie roześmiała się.

- Nie wyobrażam sobie Mathieu machającego do kogokolwiek, nie mówiąc o tobie.

Zjechali wijącą się drogą, przez tunel drzew, na główną trasę. Gene skierował samochód w stronę Frederick. Walter Farlowe zaprosił ich do swego letniego domku na drinki i barbecue wraz z

paroma innymi wybijającymi się profesjonalistami, którzy pomagali demokratom w sprawach finansowych i służyli poparciem moralnym w zasadniczym stadium wyborów.

Ramię Gene'a nadal spowijał elastyczny bandaż, choć rana była już prawie zagojona, a i ból w zębrach zanikał. Gdy Maggie zobaczyła go w poniedziałek, próbowała nakłonić na wizytę u lekarza, lecz pamiętając obietnicę daną pani Semple, odmówił.

- W końcu - powiedział jej - jaskiniowców gryzły dzikie bestie, a nie mieli możliwości złożenia wizyty zaprzyjaźnionemu lekarzowi.

- Jaskiniowcy paskudnie często umierali - ucięła ostro Maggie i wyszła z biura.

Była to pierwsza randka z Lorie. Zadzwoił do niej w środę wieczorem i poprosiłby z nim poszła. Chociaż początkowo się wahała, teraz była szczęśliwa i podniecona, a on nie mógł powstrzymać się od spoglądania na nią i rozkoszowania się emanującym z niej zmysłowym pięknem. Cokolwiek miała przeciwko małżeństwu i własnej matce, nie mogło to powstrzymać ich od wspaniałej zabawy na party u Waltera, potem może nawet bardziej intymnych rozrywek. Była jedną dziewczyną na milion, i gdyby nie próbował rozgrywać spraw nieco chłodniej po nieudanym wypadzie do posiadłości Semple'ów, powiedziałaby jej to.

Jechali w słońcu, cieniu i wirujących liściach. Domek letni Waltera znajdował się na wsi, a o tej porze roku przejażdżka za miasto była niezwykle orzeźwiająca.

- Wiesz co? - odezwała się Lorie. - Jestem bardzo zdenerwowana!

- Czym się tak przejmujesz?

- Nami! Tobą i mną. Jestem taka podniecona, nie chciałabym, żeby to się skończyło.

Uśmiechnął się.

- Może nie musi. Lorie pokręciła głową.

- Pewnego dnia będzie musiało. Cokolwiek się stanie, jakkolwiek się ułoży.

Gene wetknął papierosa do ust i włączył samochodową zapalniczkę.

Nie powinnaś być taką pesymistką - powiedział. - Próbuj żyć terażniejszością.

Spojrzała na niego. W radiu nadawano „Where Have All The Flowers Gone”.

- Musimy martwić się przyszłością, Gene, bo inaczej nie wydostaniemy się żywi z terażniejszości.

Zapalił papierosa.

- Mówisz jak twoja matka.

- Tak - odparła. - Jestem jej córką. Dotarcie do domu Waltera zajęło im godzinę. Był to biały, parterowy, letni domek zaprojektowany dla niego przez Edwarda Ocean, młodego, niezwykle zdolnego architekta. Znajdował się tam basen, pokryty teraz opadłymi liśćmi, i szerokie patio, wychodzące na głęboką dolinę pełną zanurzonych w błękitnej mgłę drzew. Większość gości zdążyła już przybyć i podjazd zatłoczony był czerwonymi mercedesami oraz srebrnymi sevellami. Ceglany rozeń wysyłał sygnały dymne mówiące o piekących się na nim mięsach, a sam Walter Farlowe w przebraniu szefa kuchni pocił się i uśmiechał, próbując podawać wszystko na tekturowych talerzykach.

Gene zaparkował swojego new yorkera i przeszli do patio schodkami wzdłuż ściany domu. Z wielką satysfakcją obserwował odwracające się głowy i usłyszał jeden lub dwa gwizdy podziwu, które świadczyły o tym, że Lorie w swym safari wywoływała takie zamieszanie, na jakie liczył.

Przeszli przez patio i gdy dochodzili do rożna, Walter Farlowe wyszedł im na spotkanie.

- Gene! Cieszę się, że mogłeś przyjechać! Przepraszam, że nie podaję ręki, jest zbyt brudna.

- To Lorie - przedstawił Gene. - Moja nowa, lecz bardzo mi droga przyjaciółka.

Walter uchylił kucharskiej czapki.

- Miło mi cię poznać, Lorie. Jaki chciałabyś stek? Lorie spojrzała na Gene'a, a potem znów na Waltera.

- Cóż - powiedziała energicznie - lubię dość niedopieczony.

Walter uśmiechnął się.

- Co to znaczy „dość niedopieczony”? Lorie oblizała wargi.

- Parę sekund po każdej stronie.

- Parę sekund? - roześmiał się Walter. - Przecież to będzie surowe!

- Tak - potwierdziła Lorie. - Taki właśnie lubię.

Kończyli zamawianie potraw u Waltera, gdy podeszła do nich dziewczyna o kręconych włosach, ubrana w żółto-zielony kostium, i objęła ramieniem Gene'a.

- Gene Keiller we własnej osobie!

- Cześć, Effie. Jak leci w reklamie?

- Wspaniale. To twoja nowa przyjaciółka?

- Zgadłaś. Lorie, to Effie, stara kompanka z Florydy. Effie, to Lorie Semple.

Obie kobiety uśmiechnęły się do siebie podejrzliwie.

- Gene, musisz poznać Petera Gravesa - powiedziała Effie. - To mój ostatni facet, absolutnie najbardziej zdrowy na umyśle człowiek w całym świecie. O, jest tutaj! Lorie, może pójdziesz ze mną poznać się z innymi paniami. Jest tu Nancy Bakowsky, wyobrażasz sobie? Wiesz, ta z „Woman's Home Journal”.

Lorie mrugnęła do Gene'a przez ramię, gdy Effie odciągnęła ją na rozmowy w damskim gronie. Było to swego rodzaju konwencją na podobnych spotkaniach. Mężczyźni trzymali się w swoim gronie, a kobiety w swoim i każdy mężczyzna zbliżający się do grona pań uważany był za wilka, a każda kobieta krążąca wokół mężczyzn za potencjalną dziwkę. Z tego powodu mężczyźni opowiadali sobie głównie średnio sprośne historyjki, a panie rozmawiały o feminizmie i o tym, kto z kim.

Gene, z drinkiem w dłoni, odnalazł Petera Gravesa samotnie siedzącego na brzegu basenu. Peter był młodym, łysiejącym mężczyzną o rozumnej twarzy, w okularach bez oprawek. Miał na sobie podkoszulek Aertex i granatowe spodnie, co sprawiało wrażenie, że ma się do czynienia z atletą lub co najmniej fanatykiem joggingu. Można by go pomylić z wyłysiałym Dustinem Hoffmanem.

- Hej! - zawołał Gene. - Nie masz nic przeciw temu, że się przyłączę? Effie śpiewała hymny na twoją cześć i nie chciałbym stracić okazji poznania najtrzeźwiej myślącego człowieka na świecie.

Peter wyglądał na lekko zdziwionego.

- Naprawdę tak powiedziała? To dowód, że potrzebne jest jej leczenie.

Gene przysiadł na plastikowym krześle ogrodowym i pociągnął łyk drinka.

- Jakiego rodzaju analizą się zajmujesz? - spytał. - Obecnie na czasie jest analiza transakcyjna czy innego rodzaju „zrób to sam”, o ile się orientuję.

Peter skinął głową.

- Cóż, zajmuję się analizą transakcyjną, lecz próbuję odnosić ją do uwarunkowań socjalnych, jeśli rozumiesz, o czym mówię.

- Niezupełnie.

Peter z namysłem potarł nos.

- Postawmy sprawę tak. Próbuję wprowadzić więcej realizmu do analizy transakcyjnej, ponieważ według mnie zawodziła ona w zderzeniu z życiem.

- Och - powiedział Gene. Sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalił jednego. Dym uniósł się nad basenem. - Powiedz mi, czy wierzysz, że ludzie mogą dostać obsesji na punkcie nierobienia rzeczy, które naprawdę chcą zrobić?

- Jak co, na przykład?

- Weźmy moją przyjaciółkę Lorie. Widzisz ją? To ta w safari. Powiedziała, że się jej podobam od momentu, gdy mnie zobaczyła. Jednak potem przez cały czas ostrzegała mnie, bym się zbyt nie angażował, a nawet zmusiła mnie do przysięgi, że się z nią nie ożenię.

- To zupełnie normalne. Prawdopodobnie obawia się pozbawienia swobody.

Gene pokręcił głową.

- To coś więcej. Próbuje wywrzeć na mnie wrażenie, że w jej życiu dzieje się coś tajemniczego. Nie mówi dokładnie, o co chodzi, i nie potrafię zgadnąć, do czego dąży. Lecz wciąż straszy mnie konsekwencjami jakiegokolwiek związku z nią.

Peter pociągnął nosem.

- Czy chcesz, żebym z nią porozmawiał?

- To znaczy, przeanalizował ją?

- Nie, tylko porozmawiał. To wygląda na interesujący syndrom. Może podejść i zagadnę ją. Ta myśl nawet mi się podoba. To piękna dziewczyna.

Gene spojrział przez basen w kierunku, gdzie stała Lorie przedstawiana właśnie Nancy Bakowsky.

- Okay - zezwolił. - Jeśli nie masz nic przeciwko zjedzeniu żywcem przez połowę pań demokratek w mieście.

Gene czekał, aż Peter Graves podejdzie w swych butach do biegania do kręgu pań i przemówi do Lorie. Dyskusja wyglądała na interesującą, lecz Gene przestał zwracać na nich uwagę, gdy Walter Farlowe przyniósł mu stek i sałatkę oraz plastikowy nóż i widelec do jedzenia. Przy pierwszej próbie złamał widelec i następných dziesięć minut spędził szukając nowego.

Gdy wrócił nad basen, Peter Graves czekał na niego pociągając w zamyśleniu sevenup.

- I co? - spytał Gene. Peter uśmiechnął się niepewnie.

- Rozmawiałeś? Dowiedziałeś się czegoś? Peter wyglądał na nieszczęśliwego.

- W zasadzie tak. Lecz nie jestem pewien, czy dowiedziałem się wystarczająco wiele.

Gene przeżuwał przypalony stek.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że jej nie rozgryzłeś?

- No cóż, nie - niepewnie odparł Peter. - Lecz prawda jest taka, że ona chyba wierzy, iż ciąży nad nią jakieś fatum. Obawia się, że jeśli zostaniesz w to zaangażowany, to fatum zaciąży również nad tobą.

- Co rozumiesz przez fatum?

- Dokładnie to - wyjaśnił Peter. - Ona sądzi, że z jakiegoś powodu jej życie przebiega według pewnego tradycyjnego wzoru. Powiedziała mi o tym. A kiedy spytałem ją o ciebie i o to, co do ciebie czuje, stwierdziła, że będziesz jakby ofiarą tej tradycji.

Gene odłożył talerzyk i zapalił kolejnego papierosa. Zdecydował, że ma dość kuchni Waltera Farlowe.

- Czy dała ci jakąś wskazówkę co do tej tradycji? - spytał.

Peter Graves drgnął.

- Mogłaby, ale nie chce.

- Jesteś tego pewien?

- Absolutnie. Już się z tym spotkałem. Istnieje część jej osobowości, doprowadzana przez nią świadomie do punktu, gdzie staje się niedostępna dla jakiegokolwiek analityka. Ta twoja panienka ma wokół swej prawdziwej osobowości mentalny mur, który jest prawie nie do zburzenia.

Gene wydmuchał dym.

- Prawie?

Peter skinął głową.

- Jedyne sposob, aby się przezeń przebić, jedyny, by dowiedzieć się, co ona ukrywa i dlaczego to robi, stanowi włączenie fatum, o którym wciąż mówi.

- Nie łapię, o co chodzi - przyznał Gene.

- No cóż, powiedziałeś, że kazała ci przysiąc, iż się z nią nie ożenisz, prawda? To był wysiłek z jej strony, aby przewyciężyć owo fatum. Lecz jeśli poprosiłbyś ją o rękę i ożenił się, wówczas sądzę, że uruchomiłbyś tradycyjny wzorzec, a ona musiałaby odkryć tę część osobowości, którą próbuje zachować w tajemnicy.

- To brzmi bardzo hipotetycznie - zauważył Gene. Peter przełknął łyk sevenup i powiedział:

- Wcale nie. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że psychiatria jest podobna do mechaniki. Zachowania twojej Lorie są całkowicie przewidywalne i bezpośrednio egzemplifikują jej strach. Przez jakieś zdarzenie w jej życiu uwierzyła, że jeśli zrobi coś określonego, to stanie się jakaś straszna rzecz, a zatem unika tego na wszelkie sposoby. By wydobyć ją z tego strachu, trzeba kogoś, kto udowodni, iż wszystko może być inaczej.

- Czy to znaczy, że mam ją poprosić o rękę? Peter podrapał się w kark.

- Tak, to byłoby idealne rozwiązanie. Lecz oczywiście nie możesz tego robić tylko po to, żeby jej pomóc.

Gene nic nie powiedział. Popatrzył ponad szklistą taflą wody w basenie na miejsce, gdzie stała Lorie, uprzejmie wtórując śmiechem innym kobietom. Była tak podniecająca w swym stroju, ze lśniącymi, złotymi włosami i wielkimi zielonymi oczami, że zastanawiał się, jak ktokolwiek mógłby się jej oprzeć. Pożądał jej prawie desperacko i zaczynał się zastanawiać, czy poproszenie jej o rękę nie było jedynym sposobem.

Tego wieczoru, gdy karmazynowe słońce utonęło za górami w zielonkawej mgłę, opuścili domek Farlowe'a i wracali do Waszyngtonu. Gene za dużo wypił i nie jechał prosto, lecz Lorie była zbyt radosna, by to zauważyć. To spotkanie otworzyło ją jak japoński papierowy kwiat na wodzie i żartowała na temat

wszystkich ludzi, których zamierzała spotkać, i wszystkich rzeczy, jakie zamierzała zrobić.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał Gene. Wiedział, że tak, lecz chciał, aby ona sama to powiedziała.

- Och, Gene, było fantastycznie. Wiedziałeś, że izolowałam się przez tyle lat i nigdy nie chciałam rozmawiać z ludźmi, lecz teraz, gdy spróbowałam, pokochałam to. Mogłabym chodzić na przyjęcia co wieczór.

- Z tego co słyszałem, twój ojciec był raczej towarzyski, prawda? Skinęła głową.

- Był najlepszym gospodarzem w Waszyngtonie. Mama chowa album o nim na górze i jest w nim pełno wycinków z gazet o jego potańcówkach i przyjęciach.

Gene zapalił papierosa.

- To smutne; to, co się z nim stało.

- Tak - powiedziała cicho. - Brakuje mi go.

- Czy twoja matka myśli o powtórny małżeństwie?

Lorie zaczesła włosy dłonią.

- Och, nie.

- Wydaje się, że jesteś tego bardzo pewna.

- Taki jest u nas zwyczaj. Do tradycji należy, że kobieta ma tylko jednego męża i nie sądzę, by matka chciała od tego odstąpić. Ona zbyt szanuje stare zwyczaje.

- Szkoda. Jest atrakcyjną kobietą. Gdybym nie spotkał ciebie, to może pomyślałbym o niej.

- Przestań - roześmiała się Lorie. - Będę zazdrosna.

Potrząsnął głową.

- Nigdy nie będziesz miała powodu do zazdrości. Masz wszystko, co powinna mieć dziewczyna.

Jesteś naprawdę piękna, czyżbyś o tym nie wiedziała?

Odwróciła wzrok. Jej piaskowe włosy świeciły w ostatnich czerwonych promieniach zachodzącego słońca.

- Nie powinieneś być zbyt poważny - powiedziała.

- A kto tu jest poważny? Czy nie możemy się trochę pośmiać?

Zwróciła się w jego stronę i obdarzyła go uśmiechem.

- Sądzę, że tak. Po prostu nie chciałabym, abyś pomyślał, iż możemy zbliżyć się jeszcze bardziej.

Odzwajemnił jej spojrzenie i uśmiech. Rozmowa z nią o miłości przypominała szermierkę z partnerem, który był dziesięć ruchów do przodu. Odparowanie, riposta, unik. Bez względu na to, jak kierował rozmową, zawsze cofała się, broniła, skrywała swój sekret tak głęboko, że absolutnie nie potrafił go odgadnąć.

Wyrzucił papierosa przez okno.

- Czy sądzisz, że będziesz kiedykolwiek całkiem szczerą wobec mnie? - spytał. - To znaczy, czy zamierzasz kiedyś powiedzieć mi, co cię gryzie?

Przez moment milczała.

- To nie ma sensu, Gene - stwierdziła. - Nie mogę ci nic powiedzieć. Wierz mi, tak jest lepiej.

- Jak może być lepiej, skoro to doprowadza mnie do szaleństwa? Co z tobą jest? Co takiego zrobiłaś, że nie możesz za żadne skarby wyjść za mnie? Czy byłaś w więzieniu? W domu wariatów? Czy coś jest nie tak z twoimi genami? Po prostu nie wyobrażam sobie niczego, co uniemożliwiłoby małżeństwo.

I znów przez dłuższy czas nie odpowiadała. W końcu odezwała się:

- Naród Ubasti jest... inny, to wszystko.

- Podobnie jak Amisze?

- W pewnym sensie. Niektóre różnice są natury religijnej.

- Więc gdybym chciał się z tobą ożenić, wystarczyłaby zmiana religii. Jestem protestantem.

Dlaczego nie miałbym zmienić wiary na inną... na przykład Ubasti?

- Nie. Ty nigdy nie mógłbyś być Ubasti.

- Prawdę powiedziawszy - stwierdził - nigdy nie słyszałem o Ubasti. To okropne wyznanie ze strony kogoś z Departamentu Stanu, lecz muszę się przyznać.

Lorie milczała. Znów na nią spojrział i zrozumiał, że rozmowa na temat jej pochodzenia oraz religii dobiegła końca.

Przez kolejne dwadzieścia minut jechali w ciszy. W końcu Lorie odezwała się:

- Minęliśmy właśnie zjazd w stronę Merriam.

- Wiem. Sądziłem, że wrócimy do mnie na wieczornego drinka. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Nie zamierzam się oświadczać.

Wyglądała na przestraszoną.

- Obiecałam matce, że wrócę przed dziesiątą.

- Jest dopiero za kwadrans ósma. Mamy mnóstwo czasu.

- Naprawdę, Gene. Wołałabym...

Uniósł dłoń.

- Tym razem będziemy robić to, co ja zechcę. Wrócimy i przyrzędzimy sobie wspaniały, zimny

puchar wódki z martini, a potem przygotowuję hamburgery i sałatkę, puścimy Mozarta i porozmawiamy o nas.

- Czy nie moglibyśmy na chwilę wpaść do mnie i uprzedzić mamę, że się spóźnię?

- Zapomnij o matce - nakazał. - Masz prawie dwadzieścia lat, jesteś piękna, a noc się jeszcze nie zaczęła.

- Ale...

- Zapomnij o niej. To rozkaz ważnego urzędnika państwowego.

W końcu Lorie uśmiechnęła się.

- W porządku, Panie Ważny. Poddaję się. Cieszę się, że nie muszę dyskutować z tobą przy stole konferencyjnym. Mogłabym przegrać.

Uśmiechnął się również.

- Lorie, ty nigdy nie przegrasz. Nie tylko ze mną. Z nikim. Czas, abyś uniezależniła się od matki i zdała sobie sprawę, że jesteś zwyciężczynią.

Gdy dotarli do mieszkania, Gene pokazał jej, gdzie jest kuchnia, i poprosił o wyjęcie mięsa do hamburgerów z zamrażalnika, podczas gdy sam zajął się mieszaniem wódki. Była to schludna, nowoczesna kuchnia z drewnianym wykończeniem i jasnopoma-rańcowymi szafami. Lorie krzątała się w poszukiwaniu talerzy i sztućców, a Gene napełnił puchar lodem i poszedł do pokoju przygotować drinki.

- To musi być wspaniałe. Mieć własne mieszkanie w centrum-miasta - zawołała.

- Mnie się podoba - stwierdził Gene.

Skończył mieszanie wódki i wrócił do kuchni. Lorie rozkładała wszystko i podgrzewała piekarnik do przyrządzania hamburgerów. Stał za nią, objął ją ramionami i dotknął twarzą jej włosów.

Wyprężyła się nagle.

- Gene - poprosiła - nie trzymaj mnie w ten sposób.

Pocałował ją.

- Dlaczego nie? Mnie się to podoba.

- Proszę - nalegała. - Nie obejmuj mnie! Odsunął się urażony.

- Staralem się być czuły. Czy czułość jest przestępstwem? A może twoja religia jej zakazuje?

- Gene, przepraszam, lecz gdy mnie dotykasz, denerwuję się.

- Posłuchaj, ja również jestem napięty, ale to przyjemne uczucie.

Odwróciła się do niego. Była wysoka i pełna dostojności; gdy tak na niego patrzyła, zdał sobie sprawę, jak bardzo jej pragnie. Jej oczy opalizowały zielenią, a jej wargi błyszczały w kuchennym świetle. Duże piersi rozpychały przód marynarki, a brązowe skórzane buty opinały jej długie nogi. I przez cały czas otaczała ją aura tajemniczego zapachu, który podniecał go najbardziej ze wszystkich poznanych dotychczas woni.

- Gene - powiedziała - wiesz, jak bardzo cię lubię.

- W porządku - odparł. - Wszystko jest okay. Jeśli nie chcesz się spieszyć, nie będę cię zmuszał.

- Gene, to wcale nie o to chodzi.

Oparł się o kuchenne szafki i posłał jej kwaśny uśmiezek.

- Nieważne, o co chodzi, prawda? Jesteś nerwowa jak kotka. Najlepiej będzie, jak się odprężysz i wypijesz drinka, a kiedy poczujesz się lepiej, wszystko stanie się tak naturalnie, że nawet o tym nie pomyślisz.

Odwróciła wzrok.

- Daj spokój - powiedział. - Może zrobisz parę Simple-burgerów i porozmawiamy o tym jak

dorośli, odpowiedzialni ludzie.

- W porządku - wyszeptwała. - Przepraszam. Pochylił się do przodu, a ona tak przekrzywiła głowę, że mógł ją pocałować w czoło.

- Nie chodzi o to, że... Cóż, nie jestem przecież nieczuła - powiedziała szybko. - Nie wolno ci myśleć, że mi się nie podobasz, bo tak nie jest. Sądzę, iż jesteś bardzo atrakcyjny.

- Wszystko rozumiem - uciał. - Nie musisz się tłumaczyć.

Wzięła jego rękę i uchwyciła ją mocno swoimi dłońmi.

- Proszę, zrozum, że nigdy przedtem nie byłam sam na sam z mężczyzną, z wyjątkiem mojego ojca, i że nigdy przed nikim się nie rozbierałam.

- Rozumiem - stwierdził. - A teraz może zjedlibyśmy kolację?

- Tak - zgodziła się z uśmiechem, a on uniósł jej dłonie do swych ust i ucałował je. Potem poszedł do pokoju rozlać drinki, a ona kończyła przygotowanie posiłku. Znalazła w lodówce jajka, w szafce cebulę i krzątała się przy hamburgerach, podczas gdy Gene usiadł w głębokim, skórzanym fotelu i oglądał w telewizji piłkę nożną, wyłączwszy dźwięk.

- Założę się, że jesteś wspaniałą kucharką - krzyknął.

Roześmiała się.

- Poczekaj, aż spróbujesz hamburgerów.

Na boisku powstało zamieszanie i Gene popijając chłodny koktajl i rozluźniając mięśnie próbował dojść, kto komu daje łupnia. Smakowała mu kuchnia Waltera Farlowe'a pomimo przypalonych steków, lecz po pogaduszkach z doktorami i bankierami oraz flirtach z ich paniami w średnim wieku był zadowolony, że może wreszcie rozluźnić ciało i umysł przy telewizorze i wódce.

- Zgłodniałem - oznajmił. - Im szybciej uwiniesz się z hamburgerami, tym lepiej.

Przyglądał się grze i wiwatującym w ciszy kibicom. Dopiero po dwóch, trzech minutach zdał sobie sprawę, że w kuchni również zaległa cisza i że Lorie już nic nie pichci. Wyteżył słuch, lecz docierał tylko Mozart.

- Lorie? - zawołał.

Zaniepokojony odstawił drinka i wstał z fotela. Przeszedł cicho przez pokój i uchylił kuchenne drzwi. Już miał je całkiem otworzyć, gdy usłyszał hałas, który go powstrzymał. Był to rodzaj pomruków i przetykania. Wsłuchiwał się w nie przez chwilę, po czym zajrzał przez szparę w drzwiach.

To, co ujrzał, zmroziło go od stóp do głów się. Lorie stała na środku kuchni z rękoma pełnymi surowego mięsa i wpychała je sobie do ust tak, że krew spływała jej między palcami na brodę. Oczy miała zamknięte, a twarz przypominała okrutne zwierzę pochłaniające swą ofiarę.

ROZDZIAŁ 4

Przez jeden straszny moment chciał pchnąć drzwi i stanąć przed nią. Lecz wówczas odłożyła na wprost zjedzone mięso na stół i otarła usta wierzchem dłoni. Wiedział, że gdyby teraz powiedział jej, czego był świadkiem, przekreśliłby wszelkie swoje szanse.

Czymkolwiek był ten sekret, jakikolwiek problem psychologiczny powodował odcinanie się dziewczyny od świata, nigdy go nie rozwiąże przemocą. Tak jak stwierdził Peter Graves, Lorie wierzyła, iż nad jej życiem ciąży cień fatalnego przeznaczenia, i jedynym sposobem przekonania jej o bezzasadności obaw, było pogodzenie się z ich istnieniem i wykorzystanie tego do ostatecznego rozwiązania zagadki.

A poza tym, cóż tak naprawdę dziwnego tkwiło w jedzeniu surowego mięsa? On sam jadał tatara i pomyślał, że być może Egipcjanie mają osobliwe gusta kulinarne.

Wycofał się cicho do pokoju i sięgnął po drinka. Myślał intensywnie, sącząc lodowatą wódkę, lecz nie martwił się zbytnio. Płyta z Mozartem skończyła się i gdy ramię gramofonu uniosło się znad krążka, usłyszał skwierczenie hamburgerów. Potrząsnął głową i sam zdziwił się, jak łatwo go zaszokować. Włączył Debussy'ego.

- Jak ci idzie? - krzyknął. - Potrzebujesz pomocy?

- Nie, dziękuję. Robię sałatkę. To nie potrwa długo.

Gene usiadł i rozprostował nogi. Od kiedy Peter powiedział mu o problemach Lorie z osobowością i zasugerował, iż małżeństwo mogłoby stanowić sposób na wydobyć jej z tych kłopotów, powracał do myśli o ślubie, próbując wyraźnie określić swoje nastawienie. Gdyby parę tygodni temu ktoś powiedział mu, że wkrótce będzie rozważał możliwość małżeństwa, roześmiałby mu się w twarz. Lecz teraz jakiś głos we wnętrzu pytał: Dlaczego nie? Jest piękna, ma klasę, jest córką zagranicznego dyplomaty. Czy naprawdę myślisz, że kiedykolwiek znajdziesz odpowiedniejszą osobę do roli pani Keiller? Nawet po cichu wypowiedział nazwisko „Lorie Keiller” i zabrzmiało to dobrze.

Drzwi do kuchni rozwarły się i weszła Lorie z tacą. Bezwiednie spojrzał na jej usta w poszukiwaniu śladów krwi, lecz wyglądała równie zmysłowo i wspaniale, jak zwykle; obdarzyła go promienistym uśmiechem, siadając obok i rozładowując w ten sposób napięcie.

Wziął swojego hamburgera i przyjrzał mu się.

- Mały coś ten hamburger. Sądziłem, że mam więcej mięsa.

Lorie podsunęła świeżą sałatkę: pomidory, cebula i chrupiąca sałata.

- Przepraszam - odparła spokojnie. - Było tylko tyle.

Drgnął.

- W porządku. I tak muszę dbać o linię.

Słuchali muzyki i jedli, a kiedy skończyli, Lorie zabrała tacę i pozmywała. Gdy suszyła naczynia, Gene przyciemnił światła i pokój wypełnił romantyczny półmrok. Nalał jej kolejnego drinka. Nie wiedział, na ile będą mogli sobie pozwolić, lecz jego dewizą było „zawsze próbować, gdyż inaczej pozbawia się samego siebie szansy”.

Gdy wróciła z kuchni, podał jej wódkę.

- To koniec twoich obowiązków jako gospodyni na dzisiaj. Chodź i usiądź.

- Nie mogę zostać zbyt długo. Nie chcę, by mama się martwiła.

Wskazał na miejsce przy sobie.

- Siądź! I przestań mówić o matce. Ona też musiała jakoś poznać twego ojca i postarać się o

ciebie. Nie zrobiła tego, wracając wcześniej do mamusi.

Lorie usiadła. Jej włosy lśniły w świetle lamp, a usta błyszczały, jakby je wciąż oblizywała. W mieszkaniu było ciepło i rozpięta safari tak, że mógł dojrzeć dolinkę między piersiami i tkwiącą tam małą, złotą piramidkę. Usiadła blisko i wdychał płynący od niej wraz z ciepłem ciała zapach perfum, przekonując się coraz bardziej, że ją kocha.

- Moja matka spotkała ojca w Tell Besta, w Egipcie - powiedziała. - To teraz tylko ruiny, lecz stamtąd właśnie pochodzi nasz naród.

- Masz na myśli współczesne ruiny czy antyczne?

- Antyczne - odparła. - Starsze nawet niż piramidy. Starsze niż sam Sfinks.

Otworzył pudełko papierosów.

- A zatem pochodzisz z długiej linii tych, jak im tam... Ubasti?

Skinęła głową.

- Miasto Tell Besta, gdzie mieszkali, nazywało się niegdyś Bubastis i osiągnęło szczyt swego rozwoju za Ramzesa III.

Zapalił i wydmuchnął dym.

- I możesz aż tak daleko dotrzeć do dziejów swojej rodziny?

Powtórnie skinęła głową.

- A jak dawno temu żył ten... Ramzes III? Obawiam się, że moja znajomość egiptologii nie jest zbyt wielka.

Pociągnęła łyk drinka.

- Ramzes III sprawował władzę tysiąc trzysta lat przed narodzinami Chrystusa.

Gene szeroko rozwarł oczy.

- Żartujesz! To znaczy, że znasz swe drzewo genealogiczne na trzynaście wieków przed Chrystusem? To niemożliwe!

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Niezupełnie. Ludność tej części Dolnego Egiptu nigdy nie była nomadami. Wielu fellachów wygląda obecnie zupełnie tak samo jak ich przodkowie z rysunków na ścianach starożytnych grobowców. Lecz nie jest to niespodzianką, jeśli się wie, że są bezpośrednimi potomkami właśnie tych ludzi, którzy budowali grobowce, a ponieważ bardzo powszechne są małżeństwa wewnątrz rodziny, między kuzynostwem, a nawet rodzeństwem, rysy twarzy pozostają niezmienione od tysięcy lat.

Gene przysiadł głębiej w fotelu.

- Wiesz co, znam swoje drzewo genealogiczne aż po szkocką rodzinę, która wyemigrowała na Florydę w 1825 roku, i zawsze byłem z tego dumny.

Ty sprawiasz, że czuję się całkowicie pozbawiony korzeni - stwierdził. Spuściła oczy.

- Długa linia rodzinna to niekoniecznie dobra linia rodzinna - powiedziała bardzo cicho.

- Chcesz przez to powiedzieć, że coś jest nie tak z twoimi przodkami?

Lorie spojrzała na niego.

- To zależy od punktu widzenia. Moi przodkowie nie byli zwykłymi ludźmi. Fellachowie nazywali ich „tamnym ludem”. Sądzę, że nadal tak mówią.

- „Tamten lud”. To nie brzmi tak źle.

- A jednak, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że fellachowie są mistrzami obelg i epitetów - powiedziała. - Mogą przeklinać cię przez godzinę i ani razu nie użyć tego samego określenia. Lecz nas, Ubasti, nazywają po prostu „tamnym ludem” i to najmocniej wyraża ich uczucia.

Gene wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Były miękkie i miłe w dotyku, lecz zarazem

posiadały specyficzną siłę i w sztucznym świetle błyszcząły dziwnym blaskiem, przypominającym mu coś, czego nie mógł skojarzyć.

- Mamy do czynienia z czymś podobnym w Ameryce - powiedział jej. - Czy słyszałaś kiedyś o Hatfieldach i McCoyach?

- Tak - odparła. - Lecz to nie jest podobne. To nie miało nic wspólnego z dyskryminacją. To był strach.

- Strach? Czy twoi przodkowie byli aż tak źli? Pocierał jej policzek wierzchem dłoni, a ona skupiła na nim swoje błyszczące, zielone oczy. Jej źrenice poszerzyły się w ciemności i nie zauważyłby choć raz mrugnęła. Był świadom narastającego w niej napięcia, które z trudnością opanowywała, lecz w miarę jak rozmawiali, stawało się coraz bardziej oczywiste, że dziewczyna siedzi jak na rozpalonych węglach. Ona na mnie nie patrzy, ona mnie obserwuje - pomyślał. Obserwuje mój każdy najmniejszy ruch.

- Nie powinnam mówić o moich przodkach w ten sposób - powiedziała. - Nawet jeśli nie żyją już od dwóch tysięcy lat, i tak jest to niełojalne.

- Nie wiem - stwierdził łagodnie. - Mówisz, jakby zmarli dopiero wczoraj.

Nadal go obserwowała, nawet nie drgnąwszy.

- To dlatego, że rozmawiamy o nich w domu prawie przez cały czas - odparła. - Matka nie chce, bym zapomniała o swoim egipskim pochodzeniu. Ona lubi Amerykę, lecz nie chce, żebym ja zapomniała.

- A ty? Czy wołałabyś zapomnieć?

- Nie - odparła prawie bezgłośnie. - Nie mogę. Tego, kim byli moi przodkowie, kim są, nie można zapomnieć.

Uspokajającym gestem pogłaskał ją po karku i zaczął pieścić jej uszy. Przedtem, gdy jej dotykał, reagowała o wiele słabiej. Gdy zaczął przeczesywać jej włosy, zdał sobie sprawę, że napięcie mięśni ustępuje, że oczy, przed chwilą jeszcze tak czujne, zaczynają się zamykać.

- Podoba ci się? - zapytał, choć nie musiał.

- To miłe - wymruczała i przeciągnęła się.

- Lorie - powiedział, pieszcząc jej kształtną głowę. Oczy miała nadal zamknięte.

- Tak?

- Lorie, chcę powiedzieć coś naprawdę ważnego. Pieszczoty tak bardzo jej się podobały, że mruzczała z rozkoszy.

- Mów... - poprosiła.

Przez moment spoglądał na ostre rysy jej twarzy i niezwykle długie rzęsy.

- Wiem, że to brzmi zupełnie wariacko. Nie sądziłem, że coś takiego może mnie spotkać. Zajmuję się polityką, wiesz przecież. A większość polityków to cynicy. Lecz muszę się z tym pogodzić, bo ani jutro, ani pojutrze nic się nie zmieni.

Teraz już mruzczała bardzo głośno, ocierając się o jego dłoń tak, by dotykał jej uszu.

- Lorie - wyszeptał - kocham cię. Zamilkła. Przestała się poruszać i powoli otworzyła oczy. Spojrzał na nią najintensywniej i najszczerzej, jak mógł, ponieważ chciałby odczytać potwierdzenie z jego twarzy.

- Ty... mnie kochasz?

- Tak - wyszeptał.

Odwróciła od niego wzrok. Na jej czole pojawiła się drobna zmarszczka.

- Gene, nie wolno ci! - odparła. Wyprostował się.

- Co rozumiesz przez „nie wolno”? To nie jest kwestia wyboru. W tych sprawach się nie

wybiera. Zakochałem się w tobie, czy chcesz, czy nie!

- Gene...

- Nie - stwierdził z uporem. - Tym razem nie chcę żadnych wymówek! Przeszliśmy już przez wszystkie te absurdalne przyrzeczenia, że nigdy cię nie poproszę o rękę i że nie powinienem cię kochać. To nudne. Jeśli się czegoś boisz, dlaczego nie jesteś szczerą i nie powiesz mi o tym? Jestem dorosłym mężczyzną, Lorie. Mam już tyle lat, by wiedzieć, czego chcę. A chcę ciebie, bez względu na to, czy byłaś więziona, zgwałcona, czy leczona na chorobę psychiczną lub coś w tym rodzaju. Szeroko otworzyła oczy.

- Myślisz, że zostałam zgwałcona? Albo zamknięta w więzieniu? Nie rozumiem, Gene!

Wstał na równe nogi i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Lorie - powiedział - po prostu nie wiem, co o tym sądzić. Wiem tylko, że szaleję za tobą i ty wydajesz się darzyć mnie podobnymi uczuciami i w zasadzie moglibyśmy robić to, co zwykle robią ludzie przypadający sobie do gustu, to znaczy całować się, wychodzić gdzieś razem, gdyby nie twoje opory.

Znow usiadł obok niej i ujął ją za rękę.

- Wiem, że żyłaś w odosobnieniu, i wiem, iż nawiązanie jakichkolwiek stosunków jest dla ciebie trudne. Ale masz prawie dwadzieścia lat i jesteś piękna. Nie możesz siedzieć przez całe życie w wieży z kości słoniowej. Pewnego dnia, wcześniej czy później, będziesz chciała się z kimś związać, poprzez małżeństwo albo inaczej, i nie możesz ukrywać się za dziecinnymi fantazjami.

Wyglądała na zmieszaną.

- Fantazjami? Nie wiem, o co ci chodzi. Uśmiechnął się.

- Daj spokój, Lorie, każda młoda dziewczyna je ma. Wychodzi po raz pierwszy z mężczyzną i martwi się, że nie jest wystarczająco wyrafinowana czy wystarczająco tajemnicza. Więc używa wyobraźni. Odrobina mistyki tutaj, muśnięcie melodramatyzmu tam. Gdy miałem piętnaście lat, chodziłem z trzynastolatką, która powiedziała mi, że jej ojciec był kiedyś sławnym pianistą. Według niej straszliwie poparzył sobie rękę, ratując ją z ognia. W końcu wyszło na jaw, że biedak pracował w piekarni, a jedynym jego muzycznym talentem było gwizdanie „Gdy skończy się bal”. Lorie wysłuchiwała tego i długo milczała.

- Gene - powiedziała - czy nie sądzisz, że to powinna być nasza pierwsza i ostatnia randka?

- Zdecydowałaś, że już ci się nie podobam, co? O to chodzi?

- Nie, nie o to.

- Więc jednak lubisz mnie?

- Tak. I w tym właśnie kłopot.

Gene znowu wyciągnął dłoń i potarł jej policzek. Wyglądała wyjątkowo smutno i pragnął, aby Bóg dał mu poznać, dlaczego. Ujęła jego dłoń i przycisnęła ją do warg, całując delikatnie.

- Prawda jest taka, Gene, że ja również cię kocham. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Żartujesz sobie ze mnie? Na Boga, Lorie, mam nadzieję, że mnie nie nabierasz.

- To prawda - powiedziała gardłowym głosem. - Sądzę, że nazywają to miłością od pierwszego wejrzenia.

Obdarzył ją lekkim uśmiechem.

- Dla mnie to wygląda na miłość od pierwszego ugryzienia.

Uniosła głowę. Oczy miała pełne łez i pociągała nosem.

- Pokochałam cię, gdy tylko cię zobaczyłam - stwierdziła. - Wiem, że przedtem nigdy się z nikim nie spotykałam i że nie mam żadnego doświadczenia. Może jestem dziecinna, jeśli chodzi o miłość. Ale taka już jestem, a ty będziesz musiał się z tym pogodzić.

Kocham cię, Gene, i tylko tyle mogę powiedzieć. Kocham cię nade wszystko.

- Lorie - wyszeptał. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Lorie, dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś...?

Zaczęła szlochać.

- Nie mogłam powiedzieć, ponieważ to nie może trwać dłużej. Nie mogę na to pozwolić. Jeśli się w tobie zakocham, wszystko zacznie się od początku, a tego nie zniosę.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł jej łzy.

- Nadal mówisz tajemniczo - powiedział. - Na co nie możesz pozwolić? Co znowu może się zacząć?

Wydymuchała nos.

- Nie mogę ci powiedzieć. Teraz ani kiedykolwiek. Wyjął z pudełka kolejnego papierosa i zapalił.

Zaciągnął się głęboko, by opanować nerwy.

- Nigdy? Nawet jeśli się pobierzemy?

Wlepiła w niego wzrok. Twarz miała bladą, a oczy pełne łez.

- Proszę, Gene - powiedziała. - Przysięgałeś, że nigdy nie poprosisz. Przysięgałeś...

Próbował się uśmiechnąć, lecz wyszło to sztucznie.

- Jestem politykiem, pamiętasz? Politycy mają wyjątkowy dar łamania obietnic.

W poniedziałek próbował co chwilę dodzwonić się do niej, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Niezbyt pomocna recepcjonistka z banku powiedziała, że Lorie Semple nie stawiała się do pracy, a on nie miał czasu, by osobiście to sprawdzić. Henry Ness domagał się szczegółowego profilu struktur politycznych na trzech wyspach karaibskich i Gene spędził irytujący ranek, zbierając dane dotyczące produkcji bananów i wysyłki cukru. W sobotnią noc odwiózł Lorie do domu późno i pocałowali się wówczas, lecz randka skończyła się niczym i nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek jeszcze zapragnie zobaczyć tę dziewczynę. Odmówiła rozmowy o małżeństwie i miłości. Nie potrafiła też powiedzieć, kiedy będzie miała kolejny wolny wieczór. W końcu zdenerwowany odwiózł ją do domu i nie uspokoił się, zanim nie wrócił do siebie i nie wypił do końca przygotowanych drinków.

- Walter cię szuka - oznajmiła Maggie. - Nie jest zbyt zadowolony z tego, co mu przygotowałeś.

Gene zapalił piętnastego papierosa tego dnia i nie podniósł nawet głowy.

- Jeśli Walterowi coś się nie podoba, niech sam tu przyjdzie i powie mi to.

- Jak mam to rozumieć? - spytała Maggie. - Strajkujesz?

- Nie - odpowiedział. - Zaczęły się po prostu obchody Tygodnia Niewtykania Nosa w Cudze Sprawy.

Maggie przyjrzała się bałaganowi na jego biurku.

- Cukier jest słodki, a Lorie nie, prawda? Gryzmolił na marginesie swego notatnika.

- Coś w tym rodzaju. To jakaś niesamowita zagadka, jeśli już musisz wiedzieć.

- Nie rozumiem.

Rozsiadł się na krześle i wyprostował. Za oknami wszystko wyglądało tak, jakby z zachodu nadciągała burza. Było dopiero wpół do drugiej, lecz zapalono już wszystkie światła w biurze, a powietrze przesycone było naelektryzowaną wilgocią, co wcale nie poprawiało jego samopoczucia.

- Jestem w kropce, wiesz - zaczął wyjaśniać. - Ona mówi, że mnie kocha, lecz nie chce pieścizot ani pocałunków. Nie chce także umówić się na kolejną randkę. Pytam ją, dlaczego, a ona zagłębia się w historię i opowiada o jakichś tajemniczych powodach, których nie może wytłumaczyć.

- Czy ona aż tak ci się podoba? - spytała Maggie.

- Co przez to rozumiesz?

- Chcę wiedzieć, czy kochasz ją wystarczająco, by to wszystko znieść.

Pokręcił głową.

- Nie wiem. Ona mi się bardzo podoba. Sądzę, że ją kocham.

- Och.

Gene ujrzał niezadowolenie na twarzy Maggie.

- Daj spokój, Maggie - powiedział. - To musiało się wcześniej czy później zdarzyć. Sama tak twierdziłaś.

- Wiem o tym. Nie chcę tylko, by stała ci się krzywda.

- Maggie, mam trzydzieści dwa lata.

- Wciąż to powtarzasz. Zostało ci osiem lat do czterdziestki. To zbyt mało, by się ustabilizować, i zbyt dużo, by dać się skrzywdzić.

Gene nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Wyjdź stąd, zanim się z tobą ożenię - zażartował. Maggie właśnie wychodziła, gdy zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę.

- Pan Keiller? Ktoś do pana - powiedziała panienka z centrali. - Nazwisko brzmi Sumpler albo jakoś tak.

„Semple” wymówione z mocnym francuskim akcentem, tak jak to mówiła matka Lorie.

- Okay - odezwał się Gene niepewnie. - Proszę połączyć.

Gdy pani Semple przemówiła, wydawało się, że jest niezwykle blisko, jakby stała przy nim i szeptała mu do ucha. Głos miała głęboki i wibrujący. Brzmiał równie intymnie, jak głos jego własnej matki.

- Gene, jak tam twoje ramię?

- Witam, pani Semple. Sądzę, że już w porządku. Świetnie je pani pozszywała. Nie wiem, dlaczego nie została pani chirurgiem.

- Nauczyłam się tego od starego tureckiego doktora z Zagazig. To chyba nic specjalnego. Może panu na zawsze zostać blizna.

- Z tym da się żyć. Jak miewa się Lorie?

- Lorie ma się bardzo dobrze.

- Nie poszła do pracy.

- Och, dzwonił pan do banku. No cóż, jest odrobinę zmęczona, lecz poza tym czuje się dobrze. Dzwonię właśnie w jej sprawie, jeśli mam być szczerą.

Rozgniółtł papierosa w popielniczce i czekał na najgorsze. Może Lorie poprosiła matkę, by do niego zadzwoniła i na dobre pozbyła się go. No cóż, oczekiwał tego. Zaczynał sądzić, że jego kontakty z Lorie nie przerodzą się w nic większego niż powierzchowna znajomość.

- Gene, chcę zadać panu pewne pytanie - odezwała się pani Semple.

- Proszę. Co chce pani wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, czy proponował pan Lorie małżeństwo.

Gene wziął głęboki wdech.

- Ujmijmy to tak, pani Semple. Ten temat wypłynął. Bardzo przedwcześnie, przyznaję, i prawdopodobnie niepoważnie, lecz jednak.

- A Lorie powiedziała „nie”?

- Wydaje się, że jej nastawienie jest właśnie takie.

- Kocham sposób, w jaki wy, politycy, wyrażacie się.

- Przechodzimy specjalną szkołę dwuznacznego mówienia. Czy o to chodzi?

- O co?

- Czy po to pani dzwoniła?

- Nie, nie, niezupełnie. Dzwonię, by powiedzieć, że ona się zgadza.

Gene przetarł oczy.

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem.

- Lorie się zgadza - powiedziała pani Semple. - Długo z nią rozmawiałam i teraz ona się zgadza.

- To znaczy...

- Oczywiście mam na myśli to, że za pana wyjdzie! Gene odsunął słuchawkę od ucha i wpatrywał się w nią.

- Co jest? Co się stało? Czy zamordowano Henry'ego? - spytała Maggie, stanąwszy w drzwiach.

Gene zignorował ją. Powtórnie przyłożył słuchawkę do ucha.

- Pani Semple, nie bardzo rozumiem.

- Tu nie ma nic do rozumienia - stwierdziła pani Semple radośnie. - Ona pana kocha i chce za pana wyjść.

- Lecz przedtem była taka zmartwiona. Wciąż obawiała się, że coś się stanie, choć nie mogłem pojąć co.

- To tylko rozbudzona wyobraźnia młodej dziewczyny - odrzekła pani Semple. - Ważne jest jednak to, że ona pana uwielbia i chce z panem spędzić resztę życia.

- To wszystko stało się tak nagle, pani Semple.

- Ach - usłyszał w odpowiedzi. - Czyż wszystko nie dzieje się zbyt szybko? Nagle zostajemy poczęci, rodzimy się i nagle umieramy.

- Tak - zgodził się. - Coś w tym jest.

Gdy odłożył słuchawkę, nadal wyglądał na zaszokowanego i Maggie dostrzegła, że jeszcze długo wpatrywał się w telefon, jakby oczekiwał, że ten podskoczy z biurka i ugryzie go.

Wzięli cichy ślub w Merriam trzy tygodnie później. Dzień był niezwykle ciepły, jak na tę porę roku. Wszyscy goście weselni z wyjątkiem milczącego Mathieu i eleganckiej pani Semple byli przyjaciółmi Gene'a. Skromna ceremonia odbyła się w białym kościółku u podnóża wzgórza za posiadłością Semple'ów. Wszyscy rzucali confetti na schody kościoła, fotograf zrobił zdjęcia dla „Washington Post”, a Maggie stała na uboczu, po kostki w opadłych liściach, i płakała.

Przyjęcie odbyło się w tawernie w stylu kolonialnym, z widokiem na Potomak, i wszyscy młodzi ludzie z biura Gene'a szeptali mu do ucha, jakim jest cholernym szczęśliwcem, oraz tłoczyli się wokół pani Semple w cichym podziwieniu. Po wypiciu zbyt dużej ilości szampana Walter Farlowe powiedział:

- Być może nie żenisz się dla pieniędzy, ale na pewno dla cycków.

Lorie miała na sobie suknię ślubną z białego jedwabiu z koronkami. Wyglądała kwitnąco i szczęśliwie. Przez cały dzień trzymała się blisko Gene'a i mimo iż czuł się nieco wyobcowany, w jakiś sposób wiedział, że to, co odczuwa, to duma i zadowolenie. Wciąż całował pannę młodą, a kiedy ostatni goście wyszli, usiadł z nią w oknie tawerny z kieliszkiem szampana i wpatrywał się w wolno płynącą rzekę, mocno tuląc swą wybrankę.

- Zamierzam ci coś powiedzieć - rzekł. - To najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Przytuliła się do niego.

- Wiem - wyszeptała. Przełknął szampana.

- Może któregoś dnia weźmiemy tu nasze dzieci, pokażemy im rzekę i powiemy, że...

Cofnęła ramię. Spojrzał na nią i zdał sobie sprawę, że jest zmartwiona i smutna.

- O co chodzi? W czym rzecz? - spytał.

- To nic - stwierdziła, siląc się na uśmiech.

- Och, daj spokój, Lorie. Nie ma już miejsca na żadne tajemnice. Jesteśmy małżonkami. Jesteś moją żoną. Jeśli coś cię martwi, chciałbym wiedzieć, co.

Pochyliła się i pocałowała go. Policzki miała rozpalone przeżyciami i szampanem.

- To naprawdę nic - powiedziała. - Myślę, że jestem zmęczona, to wszystko. Chciałabym się przebrać i odpocząć. To był jeden z tych fantastycznych dni, które zupełnie wykańczają człowieka.

- Okay. Wracajmy do domu. Czy Mathieu nas zawiezie?

Wyszli z tawerny. Na żwirowym parkingu czekał cichy i niewzruszony Mathieu, siedzący za kierownicą czarnego fleetwooda. Kiedy ich zobaczył, wyszedł z samochodu i otworzył tylne drzwi.

Lorie wsiadła do środka, lecz Gene zawahał się przez chwilę.

- Mathieu - zaproponował - mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

Mathieu, zasłonięty lustrzanymi okularami ukazującymi jedynie zniekształcone odbicie, nie dał żadnego znaku, że zrozumiał. Czekał nieruchomo, aż Gene wsiądzie do samochodu, po czym zatrzasnął drzwi. Wślizgnął się na siedzenie kierowcy, włączył silnik i ruszyli.

Ponieważ Gene obciążony był pracą, zdecydowali się spędzić kilka pierwszych tygodni małżeństwa w posiadłości Semple'ów.

Później, gdy wydawało się, że sytuacja na Karaibach ulega normalizacji, zamierzali udać się gdzieś na dwa tygodnie na narty, a następnie poszukać własnego domu w pobliżu Waszyngtonu. Lecz pani Semple powiedziała:

- Możecie pozostać tutaj tak długo, jak zechcecie. To miejsce wystarczająco duże dla was dwojga, dla mnie, a nawet dla mojej ukochanej małej wnuczki.

- Liczę najpierw na syna - stwierdził Gene, lecz pani Semple roześmiała się tylko. Miał dziwne uczucie, iż wiedziała, a przynajmniej wierzyła, że ich pierwszym dzieckiem będzie dziewczynka.

Przejechali dębową aleją i zatrzymali się z piskiem opon na żwirowej ścieżce przed domem. Mathieu otworzył im drzwi i wyszli z samochodu. Dom nadal wydawał się Gene'owi mroczny i nieprzystępny, lecz stwierdził, że będzie musiał się do tego przyzwyczaić. Weszli przez kolumnowy portyk do wielkiego, ciemnego holu obwieszzonego afrykańskimi włóczniami i trofeami wodnych bawołów. Czarne, dębowe schody pięły się z jednej strony holu na wyższe piętro, a witrażowe okno rzucało kolorowe światło na całe wnętrze.

- Sądzę, że powinienem przenieść cię przez próg - oznajmił Gene.

Ugiął kolana i próbował podnieść Lorie. Z wysiłkiem zdołał ją wznieść na kilka cali, lecz wówczas zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie tego dokonać. Była wysoką dziewczyną, to fakt, lecz nie sądził, że jest taka ciężka. Było tak, jakby próbował podnieść duże, giętkie, opierające się dzięki stworzenie.

Sapiąc postawił ją na ziemi.

- Pani Keiller - powiedział - sądzą, że będzie pani musiała przekroczyć ten próg samodzielnie. Wygląda na to, że powinienem dojść do lepszej formy, zanim kupimy sobie własny dom.

Lorie zaśmiała się.

- Myślałam, że wyszłam za politycznego asa, a tymczasem poślubiłam słabeusza...

Mathieu ruszył przed nimi, niosąc walizki Gene'a przez hol do ciemnych, dębowych drzwi na końcu korytarza na piętrze. Znajdowały się one tuż obok małej sypialni, gdzie Gene dochodził do siebie po starciu z wartowniczymi psami. Mathieu otworzył drzwi i wpuścił ich do środka.

- Ten pokój jest piękny - zachwycił się Gene. - Spójrz na łóżko! To naprawdę fantastyczne!

Pod przeciwległą ścianą znajdowało się wysokie łoże z mahoniowymi filarami i wspianiałym wezglowiem, ukazującym dzikie zwierzęta wałęsające się między liśćmi i kwiatami. Pokrywała je

narzuta ze skór zebry.

Pokój pomalowany był na jasnoróżowy kolor. Na podłodze leżał ciemnozłocisty dywan. Wystrój stanowiły stare, francuskie meble z różnych epok. Pani Semple przystroiła wnętrze świeżymi kwiatami sprowadzonymi z Florydy. Ich zapach był wszechobecny.

Mathieu postawił walizki i poszedł odsłonić kotary. Pokój znajdował się w południowo-wschodnim skrzydle domu, więc wpadały doń promienie wschodzącego słońca, a z okna rozciągał się wspaniały widok na drzewa oraz pola posiadłości Semple'ów.

Gene podszedł do okna, by wyjrzeć na zewnątrz, lecz zdał sobie sprawę, że Mathieu nadal stoi w pobliżu, jak figura woskowa, i czeka na coś.

- Och, przepraszam - powiedział Gene, gmerając w kieszeniach w poszukiwaniu dziesięciodolarówki. - Proszę, weź to. I bardzo ci dziękuję.

Mathieu nie poruszył się. Nie wyciągnął dłoni po pieniądze. Nawet nie pokazał po sobie, że ich nie chce.

Nagle przemówił skrzekliwym, nieprzyjemnym i nienaturalnym głosem:

- Gazela Smitha - powiedział chrapliwie. Gene zadrżał i zwrócił się w kierunku Lorie.

- Co on chce przez to powiedzieć? - spytał. - Mathieu, o co ci chodzi?

Lorie wystąpiła do przodu i objęła Mathieu ramieniem. Uśmiechnęła się do niego i pogładziła jego epolet.

- Nie sądzę, aby Mathieu miał na myśli coś szczególnego. Nieprawdaż, Mathieu? To tylko taki żart.

Mathieu nie odpowiedział.

- To byłoby wszystko, Mathieu - stwierdziła Lorie. Szofer założył czapkę i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą dyskretnie drzwi.

- Jestem pewien, że powiedział „gazela Smitha” - rzekł Gene. - Czy to jakaś afrykańska antylopa?

- Och, nie przejmuj się nim. - Lorie odsłoniła okrytą białą woalką twarz. - Myślę, że te tortury w Algierii rzuciły mu się na mózg. Zwykle jest opanowany, lecz czasem wyskakuje z czymś dziwnym.

Gene podszedł do niej i objął ją ramionami.

- Cóż - odezwał się ciepło - jak to jest być panią Keiller?

Kokieteryjnie przekrzywiła głowę.

- To nieco dziwne - przyznała. - Myślę, że minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaję. Przez dwadzieścia lat byłam Lorie Semple, a Lorie Keiller jestem dopiero od dwudziestu minut.

- Twojej matki nie będzie jeszcze przez pół godziny - uśmiechnął się, sięgając do guzików jej sukni ślubnej.

Wymknęła mu się.

- Pół godziny to niezbyt długo - zaprotestowała. - Może wejść na górę i odkryć, że my...

Podążył za nią i uchwycił ją mocniej.

- A zatem - stwierdził całując ją - zamkniemy drzwi.

Lorie spojrzała na niego ze strachem w oczach.

- Może zerknąć przez dziurkę od klucza. Gene skinął głową i uśmiechnął się.

- Oczywiście, że może - powiedział, sięgając znów do guzików.

Lorie naprężyła się. Złapała go za nadgarstki.

- Proszę, Gene. Nie teraz. Poczekaj do wieczora.

- Ale po co? - zapytał zirytowany, starając się jednak to ukryć. - Jesteśmy teraz małżeństwem.

Wszystkie konwenanse już za nami. Jeśli nie zrobimy tego teraz, nasze małżeństwo zostanie

nieskonsumowane do zachodu słońca, a na Florydzie uważa się to za niezwyklego pecha.

- Po prostu... wolałabym nie - powiedziała Lorie, odwracając się.

Gene złapał ją za rękę. Była zupełnie wiotka, nieczuła i ogarnęło go okropne uczucie, że być może poślubił oziębłą kobietę. Dlaczego bowiem tak wzbraniała się przed zbliżeniem? Dlaczego próbowała powstrzymać go przed małżeństwem? Dlaczego dziewczyna tak piękna jak Lorie pozostała dziewicą do nocy poślubnej?

- Lorie? - zapytał. - Czy na pewno czujesz się dobrze?

- Tak... w porządku - odpowiedziała. Była bardzo napięta i pobladła; przebiegały ją nerwowe dreszcze, jakby lada moment miała wpaść w histerię.

- Czy coś nie tak? - zapytał znów.

- Nie tak? - odparła pytaniem. - Nie, nie czuję się źle. Jestem głodna. Chciałabym coś zjeść. Może zejść do kuchni i coś sobie przygotuję.

Gene podszedł do okna i zapalił papierosa.

- Może nie zejdziesz na dół - powiedział cicho. - Może zostaniesz tu i powiesz mi, co jest nie tak.

- Nic się nie dzieje. Nie wiem, o co ci chodzi. Gene obrócił się do niej twarzą.

- Lorie, właśnie się pobraliśmy.

- Tak - powiedziała. - Wiem. Rozłożył bezradnie ręce.

- Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Jesteśmy mężem i żoną. Powinniśmy szaleć z miłości do siebie. Powinniśmy rzucić się na łóżko i oddać szalonej, zmysłowej miłości. Zamiast tego chcesz zejść na dół i grzebać w zamrażarce. Czego tam będziesz szukać? Surowego steku?

Lorie szeroko rozwarła oczy.

- Przepraszam - usprawiedliwił się Gene. - Bardzo czekałem na ten moment i teraz jestem zawiedziony. Jestem rozczarowany. Jesteś moją żoną. Kochani cię, a jeszcze nie widziałem cię nagiej.

Spuściła wzrok. W zachodzącym słońcu wydawała mu się doskonale piękna, madonna w dziewiczej bieli sukni.

- Gene - wyszeptała - nigdy nie wolno ci zobaczyć mnie nagiej.

Wpatrywał się w nią. Zakrztusił się dymem z papierosa.

- Przepraszam - zdziwił się - przysięgłbym, że powiedziałaś, iż nigdy nie mogę zobaczyć cię nago.

Skinęła głową.

Rozmyślał przez chwilę, a potem pochylił się i zdusił papierosa w małej, porcelanowej popielniczce. Zdjął z siebie szarą marynarkę i podszedł do niej w białej koszuli i spodniach.

- Zdejmij tę suknię - powiedział łagodnie. Lorie dumnie uniosła głowę.

- Gene, przykro mi. Nie mogę.

- Czy masz jakiś powód? - zapytał. Potwierdziła skinieniem.

- Jaki? Potrząsnęła głową.

- Nie zamierzasz mi powiedzieć? Znów potrząsnęła głową.

- W takim wypadku - stwierdził - zedrę z ciebie te przeklęte rzeczy, kawałek po kawałku.

- Gene, to moja suknia ślubna!

Obrócił się i walnął pięścią w mahoniową toaletkę tak, że zadrżały butelki z perfumami i szczotka do włosów spadła na podłogę.

- Lorie, wiem, że to twoja cholerna suknia ślubna! Czy sądzisz, że chcę ją porozrywać? Dlaczego, do diabła, nie możesz jej zdjąć? Dlaczego nie jesteś na tyle dumna, by pokazać własnemu

mężowi swe cholerne ciało?

- Bo nie mogę. I nie mogę powiedzieć ci, dlaczego! Jestem inna, Gene. Ty nie rozumiesz!

Potarł kark w gniewie i zirytowaniu. Wziął kilka głębokich wdechów, by się opanować.

- Lorie, wiem, że jesteś inna - powiedział spokojnym i cierpliwym głosem. - Ożeniłem się z tobą dlatego, że jesteś inna. Jesteś niepodobna do tych kobiet, które znałem. Jesteś niesamowicie atrakcyjna, masz piękne ciało i gdy gdzieś wchodzisz, wszyscy odwracają głowy w twoją stronę. Czy nie rozumiesz, iż pragnąłem cię właśnie ze względu na twoją inność?

Teraz płakała. Łzy spływały jej po policzkach i nie próbowała ich ukryć.

- Gene - powiedziała słabym głosem - ale ty nie wiesz, jak bardzo inna.

Bez słowa zaczęła rozpinąć suknię ślubną. Nie pomagał jej; przez cały czas płakała. W końcu położyła suknię na łóżku.

Pod spodem miała białe pończochy, biały pas i stanik. Jej duże piersi były jędrne i kształtne; widział różowe półksiężycy sutków prześwitujące przez koronkę stanika.

Gene stał oszołomiony, lecz nie wykonał ani jednego ruchu, by ją rozebrać. Nie powiedział też ani słowa. Musiała sobie poradzić z tym sama. Może nigdy przedtem nie rozbierała się przed mężczyzną, lecz w końcu musiała się nauczyć.

Odwróciła się do niego tyłem i rozpięła stanik. Zobaczył fragment jej rozkołysanej piersi. Nie miała majtek, a jej pośladki opalone były na kolor świeżo palonej kawy.

- No i... - odezwał się Gene - o co ci chodziło? Powoli obróciła się. Właśnie zamierzał do niej podejść, lecz to, co ujrzał, podziałało na niego jak lodowaty prysznic. Opanowało go okropne uczucie strachu i niepewności; mógł jedynie wpatrywać się w bezruchu.

Miała piękne piersi. Najśliczniejsze piersi, jakie kiedykolwiek widział. Uniesione i jędrne młodością, zwieńczone dużymi, różowymi sutkami. Ale bezpośrednio pod nimi znajdowało się coś, co wyglądało jak zaczątki kolejnej pary piersi! Były o wiele mniejsze, jak u nastolatki, lecz ich sutki były również widoczne. A pod tą parą ujrzał następne dwa, ledwie widoczne, lecz niewątpliwie realne i różowe.

Między udami kłębiły się złociste włosy, sięgające aż do pępka, a nawet porastające na kilka cali same uda.

Lorie stała wpatrzona w niego z rozłożonymi na boki rękoma, tak by mógł wszystko dojrzeć. Przestała płakać i była teraz milcząca i dumna.

- Widzisz, jestem inna - stwierdziła.

Gene podniósł swą marynarkę i sięgnął po paczkę papierosów. Nerwowo przełykał ślinę i uświadomił sobie, że się poci oraz drży ze zdumienia.

- Co to jest? - wybąkał zapalając papierosa. - Czy... to jakiś rodzaj...

Lorie przeszła przez pokój i stanęła przy oknie.

- Czy martwi cię fakt, że jestem taka? - spytała. Oddychał niepewnie.

- Nie wiem - odwrócił się. - Nie wyobrażałem sobie, że...

Podeszła i dotknęła jego ramienia. Nie śmiał na nią spojrzeć, by nie zobaczyć małych, nieuformowanych piersi poniżej normalnych i niezwykle bujnego owłosienia.

- Tak - powiedziała - to cię martwi, prawda? Przypuszczałam, że tak będzie. Dlatego nie chciałam ci tego pokazywać. Gdybyś nie zobaczył, nigdy byś nie wiedział.

- Czy oczekiwałaś, że ożenię się z tobą i spędzę resztę życia w celibacie? - spytał Gene. Nie wierzył w to, co słyszy, lecz nie wierzył również w to, co widzi, i czuł, że jego życie nieoczekiwanie zamienia się w kiczowaty horror telewizyjny.

- To mogło się udać - stwierdziła Lorie. - Sam powiedziałeś, iż pozory to chleb codzienny

Waszyngtonu. Mogłabym być twoją przyjaciółką i doradcą, a ty mógłbyś wychodzić z każdą dziewczyną, która wpadłaby ci w oko. Naprawdę cię kocham, Gene. Musisz to zrozumieć.

Gene usiadł.

- Jezu Chryste - wymruczał - to jakiś cholerny koszmar.

Lorie usiadła przy nim i zaczęła gładzić go po ramieniu. Palił przez chwilę, a potem powiedział:

- Czy ty i twoja matka nie zastanawialiście się nad chirurgią plastyczną? Myślę, że dobry chirurg mógłby...

- Gene - przerwała Lorie - chirurgia plastyczna jest tu na nic. Tacy już jesteśmy.

- To znaczy, kto jest?

- Moja matka, ja i nasi przodkowie. To oznacza właśnie Ubasti.

- Masz na myśli sześć piersi?

Lorie wstała i przeszła na koniec łóżka. Siedziała w białych pończochach, z rozwartymi udami i mimo iż nadal odczuwał niespokojne mrowienie, jej widok go podniecał.

- Amerykańscy lekarze nazywają to „dodatkowymi piersiami” - powiedziała Lorie, ujmując drugą parę piersi w dłonie. - Jest to bardzo dobrze opisane w książkach medycznych i wiele kobiet posiada więcej niż dwa sutki.

Gene otarł chusteczką spocone czoło. Nie komentował tego, co powiedziała, lecz pozwolił jej, by ciągnęła dalej.

- Jednakże w przypadku nas, Ubasti, te piersi nie są dodatkowe, lecz naturalne. I tylko dlatego, że w przeszłości kobiety nie używały odpowiednio sześciu piersi, stopniowo zmniejszały się one aż do całkowitego zaniku. Gene, czy możesz sobie wyobrazić piękno kobiety z sześcioma piersiami, takimi jak te?

Gene spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Lorie! Tu musi wkroczyć chirurg. Nie możesz spędzić reszty życia, paradując z sześcioma sutkami. A co z pływaniem w bikini? A co będzie, gdy wezmą cię do szpitala przed porodem? Co powiedzą lekarze? Proponujemy karmienie piersią, pani Keiller. Ma ich pani wystarczająco dużo.

Lorie nadal pieściła swój dolny sutek.

- Czy nie możesz na to spojrzeć z mego punktu widzenia?

- A co z moim punktem widzenia? - spytał Gene. - Po tym, jak się pobraliśmy, nagle okazuje się, że jesteś fizycznie zniekształcona, a potem mówisz mi, że nie chcesz tego poprawić!

- Mówisz, jakbym myślała tylko o sobie.

- Cóż, taka jest prawda! - wrzasnęła. - Jesteś samolubna! Poślubiłem cię, sądząc, iż pod tym ubraniem jesteś piękną kobietą! Teraz widzę, że masz więcej piersi niż dalmatyńska suka i jeszcze chcesz, bym zapomniał o naszym ślubowaniu i zabawiał się na boku. Lorie, co ty, do diabła, sobie myślisz?

Nie odpowiedziała. Chwilę później odwróciła się i cicho stwierdziła:

- Przynajmniej teraz nie będziesz chciał ze mną spać, prawda?

Przestał wrzeszczeć i wpatrzył się w nią. Wstał z krzesła, podszedł do miejsca, gdzie siedziała, i przyjrzał się jej ślicznej, pociągającej twarzy.

- Mam uczucie, że sprawia ci to przyjemność - powiedział. - Czy to prawda? Jesteś zadowolona?

- Gene - odparła - próbowałam cię przed tym ochronić od samego początku. Zrobiłam wszystko, co mogłam.

- Próbowalaś ochronić mnie przed czym? Spojrzała na niego smutno.

- Przed tobą samym, Gene. Próbowalałam cię ostrzec tak wiele razy, lecz ty nie słuchałeś. Gdy

tylko chciałam cię odstręczyć, wdzieraleś się w moje życie, nie dbając o mnie samą. Zanim poznałeś moją matkę, sądziłam, że mogę cię ocalić. Lecz ona jest zbyt silna dla mnie, Gene. Jest moją matką i jest również Ubasti. Muszę robić to, czego pragnie.

- Nie rozumiem z tego ani słowa - powiedział Gene.

Lorie zaczesła włosy.

- Idź, popatrz na zdjęcie przy garderobie - zaproponowała. - Tak, właśnie na to.

Pełen obaw Gene poszedł we wskazane miejsce i spojrział na mały obrazek. Pochodził on prawdopodobnie z czasów wiktoriańskich, sądząc po melodramatycznym stylu. Ukazywał niewielkie, pełne gracji, rogate stworzenie uwiązane do białego w ziemię palika. Niedaleko leżał przyczajony lew gotów do zaatakowania zwierzęcia i pożarcia go.

Pod obrazkiem widniał stylowo wykaligrafowany napis: „Gazela Smitha”.

ROZDZIAŁ 5

Spędzili bezsenną noc w olbrzymim łóżku z baldachimem. Lorie miała na sobie długą do kostek koszulę nocną z jasnobrzoskwiniowego jedwabiu. Gene wzdychał i wiercił się na pomiętych prześcieradłach, starając się uspokoić, ale ani razu nie próbował jej dotknąć czy przytulić.

Myśli miał w strasznym nieładzie. Gdzieś w głębi czuł, że nadal kocha Lorie i utrata jej teraz byłaby tragicznie bolesna. Od czasu do czasu spoglądał na nią. Leżała z zamkniętymi oczami na szerokiej, koronkowej poduszce i była równie podniecająca jak zawsze. Jednak myśl o jej piersiach i gęstym owłosieniu między udami natychmiast wdzierала się w sielankę, budząc odrazę.

Najbardziej dziwiło go, że była zadowolona ze swego ciała. Nie wydawało się jej nienaturalne czy brzydkie. Jeśli już, to skłonna była raczej uważać kobiety z dwoma piersiami za upośledzone i pokrzywdzone. Gene nie mógł się pogodzić z tym, że akceptowała własną dziwaczność. Nie obejmował jej umysłem, tak jak kojot nie potrafi połknąć w całości owcy. Czy też gazeli Smitha.

Wychowano go na amerykańskich dziewczętach na poziomie „Playboya”. Świeże, puszyste włosy, szerokie uśmiechy, błyszczące oczy i zaokrąglone, opalone ciała. Na Florydzie większość dziewcząt, jakie spotykał, była właśnie taka, no może z wyjątkiem jednej panienki, którą kiedyś zabrał z litości na koncert Johna Cage'a. Gdy koncert się skończył, jedyną osobą, jakiej żałował, był on sam. Dla Gene'a ideał ślicznej dziewczyny był bezdyskusyjnie częścią amerykańskiej filozofii szczęśliwego życia. Nie mógł porozumieć się z nikim, kto się z tym nie zgadzał. Nie oznaczało to jednak, iż pragnął się odciąć od Lorie. Nie był aż tak stereotypowy. Zamierzał zrobić wszystko, by skontaktować ją z najlepszym chirurgiem plastycznym, na jakiego będzie go stać. Gdy zaczęło się już na dobre rozwidniać, Lorie drgnęła, przewróciła się na bok i dotknęła jego dłoni. Nie protestował, choć natychmiast przyspieszył mu puls i z napięciem wyczekiwał, co zamierza zrobić.

- Gene - wyszeptała - nie śpisz?

- Nie zmrużyłem oka - mruknął. Cisza. Szelest prześcieradeł.

- Przykro mi, Gene, to wszystko moja wina. Powinnam była wcześniej powiedzieć ci prawdę. Zakaszła.

- No cóż, powinnaś. Lecz nadal nie jest za późno, Pójdę do lekarza, którego znam... to znaczy, słyszałem, że to ekspert od hormonów, i naprawdę myślę, że to najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić.

- Powinniśmy się z tego wycofać. Możesz dostać rozwód w Reno, prawda? Możesz nawet powiedzieć, że byłam niewierna, jeśli chcesz. Nie chodzi mi o twoje pieniądze.

Gene oparł się na łokciu.

- Lorie - powiedział - nie rozumiem, dlaczego wolisz paradować z taką skazą fizyczną, zamiast przejść krótką, prostą operację i mieć to z głowy? Jesteś piękną dziewczyną, a mogłabyś być najpiękniejszą. Nie odpowiedziała.

- To może kosztować nas parę tysięcy - ciągnął - lecz cóż to znaczy w porównaniu z doskonałym ciałem? Sądziłem, iż każda dziewczyna pragnie wyglądać jak najlepiej. Po prostu cię nie rozumiem.

Odwróciła głowę.

- Gene - szepnęła - to ja. Taka właśnie jestem. Jestem Ubasti.

Uśmiechnął się niecierpliwie. Potem zerwał się z łóżka i przeszedł przez pokój po papierosy. Zawsze nienawidził palenia w sypialni, lecz był tak zdenerwowany, że nie mógł się powstrzymać. Zapalił papierosa i usiadł nagi na jednym z krzeseł przy łóżku, wydmuchując dym w świetle poranka.

- Mówię jako twój mąż. Żądam, abyś poddała się operacji - stwierdził.

Oczy Lorie zabłyszczały w ciemności.

- A ja mówię: nie - oznajmiła spokojnie.
- Nawet jeśli wczoraj przysięgałaś mi wierność i posłuszeństwo?
- Posłuszeństwo i wierność nie obejmują zmian w cechach dziedzicznych.
- Ale te cholerne...
- Wiem, co sobie myślisz, Gene, i jest mi przykro. Lecz to moje ciało i jestem z niego dumna.

Usiadła na łóżku i patrzyła na niego smutno w półmroku z rękoma opartymi na kolanach.

- Kocham cię, Gene - powiedziała łagodnie. - Od początku chciałam wyjść za ciebie za mąż.

Lecz wiedziałam, co byś sobie o mnie pomyślał, i mogę jedynie powiedzieć, że jest mi przykro i mam nadzieję, iż następna dziewczyna, którą sobie znajdziesz, będzie wyglądała lepiej niż ja.

Gene zgasił papierosa. Wstał z krzesła, przeszedł przez sypialnię do umywalki i włączył światło. Umył twarz, ogolił się maszynką elektryczną i zaczął się ubierać. Przez cały ten czas ani razu nie spojrzał na Lorie.

- Gdzie idziesz? - spytała, gdy zawiązywał buty. Nadal się nie odwracał.

- Wychodzę - stwierdził kontrolowanym i pozbawionym emocji głosem. - Nie odchodzę na dobre, lecz muszę to wszystko przemyśleć. Prawdopodobnie wrócę około dziewiątej lub dziesiątej wieczorem.

Założył marynarkę i podszedł do lustra poprawić krawat.

- Może wezwalabyś Mathieu i nakazała mu uwiązać psy, żebym wyszedł z tego miejsca żywy.

- Psy?

- Właśnie tak. Te milutkie zwierzaczki, które prawie porozrywały mnie na kawałki.

- Ach, to - powiedziała Lorie nieobecny głosem. - Tak, dobrze.

Gene odwrócił się. Z jakiegoś powodu czuł, że coś jest nie tak. Było w całej tej sytuacji coś, czego do tej pory nie pojmował. Istniał inny sekret ukrywany przed nim przez Lorie, jakaś wiedza tajemna. Przeczynał, że jest o wiele okropniejsza niż wszystko, co odkrył dotychczas.

Maggie była zdziwiona, widząc go w biurze dziesięć po ósmej.

- Gene, co się stało? Nie mów mi, że młody żonkoś aż tak się spieszy do pracy.

Usiadł ciężko i spojrzał na nią.

- Maggie - poprosił - oddałbym wszystko za filiżankę kawy.

Gdy wróciła z plastikowym kubkiem z automatu, usiadł głęboko w krześle i przetarł oczy. Czuł się, jakby ostatniej nocy przejechał w wagonie bydlęcym całą Syberię. Z radością wypił kawę, a potem zaczął grzebać w szufladach biurka, szukając zapasowej paczki papierosów.

Maggie jaśniała urodą i troskliwością. Nagle poczuł dla niej tak wielką wdzięczność za przyjaźń, a nawet samą obecność, że zbierało mu się na płacz. Były to prawdopodobnie efekty przemęczenia, lecz wydmuchał nos w chusteczkę, by ukryć załzawione oczy.

- Gene - poprosiła Maggie - może mi opowiesz.

- Cóż - odpowiedział wycierając nos - nie mam zbyt wiele do powiedzenia. W jednej minucie jestem szczęśliwym małżonkiem, a w drugiej myślę o rozwodzie. To może być najkrótsze małżeństwo w historii.

Maggie usiadła naprzeciw.

- Stało się coś strasznego, prawda? Co, Gene? Czy to ma coś wspólnego z rodem Semple'ów?

Skinął głową.

Z pewnością. Posłuchaj, zanim ci cokolwiek o tym powiem, czy zrobisz coś dla mnie? - Cokolwiek zechcesz, Gene. Wiesz o tym.

- Idź do archiwum i dowiedz się wszystkiego, co możliwe, o ludzie zwanym Ubasti. Pochodzą z Dolnego Egiptu, z okolic Zagazig i zdaje się, że zamieszkiwali miasto o nazwie Tell coś tam. Tell

Bast albo Tell Besta. To było za panowania Ramzesa III około tysiąc trzysta lat przed Chrystusem.

Maggie zapisała szczegóły w notesie.

- Ubasti? - spytała. - Okay, daj mi tylko kilka godzin.

- Zachowasz wszystko dla siebie? Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, co robię, dopóki nie będę pewien. Jest coś... dziwnego i złego w rodzinie Semple'ów. Jeszcze nie wiem co, lecz stoję z tym twarzą w twarz. Po prostu potrzebuję więcej informacji, to wszystko.

Maggie położyła rękę na jego dłoni i przyjrzała mu się ze zdziwieniem.

- Gene, co z twoim małżeństwem? To znaczy, co będzie? Czy to naprawdę aż takie dziwne i takie złe? - spytała.

Przyłożył pięść do czoła i prawie przez minutę nie odzywał się.

- Nie wiem - odpowiedział. - Jeśli zdobędziesz dla mnie te informacje, może zrozumieć to wszystko na tyle, by coś z tym zrobić.

- Tylko dwie lub trzy godziny - obiecała. - Sprawy Karaibów mogą poczekać.

Gdy zamknęła notatnik i zbierała się do odejścia, Gene nagle pomyślał o czymś innym.

- Maggie - powiedział niepewnie. Czekala.

- Maggie, czy nadal masz tego przyjaciela w policji?

- Enrico? Jasne, że tak. Parę tygodni temu zabrałam jego dzieciaki do cyrku w Maryland.

- Dobrze - powiedział powoli. - Czy sądzisz, że Enrico mógłby sprawdzić psy zarejestrowane na rodzinę Semple'ów? To nie jest aż tak ważne, by tracił na to sen, ale jeśliby mógł...

- Zapytam go. Przy okazji, powinieneś znaleźć jakieś dzieciaki i użyć ich jako pretekstu, żeby pójść do tego cyrku. Przyjeżdżają do Waszyngtonu za kilka tygodni i są naprawdę wspaniali. Podoba ci się taniec na linie?

Gene zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Jasne, że tak. W tym biurze niczego innego nie robimy.

Czekając, aż Maggie wydobędzie jakieś dane na temat Ubasti, zadzwonił do Petera Gravesa. Automatyczna sekretarka odpowiedziała, że doktor Graves jest teraz zajęty, ale można zostawić wiadomość. Gene poprosiłby psychiatrę oddzwonił do niego. Potem chodził po biurze, gapiąc się przez okno na zimny, szary dzień z chmurami, które płynęły po niebie jak dymy odległej bitwy.

Tym, co go najbardziej intrygowało w kłótni z Lorie ostatniej nocy, była wzmianka o gazeli Smitha. Wypowiedzenie tej nazwy kosztowało Mathieu wiele wysiłku, a jednak Gene nie mógł pojąć, jakie to mogło mieć znaczenie. Wiedział, że była to znana od wieków metoda łapania i zabijania wielkiego drapieżnika poprzez przywiązanie do pala koźlęcia lub owcy, lecz nie dostrzegł żadnej paraleli pomiędzy tym rytuałem, a jego małżeństwem z Lorie. Czy Mathieu próbował go ostrzec, że Lorie jest właśnie tego rodzaju przynętą zastawioną przez jej matkę? Lecz cóż ona mogła zyskać, skłaniając go do małżeństwa z Lorie? Odrobinę uznania w oczach waszyngtońskiego światka koktajlowego? Może, lecz niewiele więcej. Czyżby śniło jej się, iż pewnego dnia Gene zostanie sekretarzem stanu?

Sama Lorie wskazywała na obrazek z gazelą, jakby to tłumaczyło wszystko, co się stało. Lecz jakiegokolwiek było wyjaśnienie, Gene nie miał o nim pojęcia. Jego umysł był raczej prosty i bezpośredni. Gubił się w metaforach i rebusach.

Czuł się wyczerpany i zawiedziony, ale też winny, że porzucił Lorie tak gwałtownie. Chciał do niej zadzwonić i powiedzieć, że wszystko jest okay, lecz w końcu zdecydował się tego nie robić. Teraz najważniejszą rzeczą było dla niego podjęcie decyzji na temat jej odpychającego ciała; czy zamierza zaakceptować ją taką, jaka jest, czy spędzić sześć tygodni w Reno, załatwiając sobie rozwód. Zastanawiał się, dlaczego Bóg właśnie jego wpakował w takie tarapaty.

Maggie wróciła i znalazła go śpiącego na krześle. Delikatnie potrząsnęła jego ramieniem, aż otworzył nieprzytomnie oczy.

- Mówiłeś przez sen - powiedziała. - Jak się czujesz?

Zamrugał i próbował jak najszybciej wrócić do realnego świata.

- Miałem koszmary - westchnął. - Wciąż mam te koszmary o bestiach i stworach próbujących mnie dopaść.

- Wygląda na to, że cierpisz na nadmiar pracy i brak seksu - stwierdziła Maggie.

Gene skinął głową i przetarł powieki, by się dobudzić.

- Chyba masz rację - potwierdził. - Potrzebuję długich wakacji w burdelu.

Przygotowała mu kolejną filiżankę kawy, a potem usiadła i otworzyła teczkę z materiałami, którą przyniosła z archiwum.

- Czy to wszystko? - zapytał. - Nie ma tego zbyt wiele.

- Nic dziwnego..Bibliotekarz nigdy nawet nie słyszał o Ubasti, tylko przez przypadek znaleźliśmy pewne dane. Jest książka pod tytułem „Wędrówki po Dolnym Egipcie”, napisana przez wiktoriańskiego dżentelmena nazwiskiem Keith Fordyce, i tam znajduje się pewna wzmianka na ich temat. Informacje są również w opisach topograficznych. To wszystko.

- I co pisze ten Fordyce?

- Zrobiłam ksero. Masz je tutaj.

-Podała mu kartkę i Gene dokładnie ją przeczytał. Była to jedna strona z gęsto zadrukowanej, wiktoriańskiej książki. Maggie dołączyła do tego również kopię stalorytu z sąsiedniej strony. Rycina ukazywała czarną bryłę kamiennych ruin pod mrocznym niebem, a napis pod nią głosił: „Tell Besta. Oto co zostało ze wspaniałego, starożytnego miasta, widziane z południowego wschodu.” Tekst z „Wędrówek po Dolnym Egipcie” brzmiał: Mój przewodnik poinformował mnie w Kairze, że wiele europejskich opinii na temat piramid w Gizeh i Sfinksu było błędnych. Potwierdził wiele z tego, co już wiedziałem: że słowo „sfinks” jako takie wywodzi się od greckiego „dusiciel” i że popularna legenda mówi, iż Sfinks był w rzeczywistości potworem o głowie kobiety i ciele lwa. Ona, lub też raczej to stworzenie, leżało oczekując na przechodniów i zadawało im zagadkę. Jeśli potrafili na nią odpowiedzieć, puszczało ich wolno. Jeśli nie, dusiło ich. Nie wiedziałem jednakże o tym, iż pomiędzy fellachami krążą historie, że Sfinks żył naprawdę i że na pustkowiach południowych piasków istniała rasa ludzi, którzy rzeczywiście pochodzili z krzyżówki kobiet i lwów. Powiedziawszy to, mój przewodnik stał się bardzo nerwowy i zażądał dodatkowej opłaty, ponieważ utrzymywał, że potomkowie tych okropnych istot żyją nadal i strzegą z okrutną zazdrością swego makabrycznego sekretu, mordując wielu zbyt gadatliwych przewodników. Po otrzymaniu zapłaty i jedzenia kontynuował opowieść o tym, jak ludzie-lwy czczą kociego boga Bast, demoniczną istotę, która wymaga ludzkich ofiar oraz perwersyjnych praktyk przekraczających wyobraźnię chrześcijanina. Zamieszkiwali oni miasto Tell Besta i nawet dziś żaden przewodnik, włączając jego samego, nie odważy się odwiedzić ruin z obawy przed zemstą tych, których określił po prostu jako „tamten lud”. Gene odłożył kartkę. Cały się trząsł. Gapił się na Maggie, jakby była przybyszem z obcej planety i przez dłuższą chwilę nie był w stanie wydobyć słowa.

- Gene, czy nic ci nie jest? Czy nie sądzisz, że powinieneś pójść do lekarza? Wyglądasz strasznie!

Potrząsnął głową. Usta miał wyschnięte i przesiąknięte gorzkim smakiem papierosów.

- Tamten lud - wyszeptał. - To niesamowite.

- Co jest niesamowite, Gene?

Oddał jej kartkę i wskazał na dolną część stronicy.

- To wszystko tutaj jest - powiedział. - To wariackie i przerażające, ale to wszystko tutaj jest. Przeczytała, lecz zdobyła się jedynie na wzruszenie ramion.

- Nie wiem, co w tym jest wariackiego czy przerażającego. Dla mnie wygląda to jak legenda. Gene podszedł do okna i obserwował ruch uliczny. W końcu odezwał się:

- Gdy po raz pierwszy umówiłem się z Lorie, powiedziała mi, że należy do egipskiego plemienia Ubasti. Naturalnie nic mi to nie mówiło. Bo i skąd?

Nigdy o nich nie słyszałem. Później dodała, że egipcyscy fellachowie nazywali ich „tamtym ludem”. Widocznie ci Ubasti byli tak straszni, że nikt nie odważył się głośno wymawiać ich nazwy. - Usiadł w fotelu, patrząc Maggie prosto w oczy. - Wczoraj, w naszą noc poślubną, gdy Lorie się rozebrała...

- Gene! - przerwała Maggie.

- Posłuchaj, dobrze?

- Ale, Gene, to prywatna sprawa. Nie mogę...

- Na Boga, posłuchaj! Kiedy Lorie rozebrała się zeszłej nocy, a zrobiła to z wielką niechęcią, obróciła się i zobaczyłem, że ma sześć piersi. I włosy, kręcone brązowe włosy, sięgające od pępka dotąd...

Maggie ze zdumieniem otworzyła usta.

- Gene - powiedziała mrugając - nabierasz mnie. Przełknął ślinę.

- To prawda, Maggie. Ma biust tutaj, normalnie, a pod nim dwie mniejsze piersi, a pod nimi jeszcze dwa sutki. Powiedziała, że... powiedziała, że amerykańscy lekarze nazywają to „dodatkowymi piersiami”. To jest jeden z tych... atawizmów, które przydarzają się od czasu do czasu.

Maggie jedynie pokręciła głową.

- Och, Gene. Jest mi przykro. O Boże, nic dziwnego, że się martwisz. Posłuchaj, może dałoby się coś zrobić z pomocą chirurgii plastycznej? Albo kuracji hormonalnej?

- Ona nie chce - stwierdził.

- Co to znaczy: ona nie chce?

- Dokładnie to. Ona sądzi, iż dzięki temu jest piękna i normalna. I jest tak o tym przekonana, że w końcu zdecydowałem się sprawdzić, czy nie ma racji.

Jak to może być normalne? Sześć piersi? To absolutnie nienormalne!

Gene wskazał na kopię z książki Keitha Fordyce'a.

- To może być zupełnie nienormalne dla kogoś, kto miał ludzkiego ojca i ludzką matkę. Lecz ta książka mówi, że Ubasti są potomkami kobiet i lwów. Dziewczyna mająca w żyłach lwią krew może też mieć inne lwie cechy, na przykład rzędy sutek do wykarmienia młodych i nadmierne owłosienie. A czy pamiętasz jej oczy? Zielone, z żółtymi przebarwieniami. Jak u lwicy.

- Gene, chyba to wszystko naciągasz - stwierdziła Maggie desperacko.

Zapalił papierosa.

- Czy sądzisz, że siedziałbym w biurze dzień po ślubie, gdyby wszystko było w porządku?

Pokręciła w milczeniu głową.

- Maggie, doceniam wszystko, co zrobiłaś. Naprawdę. Lecz chcę stanąć z tym twarzą w twarz i odkryć, o co tu chodzi. Jakakolwiek by Lorie nie była, poślubiłem ją i jestem za nią odpowiedzialny.

- Czy pomyślałeś o tym, że ona może być niebezpieczna?

Niebezpieczna? Co przez to rozumiesz?

- Lwy są niebezpieczne, nieprawdaż? Tak, ale...

Maggie opuściła wzrok.

- Myślałam o tym, co powiedział ten francuski dyplomata.

Jaki francuski dyplomata?

- Ten, który ostrzegał przed tańcem. No i...?

- Cóż, przyszło mi do głowy, że mógł mówić po francusku. Wiesz, jak dyplomaci nieświadomie przeskakują z języka na język. Może mówił, abyś strzegł się les dents. - Les dents?

- No właśnie. Strzeż się zębów.

Znalazł Petera Gravesa w barze klubu golfowego Arlington. Było to mroczne, tradycyjne miejsce, ze skórzanymi obiciami i grawerowanymi pubowymi lustrami, wypełnione szmerem intelektualnych rozmów przeplatanych okazjonalnymi wybuchami śmiechu. Zamówił czystego Jacka Danielsa i wziął do niego kosteczkę sera. Była już pora lunchu, a on jeszcze nie jadł.

Uścisnęli sobie ręce. Gene czuł się zmęczony i niechętny wszelkim rozmowom, lecz wiedział, że będzie musiał się przemóc, zanim wróci tej nocy do posiadłości Semple'ów. Zapalił papierosa.

- Miłutkie miejsce. Ci wszyscy ludzie to lekarze? Peter skinął głową.

- Tak. Głównie wojskowi. Bomba strategiczna rzucona na to miejsce w porze lunchu zmiotłaby większość dowództwa Pentagonu w ciągu paru sekund.

- Będę o tym pamiętał, kiedy następnym razem zechcę zarobić parę dolarów, sprzedając sekrety. Peter pił gorzką whisky. Bawił się pływającą w niej wisienką.

- Jak się czujesz?

- Przede wszystkim zmieszany. Dlaczego?

- Przez telefon twój głos brzmiał paskudnie. Przez moment zastanawiałem się, czy nie cierpisz na histerię nerwową.

- Histeria? Ja?

Peter Graves zlitował się w końcu nad wisienką i zjadł ją. Lecz ogonek włożył do popielniczki i zaczął nim grzebać w popiele z papierosa Gene'a.

- Histeria zdarza się nawet najbardziej wyregulowanym umysłom. Tak naprawdę, to właśnie one są na nią bardziej wrażliwe niż ci z nas, którzy z reguły uważani są za „roztrzępańców”. Tylko w tym barze znajduje się pięciu czy sześciu ludzi, wyższych oficerów armii, którzy przeszli histerię. Sam leczyłem dwóch z nich.

- Mam nadzieję, że skutecznie. Nie jestem pewien, czy chciałbym przeżyć trzecią wojnę światową.

- Któż to może powiedzieć? - stwierdził Peter. - Ten rodzaj hysterii, o którym mówię, może dotknąć człowieka w jednej chwili.

- No cóż, to bardzo możliwe. Ale prawda jest taka, że jeśli chodzi o mnie, wcale nie jestem histerykiem.

- Sądzisz, że ożeniłeś się z kobietą będącą krzyżówką człowieka z lwem - skomentował Peter.

- Ja nie sądzę, Peter. Ja wiem.

- Skąd wiesz? Jaki masz dowód?

- Chryste, Peter, ona ma sześć piersi! Widziałem je! Peter drgnął.

- Nie wykrzykiwałbym takich rzeczy tutaj, Gene. Oni mają tu bardzo staroświeckie wyobrażenie o świecie. Mógłbyś zakłócić ich równowagę umysłową.

- A ty? Wydaje mi się, że ty również masz bardzo staroświeckie wyobrażenie o świecie. Nie wierzysz mi, prawda? Sądzisz, iż jestem interesującym przypadkiem i teraz próbujesz dociec, jakiego

rodzaju syndrom powoduje u mężczyzny halucynacje na temat dodatkowych piersi u żony w czasie nocy poślubnej.

Peter sączył swego drinka. Zrobiły mu się od tego białe wąsy.

- Jest wiele autentycznych przypadków dodatkowych piersi. Przejrzałem niektóre dzisiaj rano.

Jakaś kobieta w Baden-Baden miała...

- Peter, to nie są dodatkowe piersi. Ona sama powiedziała, że to się powtarza w jej rodzinie. To cecha dziedziczna.

- Masz na myśli to, że jej matka ma je również?

- Wydaje mi się, że tak. Tak zrozumiałem.

- Cóż - powiedział Peter - muszę przyznać, że jest to dosyć nietypowe.

Gene podniósł swojego drinka i pociągnął spory łyk. Płyn spalił mu gardło i przypomniał o tym, jak pusty ma żołądek.

- To przestaje być takie niezwykle, gdy spojrzysz na to z punktu widzenia Lorie. Ona wierzy, że jej piersi są całkiem normalne. A zatem, albo cierpi na swego rodzaju kompensację psychiczną brzydkiego wyglądu, albo jest w usprawiedliwiony sposób przekonana, że jest prawdziwą kobietą Ubasti, wywodzącą się z tych ludzi-lwów.

- W usprawiedliwiony sposób? - przerwał Peter. - To znaczy, że wierzysz w ich istnienie?

- A w cóż innego mam wierzyć?

Peter złożył dłonie i wpatrywał się w zamyśleniu w stół. Próbował zrobić to, co robi każdy profesjonalista, gdy jakiś człowiek przychodzi do niego z niespotykaną sprawą: dopasować ją do znanych sobie realiów. Gene nie miał do niego o to pretensji, gdyż i on przez to przeszedł. Wiedział, że Lorie Semple Keiller, od niecałej doby jego żona, wymykała się wszelkim próbom racjonalizacji.

Peter mimowolnie drapał się po łysinie.

- Czy ty ją kochasz? - zapytał.

- Oczywiście, że ją kocham. Dlaczego o to pytasz?

- No cóż - stwierdził Peter - skoro chcesz jej pomóc, to bardzo ważne. Jeśli jej nie kochasz lub jeśli nie jesteś tego pewien, proponowałbym, żebyś usunął ją ze swego życia najszybciej, jak to tylko możliwe. Lecz jeśli tak nie jest i naprawdę chcesz jej pomóc powrócić do normalnego świata, będziesz musiał przygotować się do podjęcia wielu naprawdę trudnych decyzji.

- Czy mam się przyzwyczaić? Do tych... tych dodatkowych piersi? I tych włosów?

Peter skinął głową.

- Pamiętaj, co powiedziałem na party Waltera Farlowe'a? Jeśli chcesz zrozumieć, co dzieje się z tą dziewczyną, będziesz musiał poddać się jej myślom o nieuniknionym przeznaczeniu. Z tego, co mi powiedziałeś, ona obawia się, że jakieś wydarzenie, jakieś okropne nieuchronne wydarzenie, będzie miało miejsce w waszym życiu. Musisz jedynie przyjąć reguły tej gry i gdy stanie się dla niej jasne, że owo straszne zdarzenie nie nastąpi, masz największą szansę, by ją z tego wyleczyć.

Gene przypomniał sobie obraz gazeli Smitha.

- A jeśli założymy, iż ono nastąpi? - spytał. - Przypuśćmy, że to właśnie ona ma rację?

Peter skończył swojego drinka.

- Gene - powiedział łagodnie - chcę, żebyś coś zapamiętał. Nie wierzę w istnienie ludzi-lwów. Przykro mi, ale tak właśnie jest. Jest genetycznie niemożliwe, by lew zapłodnił kobietę, a nawet gdyby to było możliwe, co robiliby ich potomkowie w ślicznym domostwie opodal Merriam, w towarzystwie miłych, młodych demokratów, takich jak ty? Gene uśmiechnął się.

- W porządku, Peter. Wiem, że to dla ciebie trudne do przełknięcia. Lecz ja tam wracam, więc cokolwiek się stanie, prawdopodobnie poznam prawdę. Mam jedynie nadzieję, że to ty masz rację, a

ja się mylę.

- Tak długo, jak ją kochasz, Gene, masz szansę, że sobie z tym poradzisz.

Gene skończył swego Jacka Danielsa.

- Módl się za mnie - powiedział cicho. - Myślę, że będę tego potrzebował.

Czekała na niego w ciemnym holu ubrana w prostą, długą, wieczorową suknię. Jej włosy spływały kaskadą lśniących loków. Miała błyszczące kolczyki i złote łańcuszki na szyi. Dekolt był tak głęboki, że odsłaniał jasnorożowe aureole jej piersi, lecz gdy zawiesił swój prochowiec na wieszaku i podszedł do niej po marmurowej posadzce, próbował na to nie patrzeć. Nie były to w końcu jedyne piersi.

- Lorie - powiedział bardzo delikatnie, po czym pochylił się i pocałował ją.

Zamknęła oczy i poczuł, jak czubek jej języka wślizguje mu się między wargi. Polizała jego zęby, lecz usta trzymała tak ciasno zwarte, iż nie mógł się odwzajemnić. „Strzeż się les dents” - upomniał go zimny, wewnętrzny głos.

Cofnął się i ujął ją za nadgarstki. Uśmiechnęła się. Lekko, niepewnie, lecz z wyraźnym zadowoleniem.

- Gene, tęskniłam za tobą. - Jej oczy wypełniły się łzami.

W tym momencie rozległ się głęboki głos.

- Czy to mój zięć służbista? - spytała pani Semple, odziana w suknię prawie równie wyzywającą, jak suknia Lorie, schodząc dostojnie ze schodów. Jej srebrne włosy były świeżo upięte i polakierowane, a na szyi połyskiwała kolia ze srebra i pereł.

- Pani Semple - powiedział Gene, biorąc ją za rękę - nie wiem doprawdy, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić, samolubny młodzieńcze, i w zupełności cię rozumiem. Oczywiście, że to był szok! Lorie postąpiła nierozsądnie, nie uprzedzając cię. Lecz te rzeczy są dla nas takie naturalne, dla Lorie i dla mnie, że nawet nie przyszło jej to do głowy. No, ale dość o tym, kolacja będzie gotowa za kilka minut i sądzę, że chciałbyś się przebrać. Wyglądasz, jakbyś spędził cały dzień na ławce w parku.

Kwadrans później siedzieli w jadalni, a Mathieu, poruszając się sztywno i bezszelestnie w niedopasowanym fraku, podawał im gorące dania.

Było to jedno z najpiękniejszych pomieszczeń w domu, z dębowym wystrojem importowanym z Europy i długim polerowanym stołem jadalnym Chippendale, który odbijał migotliwe światło świec i jasne owale ich twarzy.

Lorie wyglądała promiennie, popijała wino i uśmiechała się do niego z taką miłością, iż nagle poczuł, że znów nie jest w stanie się jej oprzeć. Kimkolwiek była, jakiegokolwiek były jej korzenie, miał niewątpliwie do czynienia z najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał i, być może, liczyło się jedynie to.

- No i cóż, Gene, czy jest coś, o czym chciałbyś porozmawiać? - spytała pani Semple, gdy skończyła zupę.

Oдноśnie dzisiejszego dnia?

- Oczywiście.

- Czy to nie...

Pani Semple uniosła swą elegancką dłoń o długich paznokciach.

- W tej rodzinie, Gene, dyskutujemy o wszystkim otwarcie i bez skrępowania. Nauczył nas tego mój drogi, zmarły mąż. Mówił, iż jest wystarczająco dużo sekretów między wrogami, więc po co mnożyć je jeszcze między przyjaciółmi.

- No cóż - stwierdził Gene z zakłopotaniem, ocierając usta - będzie mi nieco trudno to wyjaśnić.

Chodzi po prostu o to, że fizycznie nie byłem zupełnie przygotowany na Lorie. To znaczy, ona nie jest taka sama, jak większość dziewcząt, które znam.

- Rozumiem - odparła pani Semple ciepło. - Więc wyrwałeś się na dzień, żeby, jak to powiedzieć, przeorientować się?

- W pewnym sensie.

- Czy jesteś już przekonany? Czy może wciąż nie potrafisz podjąć decyzji?

- Rozmawiałem z psychologiem, którego poznaliśmy. Słyszała pani, tym z przyjęcia u Waltera Farlowe'a. Powiedział, że jeśli naprawdę cię kocham, Lorie, to będę w stanie zaakceptować cię taką, jaka jesteś. Cóż, to dobry człowiek i myślę, że mu ufam. A przede wszystkim zdaję sobie sprawę z tego, że cię kocham.

- Och, Gene - wyszeptała Lorie.

Pani Semple zadzwoniłaby podano kolejne danie.

- Bardzo się cieszę, że to mówisz, Gene - powiedziała z satysfakcją. - A teraz spróbuj tego świeżego, kanadyjskiego łososa. Jest wyborny.

Obudził się w nocy z dziwnym uczuciem, że ktoś mruczy mu do ucha. Otworzył oczy, obrócił się i zobaczył, że Lorie śpi z włosami rozsypnymi na poduszce, mamrocząc coś przez sen. Przysunął się, by dosłyszeć, co mówiła, ale nie były to słowa. Oddychała, wydając charakterystyczny niski dźwięk, jakby była przeziębiona.

Spojrzał na zegarek. Była druga i panowała absolutna ciemność. Wyteżył wzrok, rozejrzał się po pokoju, lecz nie mógł dostrzec zbyt wiele. Ułożył się powtórnie.

Nagle Lorie zaczęła się wiercić i trząść. Oddychała gwałtowniej i szamotała się z pościelą, jakby próbowała coś z siebie zrzucić. Warczała i kłapała zębami jak dzikie zwierzę, lecz równocześnie wydawała się walczyć sama z sobą.

Gene włączył lampkę przy łóżku. Dziewczyna nadal miała zamknięte oczy; rzucała się na łóżku, szarpiąc swą nocną koszulę i drapiąc prześcieradło. Krzyczała i wyła chropawym, niskim głosem.

- Lorie! - krzyknął. Lorie, na miłość boską! Próbował złapać ją za ramię, lecz wywinęła się i zadrapała mu policzek paznokciami drugiej ręki. Czuł rozdrapywaną skórę i gdy dotknął twarzy prześcieradłem, poplamił je krwią.

- Podrapałaś mnie! - wrzasnął. Rozdrażniony i przestraszony uderzył ją w policzek tak mocno, że zabolą go własna dłoń. Lorie jeszcze raz drgnęła, a potem zamarła z rozognionym od uderzenia policzkiem, sapiąc jak po długim biegu.

- Lorie - wysyczał - co się, u diabła, dzieje? Lorie, powiedz coś!

Leżała jeszcze przez parę minut, oddychała głęboko i nie reagowała, lecz później z wolna odwróciła głowę i spojrzała na niego. Zwężone źrenice jej zielonych oczu wyglądały zimno i okrutnie; przypomniał sobie zwierzęce ślepie obserwujące go, gdy spał po pogryzieniu przez psy.

- Lorie? - spytał. - Lorie, czy to ty?

Nadal wpatrzona w niego, powoli wyszczerzyła zęby w szerokim, okrutnym warknięciu. Były żółte, zakrzywione i ostre. Uniosła się na rękach i zaczęła pełznąć ku niemu po łóżku. Przez paralizujący moment pomyślał, że nie będzie w stanie się ruszyć, lecz gdy znalazła się bliżej, ześlizgnął się z łóżka i podbiegł do drzwi sypialni.

Podczołgała się na czworakach na kraniec łóżka i przysiadła tam z ustami wykrzywionymi w lwim warknięciu, przyglądając mu się i dysząc.

Opanował go potworny lęk. Czymkolwiek była ta bestia, nie mogła być Lorie. Cały jej wieczorny urok i delikatność odpłynęły z twarzy, która teraz miała wyraz wyjątkowo zwierzęcy. Włosy dziewczyny były zmierzwiłone jak grzywa lwa, a cały pokój wypełniał ostry zapach jej ciała.

- Lorie - wyszeptał.

Oczy bestii rozwarły się szerzej i obserwowały go.

- Lorie, jeśli jesteś tam wewnątrz, jeśli jesteś wewnątrz tego ciała... Lorie, posłuchaj!

Wycofał się w kierunku drzwi, sięgając po wiszący na krześle szlafrok i owijając nim prawe przedramię. Widział, jak ktoś robił tak w filmie o Tarzanie w obronie przed lwami i z jakiegoś głupiego powodu wydawało mu się to najlepszą bronią. Jednak nie spuszczał z niej wzroku ani ona z niego, a rosnące między nimi napięcie, napięcie między napastnikiem a ofiarą, stawało się nie do zniesienia.

- Lorie - wyrzucił z siebie - to ja! Gene! Czy mnie nie poznajesz? Jestem Gene!

To, co się wówczas stało, przeszło go panicznym strachem. Lorie zeskoczyła z łóżka na czworakach i dała susa ku wpół otwartemu oknu. Uchyliła je szerzej ręką, po czym weszła na wąski parapet. Powoli odwróciła się i wlepiła w niego zielone, nieprzeniknione oczy, a potem, zanim zdążył ją powstrzymać, wyskoczyła w ciemność.

- Lorie! - wrzasnął.

Podbiegł do okna i spojrział w dół. Do żwiru było około trzydziestu stóp i musiała polecieć jak kamień. Lecz w mroku nocy na dole, oprócz szumu dębów na październikowym wietrze, nie było nic. Ani śladu białej koszuli nocnej rozciągniętej na podjeździe. Ani śladu pogruhotanej Lorie. Nic.

Kątem oka zauważył jasny kształt biegnący ku drzewom. Poruszał się szybciej niż jakiegokolwiek widziane przez niego stworzenie, długimi, wysokimi skokami. Potem zniknął w ciemnościach i nie było już nic poza hałasami starego domu i stukaniem jakiegoś niedomkniętego okna.

Gene, roztrzęsiony i oniemiały, podszedł do umywalki i napił się wody. Potem usiadł na krześle przy łóżku i zapalił papierosa. Natychmiast pomyślałby zadziałać w jakiś sposób, na przykład obudzić matkę Lorie lub zapukać do drzwi Mathieu czy też zadzwonić na policję, lecz zaczął zdawać sobie sprawę, że w przypadku Lorie będzie musiał wykazać cierpliwość i delikatność.

Myśląc o tym teraz, parę minut później, ledwie był w stanie uwierzyć w niesamowitą przemianę Lorie. Może Peter Graves miał rację i cierpiała na jakiś rodzaj hysterii, która sprawiała, iż wierzyła w swe ludzko-lwie pochodzenie. Lecz jak to się miało do skoku w ciemność z wysokości trzydziestu stóp, głową naprzód i bez doznania jakichkolwiek obrażeń? I co z jej zapachem, który nadal unosił się w powietrzu?

Z tego, co widział, wydawało się, że Lorie posiadała dwa oblicza. Jedno z nich było delikatne i troskliwe, a przy tym niewątpliwie ludzkie. Drugie należało do okrutnego zwierzęcia. A jednak sądził, że w pewien sposób przenikały się one wzajemnie. Gdy Lorie była bardziej „ludzka”, niewątpliwie zdawała sobie sprawę, jak wynikało z jej ostrzeżeń, z istnienia zwierzęcej strony swej natury i gdy dziś w nocy przypominał bestii, którą się stała, że jest jej mężem, wydawało się, że go rozpoznała i dlatego zostawiła w spokoju.

Martwiło go jednak coś jeszcze. Podszedł do telefonu przy łóżku i podniósł słuchawkę. Nakręcił numer Maggie i czekał, aż dzwonek ją obudzi.

Odezwała się po prawie pięciu minutach. Głos miała okropny.

- Kto to, do cholery? Wiesz, która jest godzina?

- Maggie, to ja, Gene.

- Gene, na Boga! Jest druga rano! Właśnie położyłam się spać.

- Maggie, strasznie mi przykro, lecz muszę cię o coś prosić.

Maggie westchnęła, lecz z tonu jej głosu wynikało, że jest zaalarmowana i ciekawa.

- Okay, Gene - powiedziała w końcu. - Wal śmiało. Mam tylko nadzieję, że nie będziesz pytał o przepis na ciasteczka cynamonowe.

- Maggie, chodzi o psy.
- Psy? Jakie psy?
- Powiedziałaś, że poprosisz Enrico, by sprawdził psy zarejestrowane na rodzinę Semple'ów.
- Zgadza się, zrobiłam to - bąknęła.
- No i czego się dowiedziałaś?

- Powiedziano mi, że nie mają żadnych zarejestrowanych psów, co zostało nawet sprawdzone bezpośrednio w Merriam u człowieka, który dość dobrze zna rodzinę Semple'ów. Nigdy nie słyszał, żeby trzymali jakiegokolwiek psy.

Gene odsunął słuchawkę od ucha. Tej nocy, gdy wkradł się na teren posiadłości, by szukać Lorie, prawdopodobnie znalazł ją. Bestią, która ściągnęła go z pnącza i zaatakowała w tak okrutny sposób, była jego własna żona.

- Dzięki, Maggie, zadzwonię do ciebie jutro. Potem podszedł do okna i zamknął je. Przekręcił klucz w drzwiach sypialni. Ubrał się i położył na pościeli, by odpocząć przed powrotem Lorie. Mimo iż był zmęczony, nie mógł zasnąć, a straszne obrazy warczącej Lorie atakowały go z ciemności.

O świcie, gdy w oknie pojawiły się pierwsze promienie jutrzeńki, usłyszał hałasy za drzwiami. Uniósł głowę z poduszki i nadśluchiwał. Były to delikatne dźwięki, jakby ktoś chodził boso po korytarzu. Wstał najciszej, jak mógł, i na palcach podszedł do drzwi.

Przyłożył do nich ucho i próbował sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz.

Po chwili klamka obróciła się powoli i ktoś delikatnie pchnął drzwi. Zdając sobie sprawę, że są zamknięte, naparł mocniej. Gene czuł ciężar ciała naciskającego na drewniane obicia. Zaskrzypiały zawiasy.

Znów nastąpiła cisza, po czym drzwi zostały uderzone z zewnątrz z taką siłą, że się zatrzęsły.

Ponownie cisza. Po chwili usłyszał ciężki oddech i odgłos węszenia.

W końcu jakiś głos powiedział:

- Gene?

Poczuł kropelki zimnego potu i przetarł czoło wierzchem rękawa. Była to Lorie bądź zwierzę, którym się stała. Uświadomił sobie, że szczęka zębami, i czuł się, jakby miał wysoką gorączkę.

Gene? - Tym razem głos zabrzmiał bardziej przymilnie.

Zaparł ramieniem drzwi i mocno zacisnął usta.

- Wiem, że tam jesteś, Gene. Proszę otwórz drzwi.

Brzmiało to zupełnie jak głos tej słodkiej, kochającej Lorie, którą poślubił. Nie mógł w to uwierzyć. Co, u diabła, wyczyniał trzymając ją zamkniętą poza ich sypialnią, skoro była, ni mniej, ni więcej, tylko jego piękną żoną?

- Gene? - wyszeptała. - Otwórz drzwi, Gene.

- Nie mogę - powiedział twardo.

- Och, proszę, Gene. Tutaj jest zimno. Ja marznę.

- Lorie, ja jestem... jestem przerażony. Chwila milczenia.

- Boisz się mnie, Gene? Dlaczego?

- Nie wiesz? Czy muszę to powiedzieć? Jak mam otworzyć te drzwi, skoro możesz na mnie skoczyć w taki sam sposób, jak to zrobiłaś tej nocy, gdy wspinałem się na pnącza?

- Gene, mówisz bez sensu. Zakaszłał.

- Daj spokój, Lorie. Mówię z sensem i ty o tym wiesz. Prawdę powiedziawszy, poleciłem wczoraj mojej sekretarce, żeby zdobyła informacje o historii Ubasti. Teraz już wiem, kim są Ubasti, Lorie, i wiem, dlaczego wyglądasz tak, jak wyglądasz, oraz dlaczego jesteś z tego dumna.

- Gene - powiedziała czule - otwórz drzwi. Porozmawiajmy.

- Już rozmawiamy.

- Ale tu na zewnątrz jest zimno, Gene. Jest przeciąg. Wpuść mnie. Nie zrobię ci krzywdy.

- Skąd mam wiedzieć? Otworzę drzwi, a ty możesz mnie zaatakować.

- Gene, czy widziałeś, co się ze mną działo? Czy widziałeś, co zrobiłam, chociaż nie mogłam nawet przemówić do ciebie? Gene, już nie jestem taka. Czy nie słyszysz, że jestem po prostu twoją żoną?

Gene przygryzł wargę i spojrzał na klucz w zamku. Gdyby go przekręcił i wpuścił ją do środka, poddałby się równie łatwo i bezsilnie jak gazela Smitha. Z drugiej strony, to ona mogła mieć rację. Teraz, gdy wydawało się, że faza bestii minęła, mogła być równie niewinna i czuła jak zwykle.

- Poczekaj chwilę - powiedział. Odsunął się od drzwi i sięgnął po małe drewniane krzesło stojące w kącie pokoju. Trzymał je uniesione w prawej ręce, a lewą przekręcił klucz.

- Otwarte - zawołał. - Możesz wejść. Lecz proszę, żadnych gwałtownych ruchów.

Nie odpowiedziała. Powoli nacisnęła kłamkę. Drzwi otworzyły się powoli na skrzypiących zawiasach.

Nie mógł jej dostrzec. Mimo iż był świt, nadal panowała ciemność i zauważył jedynie wysoki, mroczny kształt. Słyszał jej urywany oddech i widział błyski w oczach.

- Okay, Lorie. Wejdz.

Zrobiła kilka kroków w głąb pokoju. Cofnął się wojowniczo, dzierżąc krzesło jak treser amator. Gdy znalazła się na środku pokoju, obok łóża, stanęła. Nadal było tak ciemno, że ledwie dostrzegał jej kształt.

- Lorie - powiedział - zostań tam. Włączę tylko lampę przy łóżku.

Sięgając za siebie, obserwował nieruchomą postać i szukał wyłącznika. Znalazł go, ujął w dłoń i pstryknął.

Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że dziewczyna jest ubrana w szkarłatną koszulę. Lecz potem z bezgranicznym obrzydzeniem dostrzegł, że jest naga i cała umazana krwią. Miała opryskane włosy i twarz wysmarowaną wokół ust, jakby rozrywała surowe mięso. Na całym ciele błyszczał jasnoczerwony płyn, jak na fartuchu rzeźnika.

ROZDZIAŁ 6

Co ty zrobiłaś? - wyszeptał. Potem krzyknął: Lorie! Co ty zrobiłaś?

Ruszyła w kierunku umywalki, zostawiając na dywanie krwawe ślady i odkręciła maksymalnie oba kurki. Potem spryskała twarz i piersi wodą i starła z siebie najgorsze plamy ręcznikiem.

- Lorie - przerwał jej roztrzęsiony Gene - Lorie, powiesz mi, co się stało?

- Ocaliłam ci życie - powiedziała spokojnie, patrząc w bok.

- Co zrobiłaś? Lorie, na Boga... Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Ocaliłam ci życie, rozrywając na strzępy owcę. W przeciwnym wypadku mogło to spotkać ciebie.

Nie był w stanie uwierzyć. Znajdował się na pograniczu hysterii.

- Dziś w nocy wymknęłaś się na zewnątrz, naga, znalazłaś owcę, zabiłaś ją i zjadłaś na surowo?

Zmyła z siebie trochę krwi. Była spokojna.

- Czy to cię dziwi? Wiedziałeś, że jestem Ubasti. Wiedziałeś, że jesteśmy ludźmi-lwami, moja matka i ja. Cóż jest gorszego w fakcie, że zabijemy i zjemy owcę na polu, niż w tym, że ty zjesz tę samą owcę upieczoną i podaną na stół?

- Ale ty powiedziałaś, że równie dobrze mogłem to być ja! Przypuśćmy, że nie ocaliłabyś mi życia? Przypuśćmy, że lwi instynkt wzięłby górę?

Wytarła się i podeszła do szafy, żeby założyć nową koszulę nocną.

- Tak się nie stało i byłeś bezpieczny. To wszystko. Gene poczuł, jak zbiera mu się na wymioty. Usiadł na krześle, które dotąd trzymał, i sięgnął do kieszeni po papierosa. Został mu tylko jeden, pognieciony i zgięty. Wyprostował go przed zapaleniem.

Lorie, wiesz, że to już koniec - oznajmił. Zawiązała właśnie tasiemki długiej żółtej koszuli.

- Chcesz powiedzieć, że mnie opuszczasz?

- Nie widzę innego wyjścia. Już więcej tego nie zniosę. Nie mogę ci dłużej ufać. Jak mogę z tobą sypiać, wiedząc, że w nocy jesteś w stanie rozszarpać mi gardło? To niemożliwe.

Lorie rozczesała włosy, po czym wyłączyła lampkę nad lustrem przy umywalce. Przysiadła na brzegu łóżka i spojrzała smutno na Gene'a.

- Musisz mnie nienawidzić - powiedziała. - Chyba jestem dla ciebie odrażająca.

Lorie, nie myślę tak - zaprzeczył. - Lecz dłużej nie zniosę tej sytuacji. To mnie przeraża do granic wytrzymałości. Czy nie rozumiesz?

- Oczywiście. Wiem, co musisz czuć. Lecz czy nie widzisz, Gene, że tego rodzaju odżywianie jest dla mnie naturalne. Dla mnie jest to równie normalne i nieskomplikowane, jak oddychanie.

Przeczesał włosy dłonią.

- Lorie, nie zniosę tego! Nie ma absolutnie żadnego sposobu, bym to zniósł. A w ogóle, to jak często stajesz się taka? Każdej nocy? Raz w miesiącu? Jak często?

- Gdy się pobraliśmy, miałam nadzieję, że będziesz w stanie mi pomóc - powiedziała miękko.

- Pomóc ci? Co przez to rozumiesz?

- Myślałam, że stanę się po prostu niczym więcej, jak tylko twoją żoną. Twoją zwykłą, amerykańską żoną. Miałam nadzieję, że mnie zrozumiesz i zaczniesz uczyć. Ród Ubasti musi się gdzieś kończyć, Gene. Musi kiedyś wymrzeć. Chciałam być ostatnia.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ty i twoja matka to ostatni ludzie-lwy?

Skinęła głową.

- Mogą istnieć inni, lecz nigdy nie widziałyśmy ich ani nie słyszałyśmy o nich. Plemię zostało wyparte z Tell Besta przez armie faraonów na długo przed narodzeniem Chrystusa, długo przed Mojżeszem. Rozsiało się po całym świecie, lecz bardzo niewielu przeżyło. Wielu zostało zabitych bądź pojmanych, ponieważ byli bardziej lwi niż ludzie, a niektórzy po prostu nie potrafili przystosować się do innych społeczeństw. Sądzę, że nasza rodzina miała dużo szczęścia. Byliśmy bardziej ludzcy niż zwierzęcy i ukrywaliśmy się w Europie przez setki lat. Lwia krew ujawnia się jedynie u kobiet z mojego rodu, a zatem nazwisko ulegało często zmianie i trudno nas było wytropić. Czasami je wymyślaliśmy, tak jak panięskie nazwisko mojej matki: Masib. To anagram od „simba”, afrykańskiego wyrazu oznaczającego lwa.

- Twój ojciec... umarł, prawda? Rozszarpany na śmierć. Czy to naprawdę były niedźwiedzie? - Gene zadrżał. - Czy może matka?

- Matka jest bardzo tradycyjna - wyszeptała Lorie. - Ona nie jest taka jak ja. Wierzy we wszystkie stare rytuały.

- To znaczy, że ona zabiła twego ojca?

- Nie wiem na pewno. To coś, o czym nigdy nie mówi. Lecz w starych księgach Tell Besta jest napisane, że kobieta-lew musi zawsze zabić swego partnera, gdy spełni on powinność wobec niej.

- Powinność?

- To zależy, czego od niego oczekiwała. Myślę, że z chwilą, gdy ojciec przywiózł matkę do Ameryki i urządził ją w sposób, jakiego pragnęła, dając jej też córkę, stał się dla niej bezużyteczny.

Gene skończył papierosa i zgasił go w popielniczce przy łóżku. Wydmuchnął dym.

- I to miało również spotkać mnie! Gdybym już spełnił swoją powinność i ściągnął cię do Waszyngtonu, planowałaś rozerwać mnie na strzępy?

- Gene - powiedziała z naciskiem - nic nie rozumiesz.

- Może nie rozumiem, a może nie chcę zrozumieć. Może pragnę jedynie wyrwać się z tego piekielnego miejsca. Lorie, czy nie zdajesz sobie sprawy, o co mnie prosisz? Wróciłaś do domu naga i umazana krwią, a teraz oczekujesz, bym się uśmiechał i pytał: „Czy miałaś dobrą noc, kochanie?”

- Dziś w nocy powiedziałaś, że mnie kochasz.

- No cóż, ale rano nie jestem już tego taki pewien.

- Gene, sądziłam, że może...

- Sądziłaś, że może co? - wrzasnęła. - Sądziłaś, że przymknę na wszystko oczy i będę dawał się traktować jak kukła? Czy nie rozumiesz, ile mnie kosztował powrót tutaj po tym, czego dowiedziałem się o twoim ciele? Kochałem cię i miałem nadzieję, że dasz się namówić na operację. Lecz gdy tylko wróciłem, ty zamieniłaś się w dziką bestię!

- Gene, ja chcę się zmienić. Pragnę tego. Jesteś moją jedyną nadzieją.

- Wczoraj nie mówiłaś, że chcesz się zmienić. „Jestem Ubasti i jestem z tego dumna”, to właśnie powiedziałaś. „Wierność i posłuszeństwo nie dotyczą zmian w moich cechach dziedzicznych.” Lorie, ty nawet nie jesteś człowiekiem!

Sprężyła się. Na moment szeroko rozwarła oczy, lecz potem zaczęła się uspokajać, jakby zwalczała zwierzęcą stronę swej natury.

- Gene, ja cię kocham - powiedziała. Milczał.

- Jestem twoją żoną, Gene, jaka bym nie była. Wiem, że chcesz, bym się zmieniła, i zrobię to. Pójdę do chirurga plastycznego, Gene, naprawdę. Dam usunąć te piersi. I nigdy już w nocy nie wyjdę. Nauczę się Gene, jeśli mi pomożesz. Tylko mi pomóż, proszę. Nawet jeśli mnie nie kochasz, nawet jeśli myślisz, że jestem zbuntowanym zwierzęciem, proszę, pomóż mi zrzucić z siebie tę okropną rzecz.

Zakaszłał.

- Łatwo tak mówić z pełnym żołądkiem, prawda? A co będzie, kiedy znów staniesz się głodna?

Co będzie, gdy zapragniesz krwi?

- Gene, przyrzekam.

- Nie musisz. Odchodzę. Mój adwokat prześle ci papiery rozwodowe.

Uklękała na dywanie. Płakała.

- Wstań - powiedział niecierpliwie. - Płacz nie pomoże.

- Och, Gene, daj mi tylko szansę. Proszę, Gene, proszę.

- Powiedziałem: wstań!

W tym momencie w drzwiach sypialni pojawiła się wysoka i złowieszcza pani Semple. Miała dokładnie uczesane włosy, a nawet makijaż. Weszła do środka i objęła Lorie ramionami, równocześnie obrzucając Gene'a zimnym, nieufnym spojrzeniem.

- Zdenerwowałaś ją - powiedziała oskarżycielsko. - Czy nie wiesz, jak bardzo jest czuła?

Gene nieznacznie skinął głową.

- Wiem też, jaka jest dobra w wyskakiwaniu przez okno z drugiego piętra i rozszarpywaniu owiec.

- Ona jest Ubasti, głupcze! - syknęła pani Semple. - Żywym potomkiem jednego z najbardziej dumnych i rzadkich ludów. Czy nadal nic nie rozumiesz?

- Och, rozumiem aż nadto. Przeczytałem wszystko o Ubasti.

A zatem wiedziałbyś, że nie należy traktować Lorie jak zwykłej kury domowej. Och, Lorie, nie płacz ma chere. Spójrz na nią, Gene. Czy nie widzisz jej godności i dumy?

- Jakiej dumy? - spytał Gene. - Lwiej dumy?

- Och, Lorie - zatroskała się matka - uspokój się, kochanie, nie płacz.

Gene podszedł do szafki i zaczął zbierać swoje przybory toaletowe. W lustrze widział panią Stemple śledzącą jego ruchy. Chciał pokazać, że się nie boi, że nie jest bezradną gazelą, chociaż serce biło mu jak młotem i trzęsły się ręce.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała pani Semple. - Czy zamierzasz zostawić tę biedną dziewczynę, samotną i porzuconą?

Gene nie odwrócił się.

- Czy pozwolisz tej istocie walczyć na własną rękę o przetrwanie w świecie, który jej nienawidzi? Czy to właśnie chcesz zrobić?

- Zobaczę się jutro z adwokatem - odparł Gene. - Sądzę, że coś wymyślimy.

- Zdecydowałeś, że już jej nie kochasz, ponieważ ona zachowuje się dziwnie i miewa apetyt na surowe mięso? Ot tak sobie?

- Tego nie mówiłem - zaprzeczył Gene twardo. - Powiedziałem tylko, że dłużej nie zniosę takiego zachowania. Już raz zostałem paskudnie ugryziony

i okaleczony. Dziś jest jedynie sprawą przypadku, że niezjedzony żywcem. Mogę pogodzić się z pewnymi jej niedostatkami fizycznymi i całą tą sprawą dziedzictwa Lorie, lecz nie przejdę do porządku dziennego nad niebezpieczeństwem, jakie ono niesie. Pani Semple, jeśli chce pani znać całą prawdę, to robię w spodnie ze strachu.

Podszedł do szafy, wziął swoją walizkę i spakował do niej przyniesione do posiadłości Semple'ów koszule, skarpety oraz krawaty. Lorie nadal klęczała na dywanie, zasłaniając dłońmi oczy, a matka stała za nią, delikatnie głaszcząc jej włosy.

- No cóż - powiedział Gene - to by było na tyle.

- Jesteś pewien? - spytała pani Semple. - Nawet jeśli udzielę ci pewnych gwarancji?

- Gwarancji? Jakich gwarancji?

- Przypuśćmy, że zagwarantuję ci bezpieczeństwo i spokój umysłu.

- W jaki sposób?

- W nocy moglibyśmy zamykać Lorie w pokoju obok, tym samym, w którym kiedyś przebywałeś.

Mógłbyś mieć klucz. Poza tym Mathieu mógłby pożyczyć ci swoją strzelbę. Trzymałbyś ją przy łóżku i w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa mógłbyś jej użyć.

- I tak właśnie ma wyglądać miłość? Zamknięte drzwi i naładowana broń?

Pani Semple wstała i wzięła go za rękę.

- Gene, to nie potrwa długo. Gdy już będzie wiedziała, że z nią zostajesz i że chcesz jej pomóc, powoli jej stan się polepszy. Gene, przecież ją kochasz. Pomóż jej wyzdrowieć. Spróbuj sprawić, by mogła żyć jak normalna istota ludzka. Czy nie widzisz, jak jej źle bez twojej miłości? Nigdy nie pokocha nikogo tak, jak ciebie. Czy chcesz, by pozostała taka do końca życia?

- Przypuśćmy, że wedrze się tu w nocy i zaatakuje mnie? Przypuśćmy, że będę musiał do niej strzelić? Co wtedy?

- To się nie zdarzy. Broń ma służyć wyłącznie twojemu spokojowi.

- Skąd ta pewność? A co z pani własnym mężem? Czyż jemu nie przydarzyło się to samo?

- On zmarł w Kanadzie, Gene. Rozerwał go niedźwiedź.

- Chce pani powiedzieć, że to wyglądało, jakby rozszarpał go niedźwiedź.

Pani Semple cofnęła dłoń i wróciła do Lorie, która teraz siedziała na brzegu łóżka, obejmując się ramionami, jakby było jej zimno.

- Wiem, jakie masz podejrzenia, Gene. Wiem też, że jesteś w szoku. Mogę cię jedynie prosić o przebaczenie.

Gene oblizwał wargi. Czuł się niepewnie. Opuszczenie Lorie było z pewnością najłatwiejszym i najbezpieczniejszym wyjściem, lecz jakim okazałby się mężczyzną, gdyby tak postąpił? Jakim mężem? Wiedział, że ona może być niebezpieczna, lecz nie zrobiła nigdy nic bardziej groźnego niż zwykła wariatka. Być może z pomocą Petera Gravesa, tego psychiatry, mógł uczynić z Lorie pełnego człowieka. W końcu nawet prawdziwe lwy i tygrysy dawały się wytresować. Dlaczego istota na wpół ludzka nie mogłaby osiągnąć tego samego?

- Proszę, Gene, nie opuszczaj mnie - poprosiła Lorie płacząco, przekonując go w końcu.

- Okay - westchnął ciężko. - Spróbujemy jeszcze raz. Ale tym razem po mojemu. Załatwimy operację plastyczną. Pójdziemy do wykwalifikowanego psychiatry. I będziemy zamykać drzwi od sypialni na cztery spusty, dopóki się nie upewnię, że chcę cię wypuścić.

Podszedł do łóżka i wziął Lorie w ramiona. Obok stała pani Semple, z zadowolonym, kocim uśmiechem.

Peter Graves wyszedł z pokoju przyjąć i zamknął za sobą drzwi. Wyglądał na głęboko zadumanego. Gene, który siedział czytając pomięte egzemplarze „Time”, uniósł głowę.

- No i...? Co o tym sądzisz?

Peter usiadł i oparł brodę na dłoniach.

- Masz rację, ona jest naprawdę dziwna - stwierdził. - Prawdę mówiąc, jest najdziwniejszym przypadkiem, z jakim miałem do czynienia.

Gene odłożył magazyn.

- Słuchaj, Peter. Tyle to już wiem. Dlatego właśnie tu jesteśmy. Chciałbym raczej dowiedzieć się, co jest nie tak i jak możesz temu zaradzić.

Peter rozparł się wygodnie.

- No cóż - powiedział powoli - nie jest to żadna z tych psychoz, które leczy się metodą

wstrząsową. Mówiąc szczerze, nie mam nawet pewności, czy to psychoza.

- Jeśli ona nie ma psychozy, to co z nią jest?

- Nie jestem pewien. Widzisz, w żargonie naukowym psychoza jest zaburzeniem osobowości, w którym relacja podmiotu do rzeczywistości zostaje poważnie zachwiana, ale twoja żona wydaje się mieć bardzo spójne spojrzenie na rzeczywistość, mimo iż realia, o których mówi, są nieco... niezwykle.

- Chcesz powiedzieć, że nic jej nie jest?

- Tego bym nie powiedział. Możesz zwrócić się do kogoś innego. Ona jest lekko neurotyczna, jeśli chodzi o jej stosunek do ciebie, i czuje się winna, ponieważ naopowiadała ci kłamstw, lecz poza tym wydaje się równie normalna, jak ktokolwiek inny.

- A co z tą niezwykle rzeczywistością? Peter wzruszył ramionami.

- Jest niezwykle, ponieważ niepodobna do naszej. Lorie sądzi, że posiadanie większej ilości piersi jest rzeczą normalną. Tak samo jeśli chodzi o rozszarpywanie zwierząt i jedzenie ich na surowo. Lecz nie ma żadnego dowodu, by takie nastawienie wynikało z choroby psychicznej. Jakikolwiek nie byłoby jej oblicze fizjologiczne, komórki mózgowe uważają właśnie taki układ za normalny. Zapis EEG był niezakłócony i regularny i jedynie mówiąc o sprawach dotyczących was obojga, wykazywała niepokój. Bardzo chciałaby spełnić twe wymagania.

- Czy naprawdę sądzisz, że ona jest kobietą - lwem?

Peter skrzywił się.

- Kto wie? Ona z pewnością ma wiele charakterystyk seksualnych przypominających lwicę. Podobnie z jej innymi zachowaniami, ale nic poza tym.

- Widziałem skok z okna na drugim piętrze, głową do przodu, jak kot, i nic się jej nie stało.

Peter zmarszczył brwi.

- Czy jesteś pewien, że sam nie chciałbyś poddać się badaniom?

- Peter, przysięgam.

- No cóż. Po prostu nie wiem. Nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Przejrzałem parę przypadków dotyczących ludzi o dziwnych ciałach, którzy wymagali psychoanalizy, lecz w większości z nich pacjenci martwili się swym wyglądem i poza zewnętrznym obrazem, byli to ludzie normalni. Zaskakuje mnie to, że twoja żona jest tak zadowolona z siebie. W jej osobowości nie ma żadnych braków.

- Więc co mogę zrobić? Co się stanie, gdy ona zacznie być niebezpieczna?

Peter uśmiechnął się.

- Sądzę, że jedynym sensownym rozwiązaniem

jest dalsze darzenie jej miłością i próby przekazania twych oczekiwań odnośnie codziennych zachowań. Jeśli zacznie zachowywać się agresywnie, powiedz jej, że tego nie pochwalasz. Stopniowo granie roli kobiety-lwa przestanie być dla niej atrakcyjne.

- A co z tą jej nieuchronną przyszłością? Czy mówiła ci o tym?

- Nie, nie mówiła. Lecz nadal sądzi, że tak właśnie będzie.

Gene podrapał się po karku.

- Domyślasz się chociaż, o co tu chodzi? Albo kiedy to nastąpi?

- Absolutnie nie. Przykro mi. Powiedziała tylko, że „tego domaga się Bast”, kimkolwiek ten Bast jest. Wiesz, co to znaczy?

Gene wstał, czując zmęczenie i niechęć.

- Tak - powiedział cicho. - Wiem.

Przez następne trzy tygodnie prowadzili w rezydencji Semple'ów tak dziwną i rytualną

egzystencję, że stopniowo odrywali się od wszelkiej rzeczywistości. Zgodzili się co do tego, że Merriam jest bardziej odpowiednim miejscem niż waszyngtoński apartament Gene'a, i póki co, powinni pozostać w nocy z dala od miasta. Gene każdego ranka dojeżdżał do pracy na Pennsylvania Avenue, lecz Maggie, a nawet Walter Farlowe, zauważyli, że jest coraz bardziej nieswój i pod oczami ma sine podkówki, jakby w nocy wcale nie spał.

Taka też była prawda. Każdej nocy Gene zamykał swą świeżo poślubioną małżonkę w małej sypialni, a potem ryglował własne drzwi i rozciągał się na łożu przykrytym skórą zebry. Klucz do pokoiku Lorie zawiesił na łańcuszku na szyi, a nie opodał łóżka, w zasięgu ręki spoczywała olbrzymia strzelba wręczona mu bez słowa przez Mathieu.

Lorie nadal chodziła do pracy i w dzień często spotykali się na lunchu bądź kawie. Wydawała się coraz bardziej opanowana, chociaż czasami była bez wyraźnego powodu obca i daleka, jakby skupiona na czymś niesłychanie odległym. Gene musiał często wielokrotnie ponawiać swe pytania, zanim udzieliła na nie odpowiedzi.

Wieczorem, jeśli nie szli na party w Waszyngtonie lub jeśli Gene nie pracował do bardzo późna, rytuał był zawsze ten sam. Jedli kolację przy świecach, słuchając wspomnień pani Semple z Egiptu i Sudanu, słuchali muzyki bądź oglądali telewizję, a w końcu szli do łóżek. Gene całował Lorie w drzwiach sypialni na dobranoc, potem zamykał je i przekręcał klucz. Sprawdzał także, czy są dobrze zamknięte. Zawsze wołał przez drzwi: Dobranoc, Lorie. Śpij dobrze. I zawsze nasłuchiwał odpowiedzi, chociaż ta nigdy nie nadchodziła.

Później kładł się do łóżka i gapił bezsenne na baldachim nad sobą, zastanawiając się, czy dosłyszy jej oddech lub drapanie do drzwi. Nad ranem, koło siódmej, wstawał po wielogodzinnym przewracaniu się w pościeli i szedł wypuścić Lorie z nocnego aresztu. Zawsze uśmiechała się, zawsze była piękna, delikatna i w miarę upływu dni, gdy okropne nocne godziny w jej towarzystwie odchodziły w niepamięć, zamykanie jej stawało się dla niego coraz trudniejsze. Tylko jakiś nerwowy instynkt głęboko wewnątrz duszy nakazywał mu utrzymywać nocny zwyczaj. To i wizerunek gazeli Smitha.

Lorie nigdy nie wspomniała o swym uwięzieniu i wydawało się, że akceptuje to spokojnie i racjonalnie, tak samo jak swoje lwie ciało. Lecz właśnie ten spokój sprawiał, że Gene miał trudności w porozumieniu się z nią. Zaczął już myśleć, że pozostanie taka już na zawsze - zadowolona z życia kogoś, kto nie jest w pełni ani zwierzęciem, ani człowiekiem.

Miała zarezerwowane miejsce w prywatnej klinice chirurga plastycznego doktora Beidermeyera i także to przyjmowała spokojnie. Gdy tylko Gene próbował o tym porozmawiać i pocieszyć ją, że wszystko będzie dobrze, uśmiechała się jedynie i mówiła: „Wiem”, jakby była świadoma, że coś wisi w powietrzu i wszystko zmieni. Pani Semple również wydawała się dzielić nieznaną sekret Lorie i pod koniec trzeciego tygodnia Gene wyraźnie odczuwał, że jest jedyną osobą na tonącym statku nieświadomą przecieku.

Pewnej czwartkowej nocy, gdy szedł jak zwykle zamknąć Lorie, powiedział:

- Wkrótce zapomnisz nawet znaczenia słowa Ubasti. Czuję to.
- Myślisz, że zapomnę?
- Zapomnisz, jeśli chcesz. Ale czy naprawdę chcesz?

Spojrzała na niego z nieco zawiedzionym wyrazem twarzy. Korytarz za nią tonął w kolorowym świetle witraża.

- Czasami mam obawy. Otworzył przed nią drzwi do sypialni.

- Jeśli chcesz zostać taka, jaka jesteś, nie zamierzam cię do niczego zmuszać, Lorie. Lecz nie mógłbym wówczas pozostać twoim mężem.

Uśmiechnęła się.

- Może to właśnie ty powinieneś zrobić teraz kolejny krok - zaproponowała. - Może to pomogłoby mi zmienić zdanie.

- Jaki następny krok?

- Może powinieneś zaprosić mnie do swej sypialni. W końcu mężowie robią tak z żonami, prawda?

Nie odpowiedział.

- Gene - dotknęła jego ramienia - do niczego nie dojdziemy, jeśli będziemy tak trwać. Nie mam nic przeciwko temu, abyś mnie zamykał. Wiem, jak się czujesz. Lecz nasze małżeństwo nie jest jeszcze nawet małżeństwem, przynajmniej niezupełnie, i nigdy nie będzie, jeśli nie spróbujemy.

Odwrócił się zmieszany.

- Kochałeś mnie wystarczająco mocno, by ze mną zostać, więc spróbuj, by coś z tego wynikło - powiedziała. - Czy nie mógłbyś mi pokazać, że mnie kochasz swoim ciałem?

Znów spojrzał na nią i próbował odczytać jej myśli z wyrazu oczu. Były równie zielone i nieprzeniknione, jak zwykle.

- Jeśli wpuszczę cię do środka - powiedział szorstko. - Nie mam żadnej gwarancji, że ty nie...

- Nie - odparła. - Nie masz.

Spojrzał na trzymany w dłoni klucz. Czy rzeczywiście oznaczał on różnicę między przetrwaniem a śmiercią, czy też przechodzili przez ten absurdalny obrządek, by zaspokoić jego przesadne obawy? W końcu Lorie nie próbowała go przedtem zabić. Wskoczyła jedynie na zewnątrz i zadowolona się owcą. Poza tym, jak sama zauważyła, istniała doprawdy niewielka różnica między zjedzeniem tej samej owcy upieczonej, a surowej. Stał, wciąż się wahając, gdy na schodach pojawił się bez słowa Mathieu o kamiennej twarzy. Ujrzał ich w korytarzu i przystanął.

- Dobry wieczór, Mathieu - przywitała go Lorie, dając zarazem do zrozumienia, że równocześnie go żegna. Lecz Mathieu pozostał na miejscu, oparty o balustradę i nie wyglądało na to, by chciał odejść.

- No cóż, Gene - stwierdziła Lorie, uśmiechając się niepewnie - może innej nocy.

Gene spojrzał na nią pytająco, potem na Mathieu. Jakkolwiek porozumieli się bez słów, Lorie wyraźnie straciła ochotę na odwiedziny w jego sypialni.

Pocałowała go na dobranoc, po czym zniknęła za drzwiami. Mathieu patrzył, jak Gene wkłada klucz do zamka i przekręca go. Potem, wyraźnie zadowolony, zaczął schodzić na dół.

- Mathieu - zawołał Gene.

Niemowa zatrzymał się odwrócony do niego szerokimi plecami.

- Mathieu, co tutaj się dzieje? Czy to coś, o czym nie wiem?

Mathieu pozostał nieruchomy. Gene nie był pewien, czy zastanawia się nad odpowiedzią, czy czeka na inne pytania.

Podszedł i spojrzał szoferowi w twarz, badając jego podejrzliwe oczy.

- Raz mnie już ostrzegłeś, prawda? - zapytał. - Gdy wspomniałeś o gazeli Smitha, to było ostrzeżenie.

Ale to nie wszystko, prawda? Jest coś jeszcze. Jest jeszcze coś, co dotyczy Bast.

- Bast? - zaskrzeczał niemowa, z trudem dobywając głos z krtani. Potem pokręcił głową. Lecz równocześnie złapał Gene'a za rękę i powiedział upiornym szeptem:

- Synowie Bast... synowie...

- Synowie Bast? Co masz na myśli?

Mathieu próbował wydusić z siebie jeszcze jakieś słowa, lecz nie był już w stanie. Zamiast tego

uczynił groteskowy grymas, rozszerzając usta palcami i obnażając zęby. Gene zapytał:

- Czy to są synowie Bast? Czy tak wyglądają? Mathieu skinął głową. Chciał wyjaśniać dalej, gdy usłyszeli stukot obcasów na drewnianych schodach. Była to pani Semple. Mathieu zamachał rękoma, jakby zacierał obraz poprzedniej pantomimy w powietrzu i szybko odszedł w ciemność.

Gene nadal stał nieruchomo, gdy się zbliżyła.

- Witaj, Gene - powiedziała niskim głosem. - Czy Lorie jest już w łóżku?

Skinął głową.

- Zamknięta na cztery spusty.

Podeszła bliżej i położyła życzliwie rękę na jego ramieniu. Poczł mocny zapach jej perfum, jak również ostre paznokcie wyczuwalne przez koszulę. Jej oczy świeciły jak okrągłe diamenty w kolczykach.

- Nie wolno ci się martwić - odezwała się. - Wkrótce wszystko będzie wspaniale. Będziesz zdziwiony, jak bardzo kobieta Ubasti szanuje swojego małżonka.

Przeczesał włosy dłonią.

- Mam nadzieję, pani Semple. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy długo to jeszcze wytrzymam.

- Kochasz ją, prawda? I wiesz, że ona cię kocha? Oczywiście.

- A zatem niech to będzie twą gwiazdą przewodnią, Gene. Niech to inspiruje cię w mrocznych chwilach, gdy poddajesz się wątpliwościom.

Spojrzał na nią przenikliwie. Nie wiedział, czy mówi szczerze. Lecz twarz miała spokojną i poważną, więc zdecydował, że może jej uwierzyć.

- W porządku, pani Semple - powiedział łagodnie. - Spróbuję.

Następnego ranka „The Washington Post” podał krótką wiadomość na dole pierwszej strony. Miała ona tytuł: „Martwy chłopiec zaatakowany przez tygrysy?” Gene wziął gazetę ze swojego biurka i przeczytał szybko. „Policja podejrzewa, iż dziewięcioletni Andrew Kahn, którego zmasakrowane zwłoki zostały wczoraj odnalezione przez pracowników kanalizacji, został zaatakowany i zabity przez dużego drapieżnika, być może tygrysa. Ta teoria, co do której sami policjanci przyznają, iż jest trudna do zaakceptowania, pojawiła się po dokładnej autopsji ciała małego Andrew. Mimo iż nie podano szczegółów, można się domyślić, że po odnalezieniu był on prawie niemożliwy do rozpoznania i brakowało wielu części jego ciała, jakby zostały zjedzone bądź rozszarpane przez dzikie zwierzę. Nie ma raportów o żadnych zwierzętach wielkości tygrysa, które zbiegłyby z prywatnych menażerii.”

Gene odłożył gazetę. Później z pobladłą twarzą wyszedł do toalety i zwymiotował śniadanie.

Kolacja przebiegała tego wieczora w napiętej atmosferze. Mathieu przyniósł wazy z rosołem i cała trójka siedziała w migotliwym blasku świec, rzucając niespokojne, czujne spojrzenia. Lorie znów miała na sobie krótką sukienkę, lecz jej matka ubrała się w zapinaną pod szyję suknię z przypiętą za kołnierzyk kamelią.

Popijając zupę, pani Semple zauważyła:

- Wszyscy jesteśmy jacyś cisi dziś wieczór. Lorie próbowała się uśmiechnąć.

- To Gene. Od czasu powrotu do domu nie odzywa się. Nieprawdaż, Gene?

- Co?

- Mam cię - stwierdziła Lorie. - Nawet nie słuchałeś!

- Przepraszam - usprawiedliwił się. - Byłem myślami gdzie indziej.

- W jakimś interesującym miejscu? - spytała pani Semple, wznosząc pięknie ukształtowane brwi.

Gene odłożył łyżkę.

- To zależy, co uważa się za interesujące. Jeśli mam być szczerzy, to dla mnie dość frapujące są porzucone kanały w okolicach Merriam.

Lorie spojrzała na matkę. Pani Semple powiedziała:

- Porzucone kanały? O czym ty mówisz?

- Sądzę, iż powie pani, że jestem historykiem. To niezbyt trudne, gdy jest się zmęczonym i w ciągłym napięciu. Lecz jest tu zbyt wiele zbiegów okoliczności. Wszystko pasuje jak ulał.

- Gene, mój drogi. Naprawdę myślę, że się przepracowujesz - stwierdziła pani Semple.

- Naprawdę? - spytał retorycznie Gene. - A może to pani i moja młoda żona? Może wy się przepracowujecie?

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz - wtrąciła się żywo Lorie. - Byłeś w okropnym nastroju przez cały wieczór, a teraz mówisz śmiesznymi zagadkami. Dlaczego nie powiesz wprost?

- Nie widziałas porannej gazety? - spytał Gene.

- A powinnam?

- Nie oglądałaś także telewizji?

- No cóż, rzeczywiście, nie oglądałam.

Gene odsunął swój talerz i wstał. Obszedł stół, aż znalazł się za panią Semple, tak że aby na niego spojrzeć, musiała się obrócić niewygodnie na krześle.

- W porannej gazecie jest raport o znalezieniu w kanale, w okolicach Merriam, ciała dziewięcioletniego chłopca. Policja twierdzi, że wygląda ono jak rozszarpane przez dzikie zwierzęta. Być może tygrysy. Jakies zwierzę tego rozmiaru.

Lorie zmarszczyła brwi.

- Gene - powiedziała - nie sugerujesz chyba, że...

- A co innego miałbym sugerować? Czy mógłbym dojść do innego wniosku?

- Chcesz mi wmówić, że Lorie zabiła dziecko? Czy o to chodzi? - spytała pani Semple.

- Ja tylko pytam. Fakty są w gazecie, a ja zadaję pytanie.

A przypuścimy, że zaprzeczy? - Wówczas będę musiał jej uwierzyć, choć nie przyjdzie mi to łatwo.

- Więc ty naprawdę myślisz, że ona mogłaby to zrobić? - spytała pani Semple.

- Nie wiem. Może sama powinna mi to powiedzieć. Pani Semple również wstała.

- A jeśli potwierdzi, co wówczas proponujesz zrobić?

- Sądzę, że jest to jeden z tych mostów, przez które będziemy musieli przejść.

- Gene - powiedziała pani Semple wibrującym, niskim głosem - musisz pamiętać, że Lorie jest twoją żoną. Jesteś jej winien miłość i zaufanie. Nie możesz traktować jej jak kryminalistki. Wszyscy zgodziliśmy się na twoje małe fanaberie i pozwoliliśmy ci zamykać ją na noc w pokoju, lecz jeśli zamierzasz rzucać historyczne oskarżenia za każdym razem, gdy w gazecie pojawi się jakaś wzmianka dotycząca lwów, tygrysów czy też innych dzikich zwierząt, będę mogła ci tylko poradzić, byś jeszcze raz przemyślał swe małżeństwo i, być może, położył mu kres.

- Pani Semple, wie pani, że nie chcę tego robić - zaoponował Gene. - Przynajmniej dopóki Lorie jakoś z tego nie wyjdzie. Może po operacji plastycznej...

Pani Semple fuknęła z dezaprobatą:

- Typowy Amerykanin! Dla ciebie liczą się tylko pozory! Jeśli Lorie będzie wyglądać jak wymarzona przez ciebie małżonka, wszystko będzie wspaniale. Ale jeśli nadal ma ciało Ubasti, prześladowasz ją, tak jak prześladowano każdego Ubasti od tysięcy lat. A teraz jeszcze wyskakujesz z tą historyjką o chłopcu, którego zabiły tygrysy. Czy to ma jakiś sens?

- Gene, musisz nauczyć się mi ufać - odezwała się Lorie. - Proszę...

Gene spojrział na panią Semple, a potem na nią. Spuścił wzrok i łamiącym się głosem wyszeptał:

- Sam już nie wiem, w co wierzyć, Lorie, i nie wiem, komu ufać. Myślę, że najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić, to odejść stąd. Wówczas nie będę was męczył swymi podejrzeniami, a wy nie będziecie narażone na moje nerwicowe zachowanie. Możecie żyć tak, jak chcecie, czy będzie to życie lwa, czy człowieka. Próbowałem pomóc Lorie i stwierdzam, że nie jestem w stanie. To przekracza moje możliwości.

Lorie odłożyła serwetkę, odgarnęła włosy i obesła stół. Wyciągnęła rękę do Gene'a, a jej twarz była tak pełna miłości i sympatii, że wstydził się na nią spojrzeć.

- Gene - powiedziała miękko - czy nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cię kocham? Jak bardzo cię potrzebuję?

Nie odpowiedział.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że w momencie gdy po raz pierwszy ujrzałam cię na party Henry'ego Nessa, wiedziałam już, że jesteś idealny i jesteś tym, którego zawsze szukałam?

- Lorie - powiedział z trudem - to się staje dla mnie nie do wytrzymania. Wiem, że mnie kochasz i potrzebujesz. Lecz nie jestem pewien, czy dłużej zniosę ten ciężar. Na pewno nie, jeśli moja wiara w ciebie będzie ciągle poddawana próbom.

- Wolisz uwierzyć, że Lorie zabiła tego chłopca? - spytała pani Semple.

Gene podszedł do stołu i nalał sobie kieliszek wina.

- Nie, nie wolę - odparł szorstkim głosem. - To ostatnia rzecz na świecie, w jaką bym uwierzył.

- A więc nie wierz - powiedziała pani Semple. - To bardzo proste.

Gene wypił prawie cały kieliszek wina trzema łykami i otarł usta wierzchem dłoni.

- Lorie - poprosił - chciałbym usłyszeć to od ciebie.

- Co chciałbyś usłyszeć, Gene?

- Że go nie zabiłaś. Że wyszłaś tej nocy i zabiłaś owcę, nic więcej, tylko głupią owcę.

Lorie wyciągnęła dłoń i zaczęła głaskać jego włosy, patrząc nieobecnym wzrokiem gdzieś w dal. Mimo iż Gene czuł się krańcowo wyczerpany, nie mógł zaprzeczyć, że dziewczyna była nadal pełna ciepła, zmysłowości i ekstrawaganckiego piękna. Wciąż miała w sobie coś, co go poruszało. Może przyciągało go przerażenie, które w nim budziła. Może był sparaliżowany jak śnieżnobiały królik pod hipnotycznym spojrzeniem rysia. A może jednak kochał ją i chciałby ich małżeństwo udało się pomimo niebezpieczeństw i ryzyka, jakie z sobą niosło.

- Rzeczywiście sądzisz, że ta gazetowa historia może być prawdziwa? - spytała wprost Lorie.

Ujął ją za nadgarstek.

- Dlaczego nie powiesz mi, że to bzdura, zamiast zadawać pytania? Dlaczego nie wyłożysz kawy na ławę?

- Ponieważ musisz mi ufać - stwierdziła Lorie. - Musisz ufać w moją miłość do ciebie, bo inaczej to nie ma sensu. Nawet gdybym kogoś zabiła, czy przestałbyś wierzyć w moją miłość?

- No cóż, nie wiem. Chyba nie.

- Więc jakie znaczenie ma fakt, czy zabiłam tego chłopca, czy nie?

Gene nalał sobie kolejny kieliszek wina.

- Lorie, nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę zaprzeczyć, iż nadal czuję... nie wiem, możesz nazwać to, jak chcesz. Podejrzenia, niedowierzanie, strach. Tchórzostwo. Po prostu nie wiem, co o tym myśleć.

- Gene - włączyła się pani Semple - ty i Lorie jesteście teraz na rozdrożu. Możesz pójść dalej i odkrywać swą miłość oraz przezwyciężyć obawy. Możesz też nadal podejrzewać Lorie, być nieufny i

nie dojść nigdzie. Musisz jej uwierzyć, Gene, a jak możesz jej uwierzyć, skoro każda gazetowa wzmianka o dzikich zwierzętach ma zatruwać wasze stosunki. Jak ma się udać wasze małżeństwo, skoro każdej nocy są między wami zamknięte drzwi, choć nie są już potrzebne?

- Pani Semple, przykro mi, iż muszę to przypomnieć, lecz zamykanie drzwi to pani pomysł.

- Oczywiście, że tak. Lecz nie miałam na myśli więzienia Lorie. Wierzę jej. Drzwi były zamknięte, byś ty czuł się pewniej, został i lepiej poznał Lorie.

Nastąpiła długa, trudna cisza. Potem Gene odezwał się pierwszy:

- Pani Semple, mówi pani, że Lorie nie musi być zamknięta? Że jeśli ją poproszę, nie będzie już wychodzić w nocy?

Pani Semple skinęła głową.

- To wszystko kwestia zaufania.

- Lecz przedtem, tej nocy, gdy wyszła, powiedziała, że musiała zabić owcę, by ocalić moje życie, żeby nie mieć pokusy rozerwania mnie na strzępy.

- Gene, tak samo jak ty adaptujesz się do Lorie, ona adaptuje się do ciebie. A poza tym, wiele rzeczy uległo zmianie.

- Co według pani uległo zmianie?

Pani Semple obrzuciła go zielonookim spojrzeniem.

- Zostań jeszcze tydzień. Daj Lorie tylko siedem dni. Wówczas odkryjesz, jak bardzo wszystko się zmieniło.

Gene zwrócił się do Lorie:

- Czy próbujesz przekonać mnie, że straciłaś apetyt na surowe mięso? Nie potrzebujesz już świeżej krwi? Czy o to chodzi? Czy naprawdę aż tak się zaadaptowałaś? ,

- Zaufaj mi, Gene - powiedziała Lorie. - Błagam cię.

Gene spróbował się uśmiechnąć. Czuł się rozbity i odrealniony jak strzaskane lustro.

- Jak to? - powiedział z trudem. - Przychodzę do domu z mnóstwem okropnych podejrzeń, a kończymy sielankową zgodą.

- Ubasti są przyzwyczajeni do okropnych oskarżeń, Gene - stwierdziła pani Semple. - Należą oni również do najwierniejszych i najbardziej oddanych kochanków, jakich kiedykolwiek znał świat. Być może miłość czerpie siłę z prześladowań.

Gene utkwiał wzrok w blacie stołu. Wiedział, że nie musi zostać. Lecz jeśli odejdzie, co ma ze sobą zrobić? Włożył mnóstwo wysiłku i nerwów w ukształtowanie ich wzajemnych stosunków, pozostawienie tego wszystkiego nie było budującą perspektywą. Jeśli udałoby się im być razem, jaką wspaniałą i rzadką mogliby stanowić parę! Wyobrażał ją sobie, jak wchodzi na przyjęcia waszyngtońskiej socjety wsparta na jego ramieniu, w spódniczce mini i z diamentowymi kolczykami w uszach. Oto Gene Keiller, wybijający się młody polityk, a to jego wspaniała i tajemnicza kobieta-lew, którą zdołał ujarzmić.

Z wypolerowanego jak lustro blatu stołu wpatrywała się w niego własna twarz. Wziął głęboki wdech.

- W porządku, pani Semple - powiedział. - Zostaję, przynajmniej na tydzień.

Lorie uśmiechnęła się z widoczną ulgą.

- Dziękuję, Gene. Nie zawiodę cię. Wziął ją za rękę i delikatnie uścisnął.

- Myślę, że masz rację, jeśli chodzi o zaufanie. Czas się nauczyć wiary w ciebie.

- Nie musisz się śpieszyć - powiedziała pani Semple. - Zamykaj drzwi Lorie tak długo, jak zechcesz. W noc, gdy je otworzysz, będziemy wiedziały, że nam wierzysz i że naprawdę chcesz być członkiem tej rodziny.

Gene zapalił papierosa i nie zauważył szybkiego porozumiewawczego spojrzenia między matką a córką. Nie dojrzał także Mathieu stojącego cicho w drzwiach i obserwującego ich z kamienną twarzą.

Tej nocy był wyczerpany i wcześniej poszedł do łóżka. Na korytarzu, przed zamknięciem drzwi, dał Lorie całusa na dobranoc i stał przez kilka minut, trzymając ją za rękę, próbując znaleźć słowa, które mogłyby wyrazić jego miłość oraz pożądanie, lecz gdzieś w głębi umysłu nadal czaił się strach, że jeśli osłabi swą czujność, coś ułoży się nie tak i dziewczyna zaatakuje go.

- Pewnie sądzisz, że jestem najbardziej podejrzliwym skurczybykiem na ziemi - powiedział wreszcie.

Pokręciła głową.

- Wcale tak nie myślę.

- Cóż, na twoim miejscu byłbym mniej wyrozumiały. Nie wiem, jak mogłaś to wszystko znosić tak długo.

- Powiedziałam ci, Gene. Potrzebuję cię.

Oparł się o dębową boazerię korytarza i przetarł oczy.

- Okazałem się wspaniałym mężem - powiedział kpiąco.

Objęła go ramieniem i pocałowała. Potem przyciągnęła blisko do siebie, wpatrując się w jego oczy.

- Byłeś wspaniały, Gene. Większość mężczyzn dałaby za wygraną.

- Aleja nadal ci nie... ufam, prawda?

- Zaufasz.

Pocałował ją. Nadal miała zamknięte usta, lecz jej miękkie i wilgotne wargi podniecały go.

- A ta zmiana, o której mówiła twoja matka. Czy wiesz, co miała na myśli?

Lorie skinęła głową.

- I nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Jeszcze nie. Jeszcze nie czas.

- Wkrótce? Znow skinęła głową.

- Niedługo, kochanie. Prędzej niż przypuszczasz.

Szybko zapadł w sen i śnił o lwach, tygrysach i ich okrutnych szczękach. Desperacko próbował uciec przed wielkimi bestiami skaczącymi nań i rozszarpującymi jego ciało. Polem dostał kaszlu spowodowanego zapachem sierści. Obudził się roztrzęsiony i zlany potem, a była dopiero druga w nocy.

Usiadł na łóżku. W sypialni było bardzo ciemno. Okno było otwarte i trzaskało z powiewami deszczowego wiatru. Wszedł z pościeli i na bosaka podszedł do umywalki, by nalać szklankę wody.

Wydawało mu się, że gdzieś na zewnątrz trzaskają drzwi lub okno. Gdy wypił wodę i wytarł usta ręcznikiem, ruszył do okna i wychylił przez nie głowę, by zobaczyć, co się dzieje.

Noc była mroczna, a drzewa wokół domu wyglądały jak smagane wiatrem upiorne konie. Liście krążyły w powietrzu, opadając na dach, a wiatr wył w kominach. Gene był pewien, że dostrzeże w ciemności jakiś jasny kształt poruszający się po ścianie równoległe do okna jego sypialni. Skulił się na deszczu i wietrze, próbując dojść, z czym ma do czynienia. Kształt znajdował się jakieś trzydzieści lub czterdzieści stóp nad ziemią, na wąskim gzymsie niemogącym mieć więcej niż sześć cali. Przez moment widział, jak porusza się wśród cieni, po czym znika. Został w oknie jeszcze parę minut, lecz rozpadało się na dobre i coraz trudniej było coś dostrzec.

Zamknął okno i wrócił do pokoju. Na jego twarzy pojawił się grymas. Przypuśćmy, jedynie przypuśćmy, że ten kształt to była Lorie? Czyżby nadużyła jego zaufania i znow wyszła w noc na

poszukiwanie świeżej krwi?

Mógł pójść do jej pokoju. Lecz w ten sposób okaże brak zaufania. Jeśli kiedykolwiek chciał jej wierzyć, musiał zaufać jej słowu.

Przez pół godziny, podczas gdy deszcz bił w szyby pokoju, chodził tam i z powrotem, próbując wytłumaczyć sobie, że wierzy Lorie wystarczająco, by nie iść do jej pokoju. Jednak cały czas zdawał sobie sprawę, że musi to sprawdzić. Jeśli zamierzała przeistaczać się w lwicę i zniknąć na noc, powinien o tym wiedzieć.

Wziął zza łóżka potężną strzelbę i załadował ją. Potem, opatulony szlafrokiem, cicho otworzył drzwi i wyjrzał na ciemny korytarz. Stary dom skrzypiał na wietrze i nadal gdzieś trzaskało okno, jakby nikt nie kwapił się go zamknąć.

Wyszedł na korytarz, trzymając strzelbę pod pachą. Delikatnie zrobił parę kroków w kierunku drzwi Lorie. Stał przez chwilę wahając się, lecz nie mógł się już wycofać. Uniósł klucz zwisający mu z szyi na łańcuszku, po czym niezwykle cicho i delikatnie włożył go do zamka.

Zamek skrzypnął, a on wstrzymał oddech i słuchał, czy z pokoju Lorie nie dobiega żaden dźwięk.

Położył rękę na klamce i nacisnął ją. Potem powoli pchnął drzwi i wyteżył wzrok, by rozróżnić łóżko oraz sylwetkę samej Lorie, jeśli tam była.

Było zbyt ciemno, żeby dostrzec cokolwiek. Odczekał jeszcze chwilę, a potem ruszył w głąb pokoju ze wzniesioną strzelbą i wyciągniętą ręką, by uniknąć potknięcia o jakiś mebel.

Okrzyżował łóżko Lorie i podszedł blisko do poduszki. Nachylił się i zobaczył ją spoczywającą spokojnie z rozsypanymi wokół głowy puklami włosów. Miała zamknięte oczy, oddychała głęboko i regularnie, a jej dłoń dotykała lekko rozchylnych warg jak u niewinnie śpiącego dziecka.

Ostrożnie wycofał się z pokoju, zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz. Przez chwilę stał na korytarzu, nasłuchując hałasów dobiegających z głębi domu, a potem wrócił do swej sypialni.

Kształt, który widział na ścianie, był prawdopodobnie niczym więcej, jak tylko cieniem wielkiego drzewa, kołyszącego się na wietrze. W końcu żaden człowiek nie utrzymałby się na sześciocalowym gzymsie czterdzieści stóp nad ziemią, by potem zniknąć z taką łatwością i gracją. A skoro Lorie bezpiecznie spała w swym łóżku...

Gene czuł się odrobinę zawstydzony, lecz zarazem zadowolony z faktu, że sprawdził to, co chciał. Teraz wiedział, że będzie mógł wierzyć Lorie i zbudować między nimi coś, co nie będzie skażone strachem i brakiem zaufania. Nadal przejmował się nocą, podczas której wróciła umazana krwią, lecz powiedział sobie, że każde odchylenie można zwalczyć, każdą psychozę uspokoić i jeśli obdarzy Lorie wystarczającym zaufaniem, może ją wyprowadzić z tego okrutnego i nienaturalnego życia, jakie wiodła dotychczas, w krainę pokoju i normalności.

Był tak odprężony, gdy wrócił do łóżka, że zasnął prawie natychmiast i nie słyszał szurania i stukania, jakie godzinę później zakłóciło ciszę. Brzmiało to, jakby ktoś ciągnął coś po schodach, krok za krokiem, jak worek albo materac albo umierającego chłopca.

ROZDZIAŁ 7

Ten tydzień był pamiętny dla Waszyngtonu z dwóch powodów. Pierwszy stanowiło aresztowanie mężczyzny próbującego przebiec przez trawnik Białego Domu z czymś, co wyglądało jak pistolet, a okazało się kawałkiem pieczonego kurczaka. Mężczyzna wyjaśnił policji:

- Chciałem się tylko podzielić moim lunchem. Przecież mówił, że chce być ludzkim prezydentem, prawda?

Drugim była wizyta Objazdowego Cyrku Romero, który przybył o tydzień wcześniej ze względu na odwołanie występów w Silver Spring w Marylandzie.

Nadal było niezwykle ciepło, jak na tę porę roku, i gdy Gene jechał do pracy, miał otwarte okno samochodu. Namiot rozbito nie opodal zjazdu do Merriam i Gene z łatwością dostrzegał cały majdan, wraz z klatkami dla zwierząt, czując przy tym zapach kurzu, cukrowej waty i lwich odchodów.

W biurze Maggie domyślała się, że coś subtelnie zmieniło stosunki Gene'a i Lorie, starała się też być bardziej sympatyczna. W noc, gdy Gene poślubił Lorie, wróciła do domu i płakała, lecz teraz poczuła się raczej przyjacielem i doradcą, pomagającym mu w ciężkich chwilach przywracania Lorie do całkowicie ludzkiej egzystencji. Zawsze znajdowała się pod ręką, gdy był rozdygotany lub pełen lęku. Potrafiła odgadywać jego nastroje czy zmartwienia, gdy tylko pojawiał się w drzwiach biura. Dziś był w dobrym humorze.

- Wybierasz się może do cyrku? - spytała zbierając przygotowane raporty.

- Kto by tam chciał oglądać cyrk, pracując dla Henry'ego Nessa? - odparł Gene.

- To wspaniały pokaz. Powinieneś pójść. Zabierz Lorie.

Gene zapalił pierwszego papierosa tego dnia.

- Nie powiem, żebym zbyt lubił cyrk. Nie lubiłem go nawet będąc dzieckiem. Wszystkie te słonie trzymające się za ogony. To jak zjazd demokratów.

Maggie zaśmiała się.

- Chcesz trochę kawy?

- Wolałbym odrobinę pomocy.

- Pomocy? Jakiej chcesz pomocy? Ostatnio chyba radzisz sobie ze wszystkim.

Gene rozparł się na krześle.

- No cóż, sprawy z Lorie układają się o wiele lepiej. To znaczy, naprawdę zaczynamy się do siebie przyzwyczajać. Zaczynamy budować wiarę w siebie. Przy odrobinie szczęścia, gdy ona już przejdzie przez operację plastyczną, najgorsze będziemy mieli za sobą.

- Ale jednak...?

- Wcale nie powiedziałem „ale”.

- Lecz tak pomyślałeś. Jesteś teraz szczęśliwszy z Lorie, czekasz na jej operację, zadomawiasz się w zamku Draculi, ale...

Gene uśmiechnął się.

- Gdybym poślubił ciebie, niczego nie udałoby mi się ukryć. W porządku, wyjaśnię, o co chodzi. To ta historia z Ubasti. Jest niewątpliwie ważna dla Lorie, a jeszcze ważniejsza dla jej matki, lecz żadna z nich nie chce o tym mówić. Wygląda to na jakiś sekret, do którego mnie nie dopuszczają. Od czasu do czasu zdobywam jakieś wskazówki o ludziach-lwach, lecz to nie wystarcza. Sądzę, że gdybym dowiedział się o Ubasti nieco więcej, kim rzeczywiście są, byłbym w stanie bardziej zrozumieć Lorie.

Maggie wzruszyła ramionami.

- Myślę, że zrobiłeś już i tak wystarczająco dużo. Jeśli Lorie nie chce ci o czymś powiedzieć, to może ma w tym swój cel. Będziesz musiał postępować bardzo delikatnie.

Gene wstał i wyprostował się.

- Nie wiem. Mam jedynie uczucie, że wszyscy w domu wiedzą o czymś, czego ja nie wiem. Na przykład szofer, Mathieu. Podszedł do mnie parę dni temu i próbował powiedzieć coś o synach Bast, kimkolwiek, u diabła, oni są. Lecz gdy tylko zbliżyła się Semple, natychmiast skończył.

Maggie pociągnęła łyk kawy.

- Myślę, że zbytnio popuszczasz wodze wyobraźni.

- Ty tam nie mieszkasz.

- Och, daj spokój, Gene. Ta cała sprawa z Lorie ma podłoże genetyczne. Nie ma nic wspólnego z potworami, ludźmi-bestiami, czy innymi stworami z „Tysiąca i jednej nocy”. To tylko przypadek genetyczny, z którym można się pogodzić przy odrobinie zdrowego rozsądku. Próbowałeś psychiatrii i zamierzasz spróbować chirurgii. Cóż jeszcze możesz zrobić?

Gene wyglądał na zamyślonego.

- Nie wiem. W tym miejscu panuje jakieś dziwne napięcie, jakby coś wisiało w powietrzu, a ja nie potrafię dojść co.

- Gene, to napięcie jest oczywiste. Nieuniknione. Lecz czy nie zdajesz sobie sprawy, że nawet po uporaniu się z problemami Lorie nie zniknie ono natychmiast? Chyba nie oczekujesz, że wszystko rozwieje się jak dym w ciągu pięciu minut.

- No cóż - przyznał Gene - chyba znowu masz rację.

Usiadł i wpatrzył się w ulatujący z papierosa dym, jakby tam szukał recepty na przyszłe szczęście.

- Słuchaj - powiedziała Maggie - jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, to daj mi kilka godzin wolnego, żebym mogła pójść do tego specjalisty w bibliotece antropologicznej. Zobaczę, czego można się dowiedzieć.

- Nie musisz.

- Wiem, że nie musisz. Ale chciałabym. Cokolwiek może sprawić, że będziesz traktował Lorie jak piękną dziewczynę z lekkim genetycznym defektem oraz zrozumiesz, iż rodzina Semple'ów to nie potwory, warte jest zachodu. Pora przestać się martwić. Henry Ness zauważył, że jesteś zafrasowany. Zastanawia się, czy nie zrobiłeś czegoś okropnego, o czym nie chcesz mu powiedzieć, na przykład, że sprzedałeś Kanał Panamski Fidelowi Castro.

Gene spojrzał na zegarek.

- Okay, Maggie, dwie może trzy godziny. Postaraj się wrócić tutaj przed trzecią.

- W porządku - zgodziła się Maggie, dopijając kawę. - Gene?

- Tak?

- Pamiętaj, że kiedyś cię kochałam i prawdopodobnie nadal kocham, a zatem chcę, żebyś był szczęśliwy.

Gene obdarzył ją rozbrajającym uśmiechem.

- Dzięki, Maggie, jesteś najlepszym przyjacielem po aniele stróżu.

O piątej Maggie jeszcze nie wróciła z biblioteki, a Henry Ness zwoływał ważne zebranie polityczne na dwunastym piętrze. Gene zostawił w maszynie Maggie informację, by zadzwoniła do niego do domu, po czym wziął papiery i poszedł na zebranie. Walter Farlowe stał na zewnątrz sali konferencyjnej, pociągając wygasłą fajkę. Wyglądał na zirytowanego.

- Co jest grane? - zapytał Gene. Farlowe pociągnął nosem.

- Niezły gips. Prasa się jeszcze do tego nie dobrała, ale jakiś maniak porwał syna francuskiego ambasadora.

- Żartujesz! Dzisiaj?

- Sądzę, że zeszłej nocy. Gliny ostro pilnują tej sprawy. Wydaje się, że oczekują noty politycznej lub czegoś w tym rodzaju. Henry odchodzi od zmysłów.

- Jezu, wcale mnie to nie dziwi. Czy wiedzą już, kto to zrobił?

- Raczej nie. Wygląda na to, że jeszcze nic nie wiedzą. Ale Henry sądzi, że istnieją pewne powiązania z Bliskim Wschodem. Według niego może chodzić o próbę wywarcia nacisku na odsunięcie Arabów pod groźbą śmierci dziecka.

W tym momencie drzwi sali konferencyjnej otworzyły się i zostali zaproszeni do środka. Znajdował się tam już Henry Ness, wraz z ubranym na czarno człowiekiem z FBI, reprezentantami ambasady francuskiej i CIA.

- A teraz panowie - rozpoczął Henry Ness - rozważmy, co może oznaczać to porwanie.

Rozmawiali ponad trzy godziny, roztrząsając sprawy dotyczące Bliskiego Wschodu, lecz w miarę, jak pomieszczenie stawało się mroczne i zadymione, urzędnicy Departamentu Stanu byli coraz bardziej zmęczeni i ociężali. Komunikat policji nie przyniósł nowych wiadomości na temat porywaczy i dyskusja stopniowo wygasła. Gdy Henry po raz piętnasty rozwijał swą teorię o przestępstwie, zadzwonił telefon przy łokciu Gene'a.

- Przepraszam - powiedział i podniósł słuchawkę.

- Keiller.

- Kochanie, tu Lorie.

- Och, cześć. Posłuchaj, właśnie pracuję. Przybył sekretarz stanu i zajmie to przynajmniej kilka godzin.

- Cóż, dobrze. Cyrk zaczyna się dopiero o pół do dziesiątej.

- Cyrk? Co przez to rozumiesz?

- To niespodzianka. Udało mi się zarezerwować dwa bilety na dzisiejszy występ.

Sięgnął po leżące na stole papierosy.

- Lorie, przykro mi to mówić, ale nie sądzę, żebym chciał tam pójść.

- Ale ten cyrk jest wyjątkowo dobry, kochanie. Wszyscy mówią, że występują w nim wspaniali akrobaci.

Gene zapalił papierosa i z zakłopotaniem podrapał się po karku.

- Lorie, po pięciu godzinach spędzonych na konferencji ostatnią rzeczą, jaką chciałbym zobaczyć, jest cyrk. Może więc zrobisz mi tę uprzejmość i zwrócisz bilety?

- Och, Gene.

- Przykro mi, kochanie, ale będę zbyt zmęczony.

- Och, Gene, tak na to czekałam.

- Cóż, może innym razem.

- Wszystkie inne pokazy są wyprzedane. Poza tym dzisiejszy będzie wyjątkowy.

- A co w nim takiego wyjątkowego?

- Zobaczysz.

Gene widział, jak Henry Ness patrzy na niego z dezaprobatą. To miał być zupełnie nowy typ administracji i telefony z domu w środku spotkań na temat kryzysów politycznych nie były zbyt mile widziane. Według Henry'ego urzędnik był przywiązany do swego biurka i każdy, kto wracał do domu, do żony, częściej niż parę razy w tygodniu, popełniał co najmniej bigamię.

- Muszę kończyć - powiedział Gene. - Jestem na zebraniu.

- Och, proszę, powiedz „tak”.
- Posłuchaj. Odezwe się później. Wtedy podyskutujemy.
- Kocham cię, Gene. Zgódź się.

Henry Ness zakaszał znacząco. Gene poczuł się nieswojo.

- W porządku, Lorie - powiedział. - Okay. Pójdziemy. Wpadnij do biura około dziewiątej. A teraz muszę już kończyć.

- Och, Gene, jesteś wspaniały. Uwielbiam cię.
- Tak, no cóż, ja ciebie też. A teraz do widzenia.

Gene odłożył słuchawkę i odwrócił się do pozostałych z taką miną, jakby przed chwilą rozmawiał z ministrem spraw zagranicznych Fidela Castro lub premierem Wielkiej Brytanii.

- Mam nadzieję, że to nie kłopoty domowe, Gene? - spytał Henry Ness.

- Och, nie, sir. Wprost przeciwnie.

- To dobrze. Wystarczająco dużo macie za granicą, by dodatkowo robić to w domu.

Wszyscy roześmiali się jak hieny, a potem powrócili do kwestii porwania.

Cyrk skończył się dopiero kwadrans przed północą i gdy szli na parking przez zaśmiecony trawnik, Gene był już bardzo zmęczony. Wokół wygaszano światła, a cyrkowcy powracali do swych wozów, by wziąć prysznic, wypić piwo i pooglądać nocną telewizję.

Gene podniósł kołnierz płaszcza. Chciał ochronić się przed chłodem listopadowej nocy, lecz zmęczenie sprawiało, że i tak cały drżał. Spóźnili się do cyrku ze względu na tłok na drodze, a potem stwierdzili, że ich miejsca zostały już zajęte przez jakiegoś tłustego typka z piątką równie pulchnych dzieciaków. W końcu spędzili dwie godziny na niewygodnej drewnianej ławce, wśród kaszlących i siakających nosami małych oraz emerytów, a wszystko, co działo się na arenie, było dla nich na zmianę niesłyszalne bądź niewidzialne.

Jednakże Lorie wydawała się promienna i szczęśliwa. Skoro więc pójdzie do cyrku sprawiło jej tyle radości, cena, jaką za to zapłacił, była niewielka. Sięgnął do kieszeni i stwierdził, że nie ma papierosów.

- Gene - powiedziała Lorie - jestem taka podniecona.

- Podniecona? A cóż cię tak podnieca?

- Och, wszystko. To wszystko jest po prostu ekscytujące.

- Nie przesadzaj. Widziałem tylko jakieś grubawe panie na koniach i paru facetów wystrzeliwanych na kilka stóp w powietrze.

Lorie pociągnęła go za ramię tak, że przystanął, i spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

- Gene, chodźmy popatrzeć na lwy.

- Lwy? Czy to dobry pomysł?

- Gene, one były piękne. Czy widziałeś, jakie były piękne?

- No cóż. Były całkiem okay.

- Okay? One były piękne. Ten wielki samiec z fantastyczną grzywą. Czy widziałeś jego twarz?

On wyglądał tak mądrze, a zarazem silnie i okrutnie.

- Przykro mi, Lorie, ale nie jestem koneserem lwów.

- Ożeniłeś się ze mną.

- Jasne, ale nie sądzę, aby oglądanie lwów było najlepszym pomysłem. Sądzę, iż najlepiej będzie, jak wrócimy do samochodu i pojedziemy do domu.

Lorie przysunęła się i pocałowała go. Jej wargi były ciepłe na zimnym wietrze i Gene czuł zwykle towarzyszący jej aromat.

- Proszę, Gene. One są tuż za rogiem. Popatrz na nią. Była tak śliczna, że zdobył się jedynie na

stwierdzenie:

- W porządku. Tylko na parę minut. Może mnie podszkolisz w rozpoznawaniu ich urody.

Znów go pocałowała.

- Jesteś doskonały - wyszeptała. - Nawet nie wiesz, jaki jesteś wspaniały.

Minęli wozy clownów i zagrodę słoni, aż dotarli do rzędu klatek, gdzie trzymano lwy i tygrysy. Było tu teraz ciemno, ponieważ na noc wyłączono generatory. Z mroku klatek Gene słyszał drapanie pazurów po drewnianych podłogach i głębokie postękiwania śpiących drapieżników.

Lorie ciągnęła go za rękę i gdy podchodzili do klatki na końcu rzędu, gdzie trzymano wielkiego samca, przyspieszyła kroku, jakby nie mogła się doczekać.

W końcu znaleźli się przed klatką lwa. Ten obserwował, jak podchodzą, leżąc pośrodku drewnianej podłogi z uniesioną głową i oczyma pełnymi dumnego okrucieństwa.

- Popatrz - wyszeptała Lorie. - Czyż on nie jest piękny? Czy nie jest po prostu wspaniały?

Gene zerknął w głąb klatki.

- Wygląda nieźle. Tak, jest nawet przystojny.

- Och, on jest więcej niż przystojny - powiedziała Lorie dziwnym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszał.

- On jest jak król. Jest jak bóg. Popatrz na te mięśnie. Popatrz na to wspaniałe futro. Popatrz na pazury.

Gene zakaszał.

- Nie wiem. Wygląda na nieźle zapasionego. Wydawało się, że Lorie nie słucha.

- Uwięziono go w klatce, prawda, mój śliczny brutalu? Już tak długo siedzi zamknięty. Czy wiesz, ile waży tak piękny lew, jak ten?

- Dwieście funtów? Daj spokój, Lorie. Jest zimno. Powinniśmy już iść.

Lew warknął i pokręcił głową. Lorie objęła się ramionami i zamknęła oczy.

- Lorie - powiedział zirytowany Gene - czas już iść. Przez cały dzień nie jadłem nic poza hot dogiem i jestem zmarznięty na kość.

Lorie nadal miała zamknięte oczy i wodziła pieszczotliwie dłońmi po swoim futrze. Lew powtórnie zawarczał i opuścił masywny łeb na pazury.

- Lorie - nalegał Gene - proszę, pożegnaj się ze swoim przyjacielem i chodźmy do domu.

Lorie powoli obróciła się i otworzyła oczy.

- Nie można z niego drwić - wyszeptała. - To nic, że jest zamknięty w klatce, ale nie można z niego drwić. Jest na to zbyt wspaniały.

- Słuchaj, wcale z niego nie drwię. Zresztą dlaczego miałbym to robić? Proszę tylko, abyśmy poszli do domu.

- Poczekaj. Tylko jedna chwilka.

Podeszła do krat klatki. Lew obserwował ją uważnie, mrużąc i otwierając oczy. Gene chciał ją ostrzec przed stawaniem tak blisko, lecz coś go przed tym powstrzymało. Pomyślał, że ona wie, co robi. Dokładnie wie.

Lew ponownie uniósł łeb, a potem wstał. Był to potężny, dorosły samiec, nieco opasły na skutek życia w klatce, lecz nadal muskularny i tryskający siłą. Wydzielał ostry, zwierzęcy zapach.

Powoli, machając ogonem, lew podszedł do krat, przy których stała Lorie. Rozwarł paszczę obnażając zęby i znów zawarczał, lecz Lorie pozostała nieruchoma. W końcu bestia podeszła bezpośrednio do niej. Lorie stała przez moment nieruchomo, po czym cofnęła się o krok i skłoniła. Był to głęboki ukłon, prawie do ziemi.

- Lorie - powiedział Gene ostro.

Dokończyła ukłon i znów się wyprostowała.

- On jest wspaniały - powiedziała. - Muszę mu pokazać, że go za takiego uważam. Muszę złożyć mój hołd.

- Hołd? Jakiemuś cholernemu lwu? Lorie, na Boga! Lorie spoważniała.

- Zapominasz o czymś, Gene.

- O niczym nie zapominam. Po prostu nie chcę, byś robiła uprzejmości jakimś zwierzakom, to wszystko.

Lorie chciała coś powiedzieć, lecz się opanowała.

- W porządku, Gene - stwierdziła cicho. - Lecz nie zapominaj, że sama jestem pół-lwem. To nie tylko piękne zwierzę, ale również mój krewniak.

- Wiem o tym, Lorie. Od miesiąca tkwię w tym po uszy. Lecz obiecałaś mi, że zapomnisz o lwiej części swej osobowości i skłonisz się ku ludzkim ideałom. Ten... król dżungli... może być wspaniały, jeśli chodzi o lwy, lecz nie chcę, byś biła mu pokłony. Rozumiesz, o co mi chodzi? To tylko zwierzę, a my jesteśmy ludźmi, co czyni nas lepszymi. To nie dyskryminacja. To fakt z historii natury.

Lorie odwróciła się i spojrzała na lwa. Powoli pokręciła głową i lew powtórnie warknął, kładąc się na podłodze.

- Czy ty rozumiesz to, co mówię? - spytał Gene.

- Tak - stwierdziła Lorie. - Rozumiem.

- Ale się ze mną nie zgadzasz?

- A chcesz, żebym się zgodziła?

- Nie mogę cię zmusić. Ale wolałbym, żeby tak było.

Lorie wzięła go za ramię i odeszli od rzędu klatek z lwami, kierując się przez trawnik na parking. Samochody poruszające się po drodze nie opodały mrugały czerwonymi światłami w ciemnościach chłodnej nocy.

- Gene - odezwała się Lorie - ty nigdy nie pomyślisz, że cię nie kocham, prawda? Nigdy nie przyjdzie ci do głowy, że to, co do ciebie czuję, może być fałszywe?

- A dlaczego miałbym tak pomyśleć? Nagle stanęła i przycisnęła się do niego bliżej.

- Nigdy tak nie powinieneś myśleć, ponieważ to nigdy nie będzie prawda. Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek będziesz w stanie pojąć.

Gene delikatnie pocałował jej miękkie włosy i przytulił się do niej. Żałował, że jest tak zmęczony.

- Dopóki tylko kochasz mnie bardziej niż lwy... - powiedział cicho.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Jest taki zwrot w języku Ubasti - powiedziała. - Brzmi on hakhim-al farikka i znaczy „dwie miłości w jednej”. Pewnego dnia zrozumiesz, co to oznacza i jak silna jest to miłość.

Pocałował ją powtórnie.

- Codziennie czegoś się uczymy - stwierdził łagodnie. - Chodź, pojedziemy do domu.

O pierwszej w nocy, gdy już chciał wyłączyć lampkę przy łóżku i pójść spać, przypomniał sobie o Maggie. Sięgnął po telefon i nakręcił jej numer. Telefon dzwonił kilkanaście razy, zanim się odezwała, a jej głos był bardzo zaszpany.

- Halo - wymruczała.

- Przepraszam - powiedział Gene. - Znów cię obudziłem.

- Czy-to ty, Gene?

- Posłuchaj, mogę zadzwonić rano.

- Nie, nie - zaprzeczyła szybko. - Zaczekaj. Daj mi tylko sekundę na przebudzenie.

Podłubał w zębach zapałką. Gdy wrócili do domu z cyrku, zrobił sobie kanapkę z wołowiną i ogórkami i jakiś paproch utkwiał mu w dziąśle.

- U ciebie w porządku? Mówisz jakoś tak dziwnie.

- W porządku - odparła. - Ale kiedy dziś wybrałam się- do tej biblioteki, wyszukałam tam mnóstwo niesamowitych rzeczy.

- Czy z tym nie można poczekać do rana?

- No cóż, można. Ale jest kilka spraw, o których powinieneś się dowiedzieć. Poczekaj chwilę. Już to mam. Znalazłam to w cholernie starej książce: „Zakazane religie Nilu”. Jest tam cały rozdział o Ubasti, chociaż ktoś wyrwał z niego wszystkie ilustracje. Bibliotekarz przypomina sobie, że były dosyć frywolne.

Gene zakaszłał.

- Czy jest tam coś, o czym jeszcze nie wiemy?

- No cóż, znalazłam coś, co naprawdę mnie zmartwiło - kontynuowała Maggie. - Dotyczy to Tell Besta, kultu ich lwiego boga Bast, niektórych rytuałów, dość zresztą odrażających, lecz jest również fragment mówiący co nieco o ich małżeństwach.

- Możesz go odczytać?

- Jasne. Piszą tu: „Zgodnie ze ścisłym wymogiem lwiego boga Bast, kobiety uprawiające ten kult miały za wszelką cenę utrzymać ciągłość gatunku Ubasti. Miały to robić, poślubiając na przemian lwy bądź ludzi. Innymi słowy, jeśli kobieta Ubasti miała za partnera lwa, jej córka musiała wziąć za partnera człowieka i tak dalej, na przemian, aby utrzymać siłę tej dziwnej rasy. Lwią i ludzką”.

Gene słuchał.

- To nie ma sensu - stwierdził.

- Dlaczego nie?

- Cóż, matka Lorie poślubiła Jeana Semple, który był człowiekiem, a Lorie poślubiła mnie i przecież jestem nim również.

- A jednak jeszcze z nią nie spałeś, prawda? Ona nie jest twoją partnerką.

- No cóż, nie. Ale jak tylko dojdzie do siebie po operacji plastycznej...

Poczekaj, Gene. Posłuchaj, co tu jeszcze piszą. Po wszystkich tych uwagach o zmianach partnerów z człowieka na lwa i odwrotnie, piszą tak: „Rytuał partnerstwa Ubasti jest skomplikowany i zawsze ściśle przestrzegany zgodnie z boskimi instrukcjami Wielkiego Bast. Jeśli kobieta ma być partnerką człowieka, wówczas musi zaoferować mu pieniądze i klejnoty oraz złożyć w ofierze lwa. Lecz jeśli partnerem ma być lew, musi mu złożyć w ofierze człowieka”.

- Maggie - przerwał Gene.

- Poczekaj, jest tego więcej. Słuchaj: „Gdy kobieta zostanie partnerką mężczyzny, musi zabezpieczyć sekret swego rodu i tego, co się stało, poprzez zamknięcie mu ust na zawsze. Zwykle robi to, odgryzając mu język”.

Gene słuchał w ciszy. Przez telefon słyszał, jak Maggie oddycha głęboko. Potarł czoło, lecz w głębi umysłu nadal miał mętlik.

- Czy jesteś tego pewna? - zapytał.

Tak podaje książka. A jest to książka cytowana w wielu innych szanowanych i godnych zaufania wydawnictwach. Westchnął.

- Sądziś, że to prawda czy może jedynie legenda?

- Nie wiem, Gene. Przykro mi. Chciałabym wiedzieć. Sądziłam po prostu, że ty również powinieneś poznać te informacje.

- Maggie - powiedział cicho - byliśmy dzisiaj w cyrku.

- Sądziłam, że nienawidzisz cyrku.

- Tak jest, ale Lorie nalegała. Gdy przedstawienie się skończyło, zabrała mnie, bym zobaczył lwy.

- I co?

Nie mógł tego powiedzieć. Nawet Maggie nie potrafił zwierzyć się ze swoich myśli. Lecz jeśli, jak mówiła legenda, nadeszła pora, by Lorie wzięła sobie lwa, to on już tam na nią czekał. I jeśli słowa księgi były rzeczywiście prawdziwe, nie mogła ona wyjść za Gene'a z miłości czy też z jakiegokolwiek innego powodu mającego coś wspólnego z wiarą i szacunkiem. Celowo go uwiodła i zaciągnęła do ołtarza, by móc złożyć go w ofierze swemu prawdziwemu towarzyszowi. Być może to właśnie miał na myśli Mathieu, mówiąc o gazeli Smitha. Gene Keiller był prezentem ślubnym Lorie Semple dla bestii mającej być ojcem jej dzieci.

Oszołomiony odsunął słuchawkę od ucha. To wszystko tak do siebie pasowało, było tak logiczne, że czuł się, jakby ktoś usunął mu grunt spod nóg. Może Lorie z początku naprawdę go kochała i dlatego właśnie próbowała go zniechęcić. Wiedziała, co się stanie, jeśli się w sobie zadurzą i pobiorą. Miała pewność, że wówczas będzie musiała złożyć go jako ofiarę.

A on jak ślepiec zabrnął w pułapkę. Od czasu, gdy ujrzała go pani Semple, ani on, ani Lorie nie mieli szansy uciec przed ślubem. To ona namawiała go do wychodzenia z Lorie i jako jej matka oraz wytrawna znawczyni religii boga Bast z łatwością zmusiła ją do postępowania zgodnie z rytuałem.

Lorie i jej matka zrobiły wszystko, co mogłyby zatrzymać go w posiadłości Semple'ów i przygotować do roli, jaką w końcu miał odegrać. Może zew krwi Lorie w ich noc poślubną był błędem, lecz pani Semple gładko wmówiła mu, że to tylko niefortunny przypadek i że Lorie wkrótce dojdzie do siebie.

Tymczasem ona nigdy nie zamierzała dochodzić do siebie. Była córką Ubasti i jak wszystkie córki Ubasti miała do spełnienia starą „świętą misję utrzymania rasy lwiego boga Bast”. Łatwiej już byłoby „uzdrowić” zagorzałego muzułmanina bądź katolicką dewotkę.

- Gene - zaniepokoiła się Maggie - Gene, jesteś tam?

- Tak, Maggie, jestem.

- Gene, czy myślisz o tym samym, co ja? Nie chciałam tego mówić, ale...

Zakaszał.

- Nie wiem, Maggie. To po prostu wydaje się pasować. To podsuwa odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Jeśli to prawda, Gene, powinieneś się stamtąd ulotnić. I to szybko.

- A jeśli nie?

- Gene, jeśli one chcą cię zaoferować jakiemuś lwu, to naprawdę nie sądzę, byś miał czas do namysłu.

- Ale jeśli to nie jest prawda? Jeśli to tylko stara, głupia legenda? Odchodząc stąd teraz, utracę Lorie na zawsze. Wszystko i tak jest już dość skomplikowane.

Przez chwilę Maggie milczała.

- Dlaczego nie pójdziesz poszukać Mathieu i nie spytasz go?

- Mathieu?

- Pamiętasz, co ci powiedział o synach Bast? Czyż nie jest teraz jasne, kim oni są? To lwy, Gene, prawdziwe lwy.

- Ale dlaczego... Powstrzymał się. Zmarszczył brwi.

- Maggie - powiedział - przeczytaj jeszcze raz ten kawałek. Ten o zachowaniu tajemnicy.

Maggie pogrzebała w papierach i odczytała: „Gdy kobieta zostanie partnerką mężczyzny, musi zabezpieczyć sekret swego rodu i tego, co się stało, poprzez zamknięcie mu ust na zawsze. Zwykle robi to, odgryzając mu język”.

Gene wysłuchał i skinął głową.

- To by pasowało, prawda? - stwierdził cicho.

- Co powiedziałaś?

- Wszystko pasuje. Mathieu to wcale nie jest Mathieu. To ojciec Lorie. Czy możesz dla mnie zdobyć fotografię Jeana Semple na jutro rano? Jeśli to nie jest Mathieu, no to kto, do cholery?

- Lecz jeśli rzeczywiście wiedziałby coś o ludziach-lwach, którzy na dodatek go okaleczyli, z pewnością próbowałby uciec.

- Może tak - stwierdził Gene. - Aż drugiej strony, po co. Co pozostaje do zrobienia niememu dyplomacie? Może wolał pozostać w domu i pozwolić zajmować się sobą matce Lorie. Może ją nadal kocha. Myślę, że najlepiej zrobię, jak go znajdę i sam o to zapytam.

- Gene - powiedziała Maggie zmartwionym głosem - czy masz tam jakąś broń?

- Jasne. Mam solidną strzelbę.

- Proszę, uważaj na siebie. Naprawdę. Zadzwoń do mnie, gdybyś potrzebował pomocy, a natychmiast się tam zjawię.

- Myślę, że sobie poradzę. Czy możesz być w pobliżu telefonu?

- Jasne. Zadzwoń, jak porozmawiasz z Mathieu.

- Dobrze. A zatem dzięki, Maggie. Tyle tylko mogę powiedzieć.

- Nie mów nic, Gene. Tylko przeżyj.

Wyjął strzelbę spod łóżka i upewnił się, czy jest załadowana. Był kwadrans po pierwszej, a w domu panowała ciemność i cisza. Wczorajszy wiatr osłabł i noc tonęła w absolutnym bezruchu. Tylko pohukiwanie sów w lesie zakłócało ten spokój i tylko ciężki oddech Gene'a mącił ciszę panującą w sypialni.

Wciągnął przez głowę sweter i włożył ciemnoszare spodnie. Ujął strzelbę w prawą dłoń i podszedł delikatnie do drzwi. Zaskrzypiały, gdy je otworzył. Na zewnątrz było ciemno i pusto.

Wiedział, że Mathieu śpi na dole, lecz, nie wiedział dokładnie, gdzie. Stąpając tak lekko, jak tylko mógł, przeszedł przez korytarz do schodów. Padające zza jego pleców przez witraż blade światło rozjaśniło nieco mroczne wnętrze. Czekał nad słuchując, lecz nie wyłowił żadnego dźwięku.

Trzymając się poręczy, zaczął powoli schodzić na dół. Hol był tak ciemny, że musiał nieco odczekać u podnóża schodów, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Gdy był gotowy, ruszył ku drzwiom kuchni i pchnął je. Był niemal pewny, że Mathieu ma swój pokój gdzieś w pobliżu.

Kuchenne drzwi zaskrzypiały, a on wstrzymał oddech na kilkanaście sekund, by usłyszeć, czy kogoś nie obudził. Nie przejmował się Lorie. Spała w zamkniętym pokoju. Główne niebezpieczeństwo stanowiła pani Semple. Jeśli legendy przedstawione przez Maggie oparte były na faktach, pani Semple była potężną i dominującą postacią w tym domostwie, absolutnie zdecydowaną na zachowanie swego gatunku. To nie czyniło z niej przyjaznego oponenta, który przymknąłby oczy na myszkowanie po domu w ciemności.

Nadal było cicho, więc przeszedł przez kuchnię do drzwi spiżarni. Były one nieco uchylone, więc rozwarł je szerzej lufą strzelby. Za drzwiami było zupełnie ciemno i musiał poruszać się po omacku.

Z jedną dłonią wzniesioną, by uniknąć uderzenia w jakiś mebel, i strzelbą w drugiej, Gene ruszył w lewo, gdzie spodziewał się znaleźć pokój Mathieu. Od czasu do czasu przystawał i nad słuchiwał, lecz wydawało się, że wokół panuje absolutna cisza.

Właśnie miał położyć dłoń na klamce pokoju Mathieu, kiedy wydało mu się, że słyszy lekki hałas. Zamarł i czekał. Cisza. Powtórnie sięgnął ku klamce i wówczas coś uderzyło go silnie w szyję, coś tak twardego i okrutnego jak stalowa sztaba. Upadł na ścianę, stracił równowagę i potoczył się na podłogę.

Spoczyło na nim ciężkie ciało i czyjaś dłoń zakryła mu usta. Próbował się wyrwać, lecz przeciwnik był zbyt silny.

- Nie ruszaj się - zaskrzeczał głęboki głos. - Nie ruszaj się ani o włos. bo skrećę ci kark.

Gene leżał nieruchomo. Tyłem głowy uderzył o betonową podłogę i ból odbierał mu zmysły.

- Monsieur Semple? - wymamrotał w końcu. Nastąpiła długa cisza. Potem napór ciała ustąpił, a ręka cofnęła się od jego ust.

- Znasz mnie? - powiedział dyszący, nieziemski głos. - Znasz mnie?

Gene uniósł się na łokciu i delikatnie dotknął obolałej potylicy.

- Zgadłem - powiedział cicho. - Na podstawie dowodów antropologicznych.

- Wiesz o Ubasti?

- Do dzisiejszej nocy nie wiedziałem wszystkiego. Moja sekretarka poszperała dla mnie trochę w specjalistycznej, antropologicznej bibliotece. Dokopała się do danych o przetrwaniu rasy z generacji na generację.

- Gazela Smitha - zaskrzeczał Semple.

- Zgadza się - potwierdził Gene. - Gazela Smitha. Dziś w nocy doszedłem do tego, kto miał nią być i do czego jestem tu potrzebny.

Semple wyciągnął rękę i pomógł Gene'owi wstać na nogi.

- Musisz pójść do mojego pokoju - powiedział twardo. - Nie wolno nam zbudzić kobiet.

Pchnął drzwi naprzeciw i wprowadził Gene'a do maleńkiej klitki. Znajdowało się tam jedno nieporządne łóżko z czerwoną pościelą, długa półka z książkami i dwa wytarte fotele. Pomieszczenie było ogrzewane małym piecykiem elektrycznym, a jedyną wygodę stanowiła elektryczna kuchenka, na której Semple mógł sobie parzyć herbatę czy kawę. Ściany ozdabiały rzędy oprawionych fotografii francuskich oficerów Tunisie i Algierii, fotografii pani Semple i zdjęć Lorie, gdy była dzieckiem.

- Proszę usiąść - zaprosił. - Przykro mi, że pana uderzyłem. Muszę się bronić.

Gene usiadł.

- Ma pan jakieś papierosy?

- Jeśli lubi pan gauloise'y. Pozwala mi się na sto miesięcznie.

Gene wyjął papierosa z granatowej paczki i wkrótce pokój nappełnił się tytoniowym dymem. Pan Semple siadł naprzeciw ze skrzyżowanymi nogami. Miał jak zwykle kamienną twarz, lecz po raz pierwszy Gene dostrzegł za tą maską coś więcej niż agresywne nastawienie do innych.

- Całkiem nieźle pan mówi - stwierdził Gene. - Sam się pan nauczył?

Semple skinął głową.

- Po tym, jak lwica odgryzła mi język, całymi miesiącami nie mogłem mówić wcale. Lecz przeczytałem w „Time” o ludziach po operacji krtani, którzy nauczyli się mówić ponownie i sam też tak zrobiłem. To oczywiście olbrzymi wysiłek i nie pozwalałam na to, by lwice coś zwąchały. Pewnego dnia będę musiał niespodziewanie przemówić.

- Już mnie zrobił pan tę niespodziankę.

- Nie bez wzajemności. Sądziłem, że podda się pan przeznaczeniu jak gazela.

- Wiedział pan, o co im chodziło?

- Oczywiście, że tak.

- Więc dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej?

- Staralem się dawać panu wskazówki. Ale te lwice ciągle mają wszystko na oku. Jeśli dowiedziałyby się o naszej rozmowie, rozerwałyby mnie na strzępy.

- A policja?

- Panie Keiller, ja chcę przeżyć. Obawiam się, że skoro sam pan wszedł do kryjówki bestii z pełną świadomością i oczekiwał bez zmrużenia powiek na śmierć w ofierze, to wyłącznie pańska sprawa.

Powiedzenie tego zabrało mu dość dużo czasu i musiał robić przerwy między zdaniami, lecz Gene i tak był zdumiony sprawnością jego organów głosowych. Każdej nocy musiał spędzać wiele godzin ćwicząc mówienie. Na jego półce znajdowało się trochę książek na temat dykcji i treningu w mówieniu.

- Panie Semple - zagadnął Gene - czy może mi pan powiedzieć, co się tutaj dzieje? Czy może mi pan wyjaśnić, co właściwie robi Lorie i pana żona?

Semple zapalił papierosa.

- Nie robią niczego, co im samym wydawałoby się dziwne. Po prostu podtrzymują linię rodową lwiego boga Bast.

- W jaki sposób udaje im się namówić lwa... Jak mogą uczynić z niego swego partnera?

Twarz Semple pozostała bez wyrazu.

- Jest to rytuał, którego zawsze ściśle przestrzegają. Sięga on korzeniami jeszcze czasów Tell Besta, o czym, jak sądzę, pan wie. Gdy Ramzes wyparł czcicieli lwiego boga Bast z rejonu Górnego Nilu i przeklął ich w imieniu Horusa, poprzysięgli oni, że kontynuować będą linię ludzi-lwów na wieczność. Imię Bast nigdy nie zaginie. Jak widać, po tylu wiekach przysięga nie została złamana.

Francuz zrobił pauzę dla nabrania oddechu i zaciągnięcia się papierosem.

- Kiedy nadchodzi pokolenie krzyżujące się z lwami, gdy czas, by dziewczyna miała stosunek z lwem, zawsze przestrzegają tej samej procedury. Dziewczyna udaje się na poszukiwanie człowieka na ofiarę dla lwa. Ważne jest, by ofiara była atrakcyjnym i inteligentnym mężczyzną, dlatego właśnie Lorie udała się na party, chcąc kogoś wybrać. A pan, niestety, sam się narzucił. Szkoda, bo Lorie polubiła pana, a wkrótce potem pokochała. Nie chciała czynić z pana ofiary. Lecz pan z uporem maniaka pchał się w szpony Bast. Gdy tylko zobaczyła pana moja żona, stwierdziła, iż jest pan znakomitym kandydatem i razem z Lorie zrobiły wszystko, żeby pana tu zatrzymać.

- A co pan powie o nocy, gdy Lorie wymknęła się zabić owcę? To z pewnością było ryzyko. O mało co się wtedy nie wycofałem.

- To się czasami zdarza - wykrztusił pan Semple. - Nie są w stanie nic na to poradzić. Gdy zbliża się pora godów, zaczynają polować w nocy jak prawdziwe lwy. Nie mogą polować w dzień ze względu na przekleństwo boga słońca Horusa, bo wówczas czekałaby je śmierć. Na kilka tygodni przed lwim okresem godowym, dziewczyna Ubasti wychodzi nasycić się krwią dziecka. Robi to, by udowodnić sobie, że w głębi serca jest lwicą i że w jej żyłach płynie wystarczająca ilość lwiej krwi.

- To znaczy...

- Nie było żadnej owcy. Pańskie podejrzenia okazały się całkowicie słuszne. Tej nocy rozerwała na strzępy i pożarła małego chłopca.

Gene spuścił wzrok.

- Och, Chryste - powiedział cicho. - I pomyśleć, że jej wierzyłem.

Pan Semple wzruszył ramionami.

- To nie pańska wina. Wierzył pan i ufał swojej żonie. Jestem jej ojcem, proszę o tym pamiętać, panie Keiller, i wiem, że gdyby była normalna, byłby pan dla niej wzorowym mężem.

Gene zaciągnął się papierosem.

- Dziękuję, panie Semple. Chciałbym móc powiedzieć, że to mnie pociesza.

Pan Semple wstał i podszedł do fotografii na ścianie.

- To moja żona w dniu, kiedy się pobraliśmy. Czy nie jest piękna? Gdybym tylko wiedział, jak to się skończy.

- Panie Semple, wczorajszej nocy wydawało mi się, że widzę coś w rodzaju... nie jestem pewien, sylwetki... opuszczającej dom w ciemności. Nie jestem pewien. Sprawdziłem, że Lorie była w swoim pokoju.

Pan Semple skinął głową.

- To była moja żona. Jako lwica kapłanka ma ona obowiązek kusić lwa, by zbliżył się do jej córki. Jedną z pokus stanowi oczywiście pan, główna ofiara. Zostanie pan oddany lwu po zbliżeniu i lew pożre pana. Wówczas staniecie się obaj tym, co one nazywają dwoma miłościami w jednej, hakhim-al farikka. Ale oczywiście lew musi być skuszony do miejsca godów. Robi się to, znajdując małego chłopca, rozdierając go żywcem i znacząc trop jego krwią oraz wnętrznościami.

Gene zmarszczył brwi.

- Sądzi pan, że następny chłopiec został zabity? Pan Semple skinął głową.

- Wczorajszej nocy. Był synem francuskiego ambasadora. Moja żona bardzo dobrze zna ambasadę francuską i wszystkich, którzy tam mieszkają i pracują. Z łatwością udało jej się wykraść chłopca w nocy.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę. Czy chce pań powiedzieć, że chłopiec został porwany z łóżka przez panią Semple i zabity po to, żeby wyznaczyć trop?

- Nie musi pan w to wierzyć - powiedział Semple. - Ale wydawało mi się, że zobaczył pan już wystarczająco dużo, aby przekonać się, że to prawda. To są lwice Ubasti, panie Keiller. To najstraszniejsze stworzenia na ziemi i zawsze takimi były. Od czasów Ramzesa i wszystkich faraonów.

Gene zmiął swego gauloise'a.

- Ale skoro pan o tym wszystkim wiedział, dlaczego nie próbował pan czegoś zrobić? Czegokolwiek?

Pan Semple siadł na brzegu łóżka. Zaczął bawić się frędzlami narzuty.

- Może pomyśli pan, że jestem tchórzem. Tak, jestem. Nauczyłem się siedzieć cicho i robić, co mi przykazano. To jedyny sposób, w jaki mogę przeżyć. Z tego miejsca nie ma ucieczki. Gdybym chociaż raz spróbował uciec, lwice odnalazłyby mnie i rozdarły na strzępy.

- Wolał pan pozwolić umrzeć dwóm dzieciakom, zamiast...

Pan Semple podniósł głowę.

- Nie musi mi pan przypominać, jak bardzo się wstydzę, panie Keiller. Czasami mam ochotę podciąć sobie gardło. Ale Ubasti przynoszą ze sobą śmierć, gdziekolwiek się znajdują. Podobnie stało się w Kanadzie, gdzie pewien mężczyzna zginął z mojego powodu.

Jakiś facet z Vancouver. Moja żona ubrała go w moje rzeczy, a potem rozdarła na tak małe kawałeczki, że nie można było zidentyfikować zwłok. Później stwierdziła, iż to byłem ja, i w ten sposób „umarłem”. Ubasti mordują z zimną krwią, panie Keiller. Od pana wyboru zależy, czy zginąć jak owca, czy przeżyć jak szczur.

- Na miłość boską, przecież ma pan broń. Dlaczego, do diabła, nie użyje pan tej wielkiej strzelby, by porozwalać im łby?

Pan Semple mruknął rozbawiony.

- Strzelba jest, panie Keiller, ale nie ma amunicji. Dały panu tę zabawkę, by czuł się pan pewniej. To wszystko. Naboje są ślepe.

Gene wstał i otrząpał popiół ze spodni.

- Panie Semple - powiedział - natychmiast stąd wychodzę. Opuszczam to miejsce. I pierwszą rzeczą, jaką zrobię po wyjściu, będzie powiadomienie policji.

- Nie mogę panu na to pozwolić - powiedział beznamiętnie Semple.

- Będzie pan musiał spróbować mnie zatrzymać.

- Przyjdzie mi to z łatwością. Jestem ekspertem w kravmaga. Trenowali mnie Izraelczycy na Bliskim Wschodzie.

- Nic pan nie rozumie. Jeśli powiadomię policję, będzie pan mógł się stąd wydostać i pozbyć się Lorie oraz pańskiej żony.

Semple pokręcił głową.

- Wy, Amerykanie, jesteście wszyscy tacy sami. Policjanci i złodzieje! Nie rozumiecie biegu wydarzeń. A przy okazji, co ze mną? Jestem równie winien tych śmierci, jak one. Jak się to nazywa? Współudział w morderstwie. Jestem ich współnikiem.

- Wychodzę, panie Semple.

- Proszę nie próbować. Umrze pan tylko jeszcze straszniejszą śmiercią. Niech to się lepiej stanie łatwo i szybko. Dopadną pana na długo przedtem, zanim pan dotrze do bramy. A poza tym w drodze z cyrku jest również lew.

Gene zamarł.

- Lew? - powiedział z trudnością.

- Dokładnie tak. Zeszłej nocy moja żona poprowadziła ślad z cyrku do domu. Dziś jest noc lwich godów. To musi być wcześniej, bo cyrk zmienił swe plany.

Gene nagle przypomniał sobie panią Semple przy kolacji.

„Zostań jeszcze tydzień - powiedziała wtedy. - Daj Lorie jeszcze siedem dni. Wówczas zobaczysz, jak bardzo wszystko się zmieniło...”

- Wobec tego im szybciej się stąd wydostanę, tym lepiej.

Otworzył drzwi. Przez moment pan Semple siedział nieruchomo na łóżku, lecz gdy Gene spróbował wyjść, wykonał niezwykle szybki ruch prawą nogą i zatrzasnął drzwi.

Gene cofnął się. Zacisnął pięści i przybrał bokerską pozę, której nauczone go w szkole. Pan Semple obchodził go ostrożnie z zimnym, pozbawionym życia wzrokiem.

- Proszę dać spokój, panie Semple - odezwał się Gene. - Razem możemy im dać radę. Dlaczego mamy walczyć z sobą?

Tamten pokręcił głową.

- Nie jest pan żadnym przeciwnikiem dla lwa, oto powód. Znam się na tym. Przykro mi, ale nie może pan odejść.

Gene rzucił się naprzód, lecz pan Semple uderzył go otwartą dłonią w bok głowy, aż zadzwoniło mu w uszach. Zachwiał się, lecz utrzymał równowagę i schronił się za jednym z foteli. Teraz wpatrywali się w siebie, dysząc w napięciu.

Gene szybkim ruchem pchnął fotel na przeciwnika, po czym napał nań całym swym ciężarem. Pan Semple został na moment odparty i ta chwila wystarczyła Gene'owi, by otworzyć drzwi i zanurkować w ciemność.

Semple odrzucił od siebie fotel, jakby to była poduszka i ruszył za Gene'em tak szybko, że ten ledwie miał czas się obejrzeć.

- Robi pan błąd - wysapał Semple. - Nie jest pan w stanie uciec. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.

Kopnął Gene'a prosto w żołądek. Ten w bólu zwałił się na podłogę, nieomal nadziewając się na

strzelbę.

- A teraz, panie Keiller, proszę wstać - rozkazał pan Semple. - Proszę mi nie utrudniać. Hałas może obudzić lwice.

Gene skulił się na podłodze, usiłując złapać oddech. Wówczas jego ręka natrafiła na strzelbę na podłodze. Sięgnął w kierunku cyngla i odczekał kilka sekund, łapiąc oddech, aż do momentu, gdy stwierdził, że Semple się rozluźnił.

Musiał być szybki. Niezwykle-szybki. Musiał zrobić to tak błyskawicznie i dokładnie, by tamten nie zorientował się w sytuacji.

Odliczył - pięć, cztery, trzy, dwa, jeden - i napiąwszy mięśnie skierował broń w kierunku twarzy pana Semple tak, że muszka znajdowała się parę cali od jego oczu. Nacisnął cyngiel.

Nabój był ślepy, lecz gazy wyrzutowe natychmiast oślepiły przeciwnika. Francuz upadł na plecy z rozdzierającym krzykiem i zaczął się miotać po podłodze z rękoma na oczach.

- Aaach, mes yeux, mes yeux... au secours, mes yeux... yeux...

Gene odrzucił broń i wybiegł ze spiżarni. Wiedział, że czyni źle, zostawiając pana Semple w takim stanie, lecz lwice i tak wkrótce go znajdą. Teraz najważniejsze było błyskawiczne wydostanie się z posiadłości.

Przebiegł przez kuchnię i gwałtownie otworzył drzwi do holu. Drzwi frontowe znajdowały się tylko parę kroków na prawo. Trzy łańcuchy i ciężki zamek, a potem będzie już wolny. Zatrzasnął za sobą drzwi od kuchni i ruszył pędem po kafelkowej posadzce.

Pierwszy łańcuch poddał się łatwo. Z drugim było już nieco trudniej. Kiedy usiłował go sforsować, usłyszał jakiś hałas. Jakby skrobanie pazurami po drewnie.

Odwrócił się. Parę jardów za nim wznosiły się schody zwieńczone witrażem. W połowie ich wysokości zauważył skradające się na czworakach, nagie i bielejące w mroku sylwetki Lorie i pani Semple. Miały zmierzwiene włosy i błyszczące, zimne oczy, jak u lwa, którego widział w cyrku. Ich usta wykrzywiały grymas zdziwienia i okrutnego gniewu.

Krok za krokiem zeszły ze schodów i ruszyły holem ku niemu, warcząc i potrząsając głowami. Zęby miały żółte, ostre, wykrzywione i dokładnie zdawał sobie sprawę, że nie doszuka się w nich żadnych ludzkich uczuć.

ROZDZIAŁ 8

Odrzucił drugi i trzeci łańcuch. W ułamku sekundy uporał się z zamkiem, powodowany strachem i przypiływem adrenaliny. Lwice dostrzegły jego manipulacje. Lorie podążyła ku niemu szybciej, by w końcu złożyć się do skoku.

Gene zrobił unik i Lorie wylądowała na posadzce jak ciężki kot, ślizgając się paznokciami po kafelkach. Otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz, rozdzierając sweter o tkwiący w nich klucz. Ruszył jak najdalej od domu, biegnąc żwirową alejką szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Usłyszał, jak obie kobiety Ubasti podążają za nim skokami. Brama znajdowała się o dobrych pięćdziesiąt jardów przed nimi i zdawał sobie sprawę, że nie zdoła do niej dotrzeć. One były zbyt szybkie, zbyt silne, wychowane do zabijania.

Zmuszał nogi i płuca do maksymalnego wysiłku. Rosnące wokół drzewa migąły mu przed oczami jak obrazki w cinema verite. Daleko w przedzie majaczył kontur żelaznej bramy i, modląc się do Boga, miał nadzieję, że znajdzie sposób na jej otwarcie.

Nie minęło jednak zbyt wiele czasu, gdy zobaczył, jak blady kształt na tle rzędu dębów zrównuje się z nim. Jedna z lwic dogoniła go i powoli wyprzedzała. Teraz wystarczyło tylko, by skręciła nieco w bok i miałby odciętą drogę ucieczki. Za sobą słyszał równy tupot i zbliżający się oddech.

Desperacko spróbował przebiec przez wysoką trawę, a potem między drzewami do miejsca, w którym sforsował mur, gdy pierwszy raz poszukiwał Lorie. Być może, przy odrobinie szczęścia, lina, której wówczas użył, nadal tam będzie. Wiedział, że nie zdoła już dłużej biec i jeśli od razu nie trafi na właściwy punkt przy murze, będzie przegrany.

Przedzierał się przez gąszcz, przeskakiwał korzenie i pędził po otwartej przestrzeni. Z lewej strony wciąż towarzyszyła mu jedna lwica, a z prawej pojawiła się druga. Polowały na niego tak, jak polują na antylopy w afrykańskim buszu. Podczas gdy on próbował uciec, obmyślając najlepszą drogę, one kierowały się instynktem.

Wiedział, że nie zdoła dotrzeć do muru. Coraz bardziej brakowało mu tchu, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Teren wznosił się lekko i to wystarczyłoby go zatrzymać. Lwice były coraz bliżej.

Usłyszał, jak coś przedziera się przez zarośla. Wzniósł ramię, by się osłonić. Wówczas z lewej strony skoczyła na niego Lorie, swoim ciężarem powaliła go i przycisnęła do korzeni jakiegoś drzewa.

Zamknął oczy. Czekał, aż wbiją się w niego jej szczęki. Słyszał, jak lwica ślini się i dyszy, czuł na sobie ciężar jej ciała, a do jego nozdrzy docierał charakterystyczny zapach.

Ostrożnie otworzył oczy i spojrzał w górę. Na ten widok Lorie odeszła nieco w bok. Usiadła w pobliżu, ciężko sapiąc i obserwując go. Po chwili dołączyła do niej matka i wpatrywały się w niego tak zimnym i nieobecny wzrokiem, iż trudno byłoby uwierzyć, że kiedykolwiek były ludźmi. A przecież tańczył z tą dziewczyną, zabierał ją na przyjęcia, rozmawiał z nią, śmiał się. Teraz siedziała przed nim w listopadowym lesie, naga i dzika, strzegąc go uważnym wzrokiem i szczerząc zęby.

Strzegły go. Teraz zrozumiał. Nie zamierzały go zabić, ponieważ był ich ofiarą, ich darem dla boskiego syna Bast, który miał przybyć na randkę z Lorie. Nie odważyłyby się go rozszarpać. Był dla Lorie szansą stania się dumną matką Ubasti.

Gene lekko się podniósł.

- Lorie? - mówił łamiącym się głosem. - Czy mnie słyszysz?

Lorie potrząsnęła głową jak odpędzający muchy lew i nie odpowiedziała.

- Posłuchaj, Lorie - powiedział Gene - nie możesz tego zrobić. Policja jest w drodze. Bądź tego pewna. Przed chwilą do nich dzwoniłem. Jeśli cię złapią, Lorie, pójdziesz do więzienia. Nie będziesz miała żadnych lwich dzieci, Lorie. Jeśli mnie teraz nie wypuścisz, zamkną cię i zabiorą ci dziecko.

Lorie powtórnie obnażyła zęby, lecz wcale nie był pewien, czy rozumiała. Uniósł się jeszcze trochę, a obie lwice zareagowały warczeniem i przybliżyły się. Uniósł ręce w geście poddania i wówczas odstąpiły.

Gene próbował usadowić się najwygodniej, jak mógł. Syn Bast, ten lew z cyrku, będzie tu już wkrótce, gdyż nie czekałyby tak cierpliwie. Zastanawiał się, jak lew wyjdzie z klatki. Może pani Semple już utorowała mu drogę, a może sam jednym uderzeniem sforsuje drewniane ściany. Gene bardzo chciał zapalić. Nawet skazanym na śmierć przysługuje papieros.

W powietrzu panowały chłód i cisza. Lwice siedziały spokojnie i cierpliwie, ze wzniesionymi głowami wyczekując nadejścia partnera Lorie.

- Lorie - spróbował jeszcze raz Gene - pozwól mi odejść, Lorie. Nic więcej. Obiecuję, że nie powiem nikomu o tobie ani o twojej matce. Możesz się spotkać z tym lwem beze mnie, prawda? Po co mnie w to mieszać?

Lorie wlepiała w niego swe zielone oczy, lecz nadal nie odpowiadała. Pani Semple niecierpliwie pokręciła głową, jakby zmartwiona, że lew może się nie zjawić. Dla takiej bestii rozwalenie krat i wyrwanie się z cyrku do Merriam, bez stawiania na nogi policji i trupy cyrkowej, wydawało się fraszką. Gene spojrział na zegarek. Była prawie druga w nocy.

O drugiej trzydzieści zdążył już całkiem zeszywnieć w bezruchu. Nocne niebo pokrywały chmury i wiał lekki wiatr. Gene zakaszał, sadowiac się wygodniej na korzeniach drzewa, ale pani Semple odwróciła się i wyszczerzyła zęby w sposób tak przerażający, że zmarł.

Wtedy usłyszeli. Miękki, ciężki odgłos. Szybki tupot łap po liściach. Lorie zeszywniała i obróciła głowę. Pani Semple podniosła się i zaczęła krążyć nerwowo.

Rozległo się ogłuszające wycie. Gene odwrócił głowę i zobaczył go. Wspaniały syn Bast wydawał się większy niż w klatce. Zbliżał się z dumą i godnością. Jego ruchy zdradzały niezwykłą siłę.

Gene widywał wiele razy "zdjęcia pracowników cyrku i turystów odwiedzających park safari napadniętych przez lwy. Zawsze napawały go przerażeniem.

Lew zatrzymał się, powoli rozejrzał wokoło, by w końcu spojrzeć w ich stronę. Zawył, a Lorie odpowiedziała głosem wyższym o ton. Lew zaczął węszyć i poczuł zapach godowy Lorie. Zaczęła pełznąć po ziemi. Zagryzała kły, a jej ciało było wyprężone od seksualnego podniecenia. Lew obszedł ją wokół, wachając z zaciekawieniem jej włosy, ciało i wkładając łeb między jej nogi. Pani Semple pozostawała na uboczu, leżąc w trawie z podniesioną głową. Gene był pewien, że gdyby starał się uciec, natychmiast by go dopadła.

Obwąchiwanie trwało prawie dziesięć minut. W tym czasie Lorie i jej lwi kochanek poznawali się. Ocierali się twarzami i Gene dostrzegł wyraz uniesienia na twarzy Lorie, gdy dotykała futra swego zwierzęcego partnera. Była niezwykle podniecona. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Ledwo mogła się powstrzymać od wydarcia murawy paznokciami.

„Gene - powiedziała wtedy w cyrku - jestem taka podniecona”.

Usłyszał wibrujący dźwięk. Stało się to wtedy, kiedy Lorie odwróciła się i zobaczył jej błyszczące uda. Wtedy zrozumiał, co się stało. Oddała mocz, a jego odór podniecił samca. Lew zaryczał, wciągnął zapach w nozdrza i zaczął unosić się powoli nad nią. Lorie była wysoka i silna, ale lew wprost olbrzymi. Stała na czworakach z wyprężonymi plecami, a gigantyczna bestia spoczęła

na niej. Czerwony lwi penis próbował wdrzeć się w jej półczłowiecze ciało.

Usłyszał, jak krzyczy. Był to wysoki, nienaturalny dźwięk, bardziej zwierzęcy niż ludzki, ale mimo wszystko był to krzyk kogoś strasznie ranionego. Lew wtopił pazury w jej ramiona i popłynęła po nich krew. Potem wciskał się coraz głębiej w dziewczynę, drgając w spazmach zwierzęcej kopulacji. Gene'owi zebrało się na wymioty, ale nie mógł oderwać oczu od tej pary. Ruch za ruchem lew wdzierał się w Lorie, aż do momentu ejakulacji, po czym w ostatnim spazmie wypełnił jej ciało swym nasieniem. Zeskoczył z dziewczyny i odwrócił się z wyciem.

Lorie padła na ziemię krwawiąc i trzęsąc się. Lew chodził wokół niej, ale było oczywiste, że nie interesowała go już teraz. Wszystkim, czego pragnął, była obiecana ofiara. Łaknął surowego mięsa i krwi. Ta rola miała przypaść Gene'owi.

Gene podniósł się na tyle, na ile mógłby nie zwracać na siebie uwagi. Odzyskał teraz siły i nawet jeśli nie mógł biec tak szybko jak lew, prawdopodobnie dotarłby do muru, gdyby dobrze wystartował.

Czekał, aż lew obejdzie Lorie z drugiej strony, aby w tym momencie rzucić się do ucieczki.

Gdy miał już podnieść się i uciekać, lew stanął i uniósł swą ogromną głowę. Pani Semple odwróciła się, jakby czegoś nasłuchiwała. I rzeczywiście było coś słychać. Ktoś włókł się przez trawnik jęcząc. Gene zerknął między ocienione dęby i zobaczył sylwetkę przedzierającą się na oślep między drzewami z krzykiem:

- Lorie! Lorie! C'est ton pere! Lorie, ma chere! Ma petit e! C'est ton pere!

Lew zareagował z zadziwiającą szybkością. Początkowo ruszył powoli, lecz na trawniku zaczął nabierać niezwykłego pędu. Oślepiiony wystrzałem w oczy, pan Semple nie mógł nawet dostrzec zbliżającego się niebezpieczeństwa, choć prawdopodobnie je usłyszał.

Lew był szybki i ciężki. Jednym kłapnięciem szczęk zgniótł nogę ofiary. Z miejsca, w którym leżał Gene, słychać było odgłosy kłapania zębów. Lew rozrywał ofiarę i wgryzał się dziko w jej twarz.

Gene skoczył na równe nogi i zerwał się do ucieczki. Pani Semple, która uważnie obserwowała lwa, nie dostrzegła tego jeszcze przez kilka sekund. Lecz później odwróciła się i zobaczyła niedoszlą ofiarę, umykającą co sił w nogach w kierunku ściany, przez gąszcz zarośli. Obróciła się i warknąwszy, rozpoczęła zwinny pościg, próbując zabiec Gene'owi drogę.

Ściana była dalej, niż myślał. Z miejsca, w którym leżał, wyglądało to na trzydzieści, czterdzieści jardów, lecz gęste zarośla rozciągnęły tę odległość na milę. Noga uwięzła mu między korzeniami i zgubił jeden but, tak że biegł na wpół bosy. Zaczynał znów tracić oddech.

Słyszał ścigającą go lwicę. Była bardzo blisko. Tym razem wiedziała, że ofiara czyni ostatni wysiłek i podążała za nią z wielką prędkością. Słyszał nawet jej głębokie posapywanie.

Biegł tak szybko, że w końcu zderzył się z murem, waląc w niego głową. Liny nie było. Musiał pomylić się o kilkanaście jardów. Odwrócił się szybko i dostrzegł jasny kształt zmierzającej ku niemu pani Semple w odległości zaledwie dwudziestu jardów. Wziął głęboki oddech i ruszył sprintem wzdłuż muru do miejsca, gdzie spodziewał się znaleźć linę. Ręce trzymał przy ścianie, by nie przeoczyć jej w ciemności. Pani Semple pomknęła na przelaj przez krzaki i zyskała kolejnych dziesięć jardów. Teraz już wyraźnie słyszał jej warczenie i gdy zerknął przez ramię, dostrzegł błyszczące oczy i wyszczerzone, ostre zęby.

Przecucie mówiło mu, że coś jest nie tak. Nie ma liny - pomyślał. Nigdy ci się to nie uda. Ona jest tylko dwadzieścia stóp za tobą i nigdy ci się to nie uda.

Zacisnął powieki, opuścił głowę i wydobył ze swych nóg resztki możliwości. Pobiegł tak szybko, że zdołał nawet zyskać kilka stóp przewagi nad panią Semple. Lecz wiedział, że sił nie

starczy mu na długo. Lada chwila ciało odmówi posłuszeństwa i to będzie koniec.

Wodząca po ścianie ręka na coś trafiła. Lina!

Zatrzymał się i mocno ją uchwycił. Ze świszczącym oddechem, wyczerpany i spocony rozpoczął wspinaczkę.

I w tym właśnie momencie pani Semple rzuciła się w górę, by dosięgnąć jego nóg.

Kopnął ją w twarz. Uczynił to swą nieobutą stopą i poczuł, jak zęby rozdierają skarpetkę i płynie krew. Kręcąc się na linie i próbując za wszelką cenę ją utrzymać, kopnął powtórnie i tym razem lwica opadła na ziemię, by odbić się do kolejnego skoku.

Dwoma lub trzema potężnymi podciągnięciami dotarł do szczytu muru. Czuł, jak szponiaste paznokcie pani Semple rozdierają mu łydkę, lecz zadał jeszcze jeden cios i prześladowczym dała za wygraną. Ostrożnie stanął na szczycie najeżonego szpikulcami muru, balansując przez moment, po czym skoczył w ciemność.

Potoczył się i stłukł kolano, lecz był w stanie podnieść się i pobiec w kierunku szosy. Ćwierć mili dalej dostrzegł światła, a to oznaczało bezpieczeństwo. Kaszląc i plując ruszył drogą w ich kierunku.

W połowie drogi dostrzegł, że światła pochodzą od okien pokoju gościnnego dużego, kolonialnego domu pokrytego białym tynkiem. Zauważył samochody zaparkowane na podjeździe. Mógł nawet odróżnić poruszających się po pokoju ludzi. Zwolnił tempo do szybkiego marszu. Był prawie na miejscu.

Lecz nie docenił szybkości lwów. Maszerując pospiesznie w kierunku oświetlonego domu, usłyszał tupot na asfaltowej powierzchni drogi. Odwrócił głowę i w ciemnościach, około stu jardów za sobą, ujrzał Lorie i jej lwiego kochanka sunących w jego kierunku wielkimi susami.

- O Boże - wyszeptał i zaczął biec. Lecz był tak wyczerpany wspinaczką na mur, że ledwie powłóczył nogami. Dom, który wydawał się tak bliski, nagle oddalił się na milę. Owładnął nim atak kaszlu, co jeszcze bardziej zwolniło ucieczkę. Żałował każdego papierosa, jakiego w życiu wypalił. Czuł się, jakby mu ktoś przemył płuca kwasem siarkowym.

Znajdował się około piętnastu stóp od ogrodzenia domu, gdy go dopadły. Lew nie skoczył na niego natychmiast, lecz krążył dookoła warcząc. Lorie także zataczała kręgi, drepcząc na czworakach po asfalcie.

Gene przystanął i zamarł. Lekko wzniosł lewe ramię, by zabezpieczyć się, w razie, gdyby lew skoczył mu do twarzy, choć i tak wiedział, że to nic nie pomoże.

- Lorie - powiedział chrapliwie - Lorie, na miłość boską.

Ale Lorie spojrzała tylko na niego, a jej ostre zęby błysnęły w światłach domu. O Boże, pomyślał Gene, jestem dwadzieścia stóp od bezpiecznego, cywilizowanego miejsca. Ci ludzie wyjdą wieczorem na spacer z psem i znajdą mnie rozdartego na strzępy jak tego dziewięcioletniego chłopca. Był tak zdesperowany i ogarnięty paniką, jak nigdy przedtem.

- Lorie, błagam! Lorie, posłuchaj! Wiem, że ty jesteś Lorie! Wiem, że gdzieś tam jesteś! Zaprześć tego, Lorie! Na miłość boską, Lorie, przestań!

Olbrzymi lew wycofał się parę kroków, prężąc ciało do skoku. Jego oczy błyszczały, a masywne szczęki szykowały się do rozerwania go na strzępy.

- Lorie! - krzyczał Gene. - Lorie, odwołaj to monstrum! Lorie, kocham cię! Zabierz go ode mnie!

Lorie obeszła go i zawyła jak lwica. Samiec zawahał się przez moment, po czym rozluźnił mięśnie. Podniósł dumny, olbrzymi łeb i odwrócił się, prawie tak, jakby gardził Lorie za jej wstawiennictwo.

Gene pozostał na miejscu, opanowując drżenie.

- Lorie - wyszeptał - proszę cię, Lorie. Jeśli kiedykolwiek coś do mnie czułaś. Proszę.

Lew skoczył w kierunku Gene'a, który odruchowo odwrócił głowę, ale Lorie czule i delikatnie powstrzymała bestię gestem i samiec zawrócił. Potem bez dalszego wahania odwrócił się i równym kłusem podbiegł wzdłuż drogi.

Gene obserwował, jak lew się oddala. Po kilku chwilach zniknął w ciemności. Obejrzał się. Lorie także zniknęła, ale nie wiedział gdzie. Wolno, cały obolały, skierował się w stronę domu. Pchnął niezaryglowaną bramę wejściową, wspiął się schludną ścieżką prowadzącą do drzwi frontowych i zapukał.

Po paru minutach drzwi otworzyły się. Z domu wyszedł wysoki, siwy mężczyzna w drogim garniturze, trzymający szklanekę martini w ręku.

- Cześć - powiedział wylewnie. - Co się stało?

- Lwy - odpowiedział Gene i upadł.

Powodowany współczuciem wybrał się na pogrzeb Mathieu. Dzień był zimny i nie przyszło zbyt wielu ludzi. Liście szeleściły pod nogami, gdy podchodzili równo w kierunku grobu jak żołnierze na warcie. Niebo było czyste i błękitne, tylko kilka chmur kłębiło się wysoko w górze.

Pani Semple i Lorie stały obok grobu. Obie były ubrane na czarno, a ich piękne twarze skrywały woalki. Nagrobek był skromny i prosty, prawdopodobnie nie kosztował zbyt wiele. Napis na płycie głosił: „Mathieu Besta. Od kochających przyjaciół.”

Gene spóźnił się. Zaparkował białego new yorkera przy cmentarnej bramie. Maggie przyjechała z nim, ubrana w elegancki czarny płaszcz, który specjalnie dla niej kupił. Podeszli krętą ścieżką w stronę uczestników pogrzebu. Nikt nie patrzył w ich kierunku. Odnieśli wrażenie, może niesłusznie, że nie byli mile widziani.

Ksiądz zakończył właśnie modlitwy. Pani Semple pochyliła się, wzięła w rękę garść suchego piasku i rzuciła ją na wieko trumny. Lorie stała obok, cicha i nieporuszona, z rękoma oplecionymi wokół brzucha, jakby była w zaawansowanej ciąży.

- Ona jest bardzo piękna - wyszeptała Maggie. - Nigdy jeszcze nie widziałam jej z bliska.

- Piękno - odparł Gene - jest często jedynie powierzchowne.

Maggie zmarszczyła brwi.

- Widać, że jesteś politykiem. Mówisz banały. Uśmiechnął się delikatnie.

- Ktoś już mi to kiedyś powiedział. Dawno temu.

Pani Semple i Lorie opuściły cmentarz, nie patrząc nawet w kierunku Gene'a.

Adwokaci przejęli sprawę w swoje ręce. Poinformowano Gene'a, że Lorie zgadza się na cichy, tani rozwód. Prosiła tylko o wystarczającą ilość pieniędzy, aby móc utrzymać dziecko, jeśli, jak podejrzewała, jest w ciąży.

Gene i Maggie postali chwilę dłużej, a potem wrócili do samochodu.

- Wiesz co? - zagadnął Gene w drodze do Waszyngtonu.

- Tak?

- Zawsze obwinia się tych ludzi, którzy nie potrafią się bronić.

- Ludzi? Czy zwierzęta?

- W tym przypadku zwierzę. Jedno zwierzę.

- Ale on naprawdę zabił pana Semple. Czy Mathieu Besta, jak go tam zwał.

- To prawda. Ale kto go wypuścił? On był tylko ślepą bestią. Prawdopodobnie wolałby pozostać w klatce do końca życia, wychodząc od czasu do czasu na arenę, a potem pójść z godnością na emeryturę, zasłużony na sztuczne zęby.

- Nie rozumiem, jak możesz żartować z zębów po tym, co przeżyłeś.

Gene wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, dziś wydaje mi się to zupełnie nierealne.

- Dlatego dzisiaj tam poszedłeś?

- Może. Poza tym czułem się w pewnym sensie odpowiedzialny. Czasami myślę, że gdyby nie ja, ten biedny człowiek żyłby do dzisiaj.

Maggie zdjęła czarny słomkowy kapelusz.

- Jasne, a ty byłbyś martwy.

Gene zwolnił przed czerwonymi światłami. Promienie porannego słońca wdarły się do samochodu, rozświetlając włosy Maggie. Po drugiej stronie ulicy widniał obdarty, wyblakły plakat cyrku Romero z realistycznym obrazkiem lwa przeskakującego przez obręcz. W samochodzie obok, ciemnozielonym buicku, mężczyzna w kapeluszu kłócił się z żoną.

- Maggie - zaczął Gene.

- Słucham?

- Co byś powiedziała na propozycję pozostania u mnie?

Maggie odwróciła się w jego stronę z uśmiechem.

- Jeśli tylko czujesz się na siłach...

KEILLER, Lorie Semple.

Pani Lorie Semple Keiller, była żona Gene'a Keillera, z Merriam, Maryland, dziewczynka, Sabina, w Szpitalu Sióstr Miłosierdzia, Merriam. Hakhim-al farikka.